

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

MAJ 2016/3

SZKIEŁKIEM I OKIEM
Eliza Krzyńska-Nawrocka

GOŚĆ SPECJALNY:

**MACIEJ
KAZMIERCZAK**

DYM | JEDNO ŻYCZENIE | KOSZMAR
LOT DIABŁA | NOC PAJĘCZA | POTWORY
PRZEŁĘCZ | SUFLER | SYCHEM PRAWDZIWYCH
ZNAK PIĘCIU

SPIIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryka		4
DYM	Antoni Nowakowski	5
JEDNO ŻYCZENIE	Iwona Grodzka	21
KOSZMAR	Krzysztof Katkowski	33
LOT DIABŁA	Martyna Walerowicz	41
NOC PAJĘCZA	Anna Musiałowicz	59
POTWORY	Piotr Białomyzy	69
PRZEŁĘCZ	Tomasz Krzywik	81
SUFLER	Kamil Adrian Kornatowski	99
SYCHEM PRAWDZIWYCH	Maciej Kaźmierczak	110
ZNAK PIĘCIU	Michał Lipka	125
Szkiełkiem i okiem	Eliza Krzyńska-Nawrocka	136
NIEZWYKŁA KOBIETA (fragment)	Dagmara Adwentowska	142

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Projekt okładki i skład: Roman Panasiuk

Ilustracje: Dawid Boldys, Marcin Czarnecki "Czarny",
Marcin Kozierkiewicz, Asia Jedlińska, Roman Panasiuk,
Izabela Wojciechowska

Korekta: Dagmara Adwentowska, Magdalena Kucenty

email: magazynhisteria@gmail.com

Witajcie!

Przed Wami majowa Histeria, nad którą unosi się duch Sir A. Conan Doyle'a i Sherlocka Holmesa

Gościem Specjalnym czternastego numeru jest Maciej Kaźmierczak. Autor „Zwierzyny” prezentuje na naszych łamach niepublikowane dotąd opowiadanie „Sychem prawdziwych”.

Wśród jedenastu opowiadań znajdziecie również trzy teksty finałowe z konkursu „Pod lupą”, a także fragment opowiadania Dagmary Adwentowskiej z wydanej niedawno słowiańskiej antologii grozy „Krew Zapomnianych Bogów”. Na początek jednak wywiad z Histerykiem, a raczej Histeryczką Miesiąca – Anną Musiałowicz.

Na deser – artykuł dr Elizy Krzyńskiej-Nawrockiej pt.: „Szkieletem i okiem”, czyli szkic o Sherlocku Holmesie w rocznicę urodzin jego twórcy.

Tyle od nas. Wracamy do prac nad kolejnym numerem, a szukujemy dla Was prawdziwą „bombę”. Życzymy strasznej lektury!



B. Jaworski i M. Zawadzki

WYZNANIA **HISTERYKA**



Anna
Musiałowicz

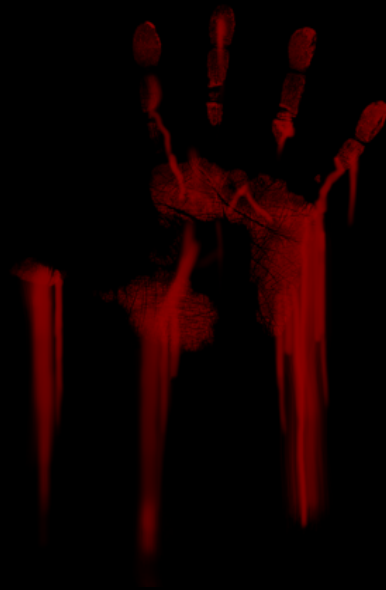
Przede wszystkim żona i matka. Absolwentka pedagogiki UAM. Zawodowo zajmuję się pracą socjalną. Grywam w szachy, nawiedzam zamki, czytam głównie fantasy, rysuję gdzie popadnie i co popadnie, słucham zazwyczaj ciężkiego rocka i jego odmian. Opowiadania zaczęłam pisać przypadkiem – w dodatku całkiem niedawno.

Skąd pomysł na „Pierworodnego”?

Decydując się na udział w konkursie na opowiadanie, którego motywem przewodnim miały być przesady, poszukiwałam tematu na tyle oczywistego, by związane z nim zabobony były powszechnie znane, a w gruncie rzeczy odnoszącego się do wąskiej grupy osób, które mogłyby się z nim identyfikować. Cięża to szaleństwo – fizjologiczne i psychiczne. Każda kobieta, która miała okazję być w ciąży, doskonale zdaje sobie sprawę, że ten stan nakazuje jej brzuchowi stać się niejako „dobrem publicznym”, tylko prowizorycznie pozwalając na zachowanie względnej intymności. Chciałam przełamać pewne tabu – cięża to nie tylko szczęście i ekscytacja z chwilowego stania się Bogiem i stworzenia nowego życia, lecz to także czas lęków i obaw, niepewności i dostosowywania się do całkiem nowej sytuacji, nie zawsze wygodnej i przyjemnej. Przesady są nieodłączne dla tego stanu. I nawet jeśli się w nie nie wierzy, na wszelki wypadek unika się wykonywania pewnych czynności.

Jak wyglądała praca nad tekstem?

Praca nad tekstem to czas spędzony z długopisem w dłoni, dokonywanie zapisków w zeszytce (oczywiście czarny kot na okładce, jak przystało na „pechowe” opowiadanie) w każdej wolnej chwili, a potem zarywanie nocy i składanie nieujarzmionych myśli przed ekranem monitora. Nad „Pierworodnym” od pierwszej litery ciążyło fatum: nie obyło się bez kilku problemów natury technicznej, gdy na przykład mój komputer umarł śmiercią nagłą i nienaturalną, zabierając ze sobą do wirtualnego nieba całą zawartość dysków. Tym silniejsza stawała się moja motywacja, by opowiadanie dokończyć – wbrew nękającemu je pechowi.



Temat był mi na tyle bliski jako kobiecie, że nie musiałam nabywać żadnej dodatkowej wiedzy. Wystarczyło przypomnieć sobie siebie sprzed kilku lat, podeprzeć historiami znajomych, dodać szczyptę fantazji... i się narodziło.

Skąd czerpiesz inspirację do pisania?

Zewsząd. Słyszę słowo, czasem zdanie – dopisuję kolejne. Widzę obraz – układam do niego historię. Idę ulicą i wyobrażam sobie, co mogłoby się na niej wydarzyć. Opowieści są wszędzie, wystarczy tylko uważnie słuchać i patrzeć, a gdy do tego pobawić się wyobraźnią, może powstać coś interesującego.

Pisanie to hobby czy coś więcej?

Pisanie dziś to dla mnie przygoda. Sprawdzam siebie w nowej roli. Tworzenie pochłania mnie, zawłaszcza. Mario Vargas Llosa napisał o powołaniu literackim: „Jest poświęceniem wyłącznym i wyłączającym, sprawą pierwszorzędną przesłaniającą wszystko inne, dobrowolnie przyjętym poddaństwem, które swoje ofiary (swoje szczęśliwe ofiary) czyni niewolnikami”. Nie jestem jeszcze niewolnikiem, choć sługą już tak. Moja przygoda z pisaniem dopiero się rozpoczęła. Może przerodzi się w dłuższą podróż.

Z czym kojarzy Ci się słowo histeria?

To szaleństwo. Śmiech przeplatany z płaczem, strach i podniecenie, trwoga i euforia. To pewien nienormalny aspekt osobowości ujawniający się zazwyczaj w sytuacjach nagłych i nieoczekiwanych lub oczekiwanych długo i z napięciem. W dawnych czasach wierzono, że histerię w człowieku wywołuje diabeł. Może coś w tym jest? Kto wie, czy histeria nie jest drogą do ujawnienia mrocznej strony człowieka?

rys. Dawid Boldys



DYM

Antoni Nowakowski

„Być – znaczy być postrzeganym”.
(George Berkeley)

– To wszystko jest dla pana.

Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna położył na obrusie cztery grube zwitki dwustuzłotowych banknotów, ściśniętych banderolami. Wyróżniał się szykownym garniturem, mocno wysklepioną klatką piersiową i krzykliwym kolorystycznie krawatem. Kręcone włosy przyprószyła już siwizna.

Starannie wygładził obrus, jakby nie chciał naruszyć sztywnej gładkości pięknego nakrycia stołu. Wykonano je z koronki. Lśniło prawie nieskalaną bielą. Tylko kilka

nikotynowych przebarwień psuło odczucie świeżości pachnącej jeszcze krochmalem. Serweta sprawiała wrażenie kupionej niedawno, jednak przy dokładniejszym spojrzeniu wrażenie niweczyły naderwane nitki misternego haftu, sterczące w wielu miejscach.

Pośrodku mebla leżała duża popielniczka z drewna, zdobiona na obrzeżu esowatym żłobieniem.

– Jeżeli za mało złocisz, powie pan tylko jedno słowo – kontynuował człowiek o potężnych barkach, układając paczki obok siebie. Chrząknął. – Dostarczę tyle, ile pan zażąda. No i jeszcze coś przyniosłem.

Mężczyzna, siedzący przy stole w milczeniu, przyglądał się paczkom pieniędzy. Pociągła, starannie wygolona twarz nie zmieniała wyrazu. Zdawało się, że myślami jest zupełnie gdzie indziej. Widok stosiku banknotów spowodował tylko lekki uśmiech. Właściwie, łagodnie wygiął wargi, w milczeniu kwitując sowity dar.

Przełożył sztywne w swojej nowości paczki w miejsce, gdzie jasny połysk obrusa szpeciła brązowa plamka. Zdawała się go irytować.

Teraz było widać, że długie palce pokrywa żółty nalot nikotyny, jedyna cecha wyróżniająca jego postać. Wyglądał bardzo zwyczajnie – nieco już znoszona marynarka, popielate spodnie, szara koszula i ciemnogrnatowy, też podniszczony krawat. Węzeł ozdoby męskiego stroju sprawiał wrażenie, jakby został zawiązany dawno temu, a potem tylko luzowano go każdego wieczora i ściągano następnego ranka. Patrząc na tego człowieka, w pierwszej chwili odnosiło się wrażenie, że jest pospolitym urzędnikiem, zawsze przychodzącym do pracy piętnaście minut wcześniej i wychodzącym kwadrans po jej zakończeniu. Uważny obserwator prędko jednak skorygowałby początkowy osąd, napotkawszy jego wzrok. Przenikliwe spojrzenie szarych oczu, taksujące i badawcze. Zdawało się poprzez skórę, mięśnie i żebra przenikać w głąb duszy, poznawać najgłębsze jej tajniki i penetrować umysł.

Teraz natomiast obojętnie przyglądał się paczkom pieniędzy, nie zwracając uwagi na kobietę w czerwonej sukience, bojaźliwie kryjącą się za plecami towarzysza. Nawet nie rzucił okiem na dwóch innych mężczyzn, stojących przy wejściu do pokoju. Też sprawiali wrażenie, jakby starali się nie zwracać na siebie uwagi. Wyraźnie unikali zerknięcia w oczy człowieka, zajmującego miejsce przy pięknym stole.

– Przesadza pan.... To za dużo. – Wyglądająca na biuralistę postać odsunęła trzy zwitki. – Cieszę się, że pomogłem. Wyraźnie dostrzegałem wszystkie fragmenty zdarzeń po kolei. Zwykle mi się to udaje, chociaż nie zawsze. Nie zawsze...

Przez twarz przeleciał dziwny grymas, może smutku.

– Mam jeszcze coś. – Mężczyzna w pięknym garniturze położył obok popielniczki plik studolarówek. Dwie płaskie i mocne gumy, stosowane do uszczelniania słoików wekowych, zabezpieczały banknoty przed rozsypaniem. – Nie ma ceny za pana moc. Nie ma ceny...

Poprawił węzeł krawata.

– Wie pan, teraz pieniądz jest niestabilny. – Głośno odkasznął. – Dolary są pewną walutą, co by o nich nie opowiadano – ciągnął silnym, nieco zachrypniętym głosem. – Raz stoją wyżej, następnego miesiąca niżej, jednak zawsze pozostaną w obiegu. Ale, jeżeli pan sobie tego życzy, mogę je wymienić na złote sztabki. Albo krugery.

Przez chwilę nad czymś się zastanawiał.

– Krugerrandy – poprawił się pośpiesznie. – Monety. Sporo złota zawierają, każdy bank je kupi.

Człowiek w znoszonej marynarce potrząsnął głową.

– Ja nie potrzebuję dużo. – W głosie nie zabrzmiał nawet cień emocji. – Niech pan to zabierze.

Łagodny uśmiech pogłębił się. Szczupłe palce przesunęły niechciane rulony na brzeg stołu.

– Wystarcza mi na życie... – kontynuował nieśpiesznie. – Więcej stanowi dla mnie zbędny zbytek. Naprawdę bardzo się cieszę, że pomogłem.

Z kieszeni wyjął opakowanie kubańskich cygaretek. Wyłuskał jedno i zaczął delikatnie ugniatać palcami.

Bardziej postawny z dwóch mężczyzn przy drzwiach postąpił kilka kroków do przodu.

Zamaszyście kroczący dryblas o potężnych barach wyróżniał się słusznym wzrostem. Obaj – zdawało się, że trzymają wartość przy wejściu do salonu – byli do siebie bardzo podobni. Rozrośnięte torsy bez reszty wypełniały gładkie kurtki ze sztucznego tworzywa. Przypominali prostokątne bryły mięśni, z wyrośniętymi w dół i na boki rękoma i nogami, masywnymi niczym betonowe słupy energetyczne.

Uwagę zwracały ich nienaturalnie bycze karki.

Właściwie, różnili się tym, że na głowie wyższego pyszniła się gęsta czupryna, zaczesaną na jeża, a czaszka drugiego została starannie wygolona.

Wcale nie posiadali tępych twarzy. Twarde rysy ich oblicz znamionowały doświadczenie, czujność i gotowość do działania.

Człowiek, podchodzący teraz do stołu, przegładził grubymi palcami włosy. Szeroka pięść, naznaczona rozległą szramą, może śladem uderzenia nożem albo kastetem, wyjęła

z kieszeni czarnej kurtki dużą zapalniczkę. Ktoś, kto obserwowałby tę scenę, zauważyłby, że paznokcie palców zostały niezwykle starannie opiłowane i uformowane.

Położył ją przed mężczyzną w szarej marynarce.

– Proszę, jest ogień...

Ton głosu wyrażał szacunek, a może też pilnie skrywany lęk. Ten mocny baryton brzmiał uniżenie, jakby mężczyzna czuł respekt przed szczupłą postacią w znoszonej marynarce. Jakby też cieszył się, że niespodziewanie wyświadcza drobną przysługę.

Gospodarz domu nieznacznie się uśmiechnął. Wziął do ręki srebrzycie lśniący przedmiot. Kciuk odsunął wieczko, a potem przekręcił karbowane kółko.

Zapalił się żółtawy płomyk. Nad stołem uniósł się kłęb dymu.

– Miałem kiedyś podobną... – stwierdził mężczyzna z namysłem, przesuwając pomiędzy palcami platerowany metal. – Dawno temu... Później nigdzie nie mogłem takiej nabyć.

Jego wzrok stał się nagle uważny. Badawczy. W szarych oczach mignął wyraźny cień zastanowienia. Namysłu.

Dokładnie oglądał zapalniczkę, ozdobioną po obu bokach wypukłą sylwetką cwałującego konia. Przyglądał się złobieniom krótszych boków. Przesunął ją między palcami, może badając, czy dotykanie pięknie wykonanego przedmiotu sprawia to samo wrażenie, co kiedyś.

Pochmurna twarz nagle zmieniła wyraz: rozświetlił ją uśmiech zadowolenia.

– Właśnie taką kiedyś zgubiłem – podjął po chwili. – Prawie identyczną... Ta pewnie pochodzi z tej samej serii. Idealnie pasuje do dłoni jak mój dawny nabytek. Tak się z niego cieszyłem...

Niespodziewanie skrzywił się.

– Kupię ją od pana za każdą cenę – zakończył niespodziewanie silnie brzmiącym głosem. – Za każdą.

Szczupła dłoń, obramowana pieczołowicie wyprasowanym mankietem szarej koszuli, wyciągnęła z pliku trzy banknoty dwustuzłotowe, a po chwili jeszcze jeden. Potem przesunęła je na brzeg obrusa.

– Tę naruszoną paczuszkę zatrzymam, pozostałe można zabrać. Przecież już o tym mówiłem. – W głosie zabrzmiał wyrzut. – Pieniądzy mi wystarcza.

Znowu mocno zaciągnął się tytoniowym dymem.

Człowiek, który niedawno kładł na obrusie zwitki banknotów, mocno chrząknął. Mężczyzna z czupryną zaczesaną na jeża w lot pojął znaczenie nieartykułowanego dźwięku.

– Pan ją sobie weźmie – obwieścił. W głosie drgał wyraźny odcień dumy, że i on niespodziewanie wyświadczył przysługę. – Podarunek... Tyle pan dobrego zrobił dla szefa. Kupię nową, ze złota.

Palcem przetarł nos naznaczony śladami wielu ciosów.

Zegar w kącie pokoju tykał monotonnie. Gospodarz domu rzucił na niego okiem, jakby sprawdzał czas. Przez twarz przewinął się wyraźny grymas zniecierpliwienia.

– My z mężem naprawdę dajemy wszystko z serca, niechże pan uwierzy. – Kobieta niespodziewanie przerwała chwilę milczenia. Stukając wysokimi obcasami, przeszła kilka kroków w stronę stołu. Położyła na krześle torbę. – Zapalniczka niech dobrze służy.

Widać było, że wyraźnie onieśmielona, zastanawia się, co jeszcze powiedzieć.

– Wskazał pan miejsce, w którym te łachudry więziły naszego synka – kontynuowała po chwili, pośpiesznie, łykając sylaby. – Zaraz po pierwszym spotkaniu. Niepojęte, ale przekonaliśmy się, że pan nigdy się nie myli.

Głos przeszedł w piskliwy, spazmatyczny dyszkant.

– Trzymali go w pustym szambie: skutego, ze związanym nogami, z kapturem na głowie.

Zaczęła płakać. Przetarła dłonią powieki, rozmazując gruby makijaż. Pod oczyma pozostały ciemne smugi.

– Łapsy szukały go tyle czasu, i nic – kontynuowała. – Mąż ofiarował się suto ich opłacić, żeby przyłożyli się do roboty, ale nie chcieli brać. Wiadomo, kurwa, dlaczego. I to jest sprawiedliwość!?

Człowiek w pięknym garniturze pogardliwie wzruszył ramionami.

– Niektórzy wzięli, i to dużo, ale i tak nic nie zrobili – zauważył sucho. – Wypełniali tylko papiery. Z tymi gnojami kiedyś się rozliczę... Cieszyli się z naszego nieszczęścia, śmiali się, chcieli, żebym zmiękł. Patałachy bez pojęcia.

Siedzący za stołem człowiek rozciągnął usta w uprzejmym, łagodnym uśmiechu. Z uwagą przypatrywał się zapalniczce. Nie mógł oderwać od niej wzroku.

– Tak go męczyli, żebyśmy zapłacili okup. Tyle pieniędzy! – Kobieta znowu zaczęła łkać. – A potem i tak by go zabili. Skurwysyny. Wzięliby się za uczciwą bandytkę, a nie za te numery. Jebańce.

Znowu zapalił się płomyk. Nowy właściciel ciągle obracał zapalniczkę w palcach.

– Po prostu dokładnie widziałem, gdzie go trzymają. – Wolno pokiwał głową. – Zostawił w domu ulubioną bransoletę. Często ją nosił. Rzeczy zmieniają posiadaczy, ale chyba każdy z nich zostawia ślad... Ja je dokładnie widzę.

Znowu uśmiechnął się powściągliwie.

– Jeżeli państwo pozwolicie – dodał po kilku sekundach – zrobię trochę przewiewu. Dużo palę, a nie chcę, żeby dom przesiąkł dymem. Zwłaszcza ten pokój. Często go wietrzę. To dla mnie bardzo ważne.

Przez uchylone werandowe drzwi przedostał się powiew wiatru. Dym z cygaretki zaczął się rozwiewać. Mężczyzna w szarej koszuli znowu rzucił okiem na zegar. Kurant uderzył, wybijając upływ połowy godziny.

Kobieta wyjmowała z torby pakunki różnej wielkości z firmowymi znakami renomowanych sklepów spożywczych.

– Wiem, że pan niewiele je, więc kupiłam, co mogłam tylko dostać najlepszego.

Wargi pokryte grubą warstwą karminowej szminki wykrzywił uśmiech. Potem usta kobiety zacisnęły się w wąską kreskę.

– A oni go głodzili. Wyszedł na wolność taki chudziuteńki. I dzięki panu żyje. Tylko dzięki panu, zbawco.

Znowu zaczęła spazmatycznie łkać. Upadła na kolana.

– Tacy jesteśmy wdzięczni. Boże mój, żeby pan wiedział, jacy wdzięczni!

Uchwyciła szczupłą dłoń i zaczęła ją całować, zostawiając czerwone ślady pomadki do ust.

– Uspokój się, kobieto!

Mężczyzna we wspaniałym garniturze położył dłoń na ramieniu żony. Posłusznie wstała.

– Pójdziemy już – dodał, wysmarkując nos w chusteczkę. – To wszystko jest pańskie.

– Przełożył zwitki banknotów na środek stołu, umieszczając je obok popielniczki. – Co pan z tym robi, to już nie moja sprawa. Dam jeszcze coś.

Wyjął z kieszeni spodni telefon komórkowy.

– Na klawiaturze pod jedyneką jest mój numer. Niewielu ludzi go zna. Jeżeli będzie pan czegoś potrzebował, proszę dzwonić. Często zmieniam kartę, jednak pan się o tym dowie.

Mówił krótkimi, urywanymi zdaniami.

– O każdej porze dnia i nocy... Abonament jest opłacony. Będzie opłacany stale. Pan może rozmawiać z tego aparatu, ile chce.... Ja wiele mogę. Bardzo dużo.

Znowu głośno chrząknął.

– Pomogę w pańskiej sprawie, jeżeli pan coś zobaczy – kontynuował ostrym głosem. – Jestem pewien, że do tego dojdzie. Wtedy zrobię wszystko, czego pan sobie zażyczy. Za darmo. Jedno słowo wystarczy.

Kobieta wyjęła z torebki puderniczkę i kilka chusteczek higienicznych. Starannie usuwała z twarzy ślady rozmazanego tuszu.

– Ja bardzo rzadko telefonuję... – Mężczyzna w znoszonej marynarce znowu uśmiechał się tym łagodnym, nieobecnym uśmiechem. – To raczej ludzie do mnie dzwonią.

Palcem wskazał na stary aparat, stojący na brzegu kredensu.

– Jednakże bardzo dziękuję – zakończył, znowu uśmiechając się powściągliwie.

Mie patrzył na rozmówcę – przyglądał się zapalniczce. Pochłaniała jego uwagę.

Nieuważnym gestem wyciągnął dłoń, pewnie chcąc już zakończyć spotkanie. Gość w przyciągającym wzrok stroju uściśnął ją mocno. Potem ruchem ręki dał znać, że towarzyszący mu mężczyźni mają iść przed nim. Wyszedł zdecydowanym krokiem, przepuszczając przed siebie siebie żonę.

– Niech pan chwilę poczeka! – Człowiek w zniszczonej marynarce, wstając od stołu, machnął ręką w powietrzu. – Należność za zakup! Coś się panu należy...

Wziął ze stołu leżące luzem cztery dwustuzłotówki, złożył na pół i włożył do górnej kieszeni kurtki. Niedawno spoczywała tam zapalniczka. Kieszeń pozostała niezapięta.

Nagle potrząsnął głową.

– Niech pan nie idzie do pubu na umówione spotkanie. – Głos człowieka w popielatych spodniach brzmiał tylko nieco głośniejsze od szeptu. – Może wydarzyć się... coś złego.

Twarz przybrała wyraz skupienia. Ciągle trzymał rękę na ramieniu ostatniego z gości. Teraz, kiedy podniósł się z krzesła, było widać, jak bardzo jest szczupły.

– Jeżeli pan tam pójdzie, dostanie pan przed wejściem trzy kulki w głowę. Ja to widzę... Tylko to, nic więcej.

Obaj stali w milczeniu, patrząc na siebie. Twarz człowieka z gęstą, sterczącą czupryną pozostawała nieruchoma i bez wyrazu. Z kieszeni sterczał rożek banknotu. Szeroka dłoń mężczyzna, naznaczona blizną, wsunęła go głębiej. Potem grube knykcie ze starannie przyciętymi i dokładnie opiłowanymi paznokciami wolno przeczesły sztywne włosy.

Szczupła postać w szarej marynarce znowu przesuwiała między palcami metalowy przedmiot.

Potężny mężczyzna kilka razy zamrugał szybko, a potem przestąpił z nogi na nogę.

– Z nikim się nie umawiałem na takie spotkanie – powiedział wolno. – Naprawdę nie... Z nikim.

Dłonią otarł kilka kropel potu z czoła.

– A jednak pan się umówi... – Głos gospodarza brzmiał teraz mocniej. – Zobaczyłem to... Niech pan tam nie idzie. Ostrzegłem, wystarczy. Nie widzę nic więcej. Dzięki za podarunek.

Człowiek z czupryną zaczesaną na jeża głośno przełknął ślinę. Jeszcze raz otarł czoło.

– Tak zrobię, proszę pana. Na pewno tak zrobię. Ja też dziękuję – stwierdził po chwili milczenia i cicho zamknął za sobą drzwi.

Benzynowy płomyk nagle błysnął, jakby nowy właściciel ciągle coś sprawdzał. Szczupłe palce, pokryte nalotem nikotyny, czule głaskały srebrzysty metal nowego nabytku; rzeczy, która, jak przypuszczał, mogła wiele zmienić.

Na taką chwilę czekał osiem lat i teraz, jak sądził, w końcu nadeszła.

W popielniczce żarzyła się niedopalona cygaretką.

Mężczyzna w szarej koszuli starannie ją zgasił. Rzucił okiem na zegar – wskazywał pięć minut po jedenastej. Miał jeszcze czas na zwykłe czynności, na przygotowanie się do czegoś, co powtarzał w dniu, podkreślonym w kalendarzu na czerwono; najważniejszej czynności każdego miesiąca.

Bardzo uważnie obejrzał pokój, sprawdzając, czy wszystko jest tak, jak powinno być.

Oglądał niezmienny od lat widok – spore pomieszczenie wyglądające skromnie, jednak bardzo schludnie. Pośrodku brązowego kredensu z litego drewna stał stary telewizor z wypukłym ekranem. Przy drugiej ścianie etażerka skąpo zapelniona książkami i porcelanowymi bibelotami. Tapczan z wysokim oparciem wyściełały wilcze skóry, podobnie jak sąsiadujące fotele. Kilka roślin na parapecie okna wyciągało listki do światła.

Jedną z półek etażerki zajmował tylko fotografia w skórzanym etui z podparciem. Chłopiec na zdjęciu, z zaczesanym na czoło klinem jasnych włosów, wykrzywił usta w tym samym nieśmiałym, trochę nieobecnym uśmiechu mężczyzny w znoszonej marynarce.

Stojący zegar z wahadłem ozdabiał kąt pokoju. Szafka obudowa błyszczała blaskiem często przecieranej politory. Obok wisiał ścienny kalendarz tygodniowy. Jedna z dat została obwiedziona czerwoną krechą.

Połytku mebli nie psuła nawet smużka kurzu. Lśniły wilgotnawym blaskiem codziennego pielęgnowania.

Mężczyzna szeroko otworzył drzwi na werandę. Powkładał kilkanaście pakuneczków do pozostawionej torby. Po chwili namysłu położył ją na tapczanie. Zwitki banknotów włożył do szuflady kredensu. Leżało tam jeszcze kilka innych.

Przyglądał się im w zamyśleniu. Nie przywiązywał wagi do pieniędzy, chociaż doskonale wiedział, jak bardzo są ważne. Posiadał ich dużo, bardzo dużo, bez wahania wydałby jednak wszystkie aż do ostatniego grosza, żeby tylko osiągnąć to, czego pragnął.

Pomyślał, że gotówka jednak nie powinna bezużytecznie spoczywać w pachnącej kamforą szufladzie – musiał wpłacić ją do banku.

Westchnął. Postanowił zrobić to jutro. W rogu etażerki umieścił ofiarowany aparat komórkowy.

Uważnie rozglądał się po pokoju.

Doszedł do wniosku, że jeszcze nie wszystko jest tak, jak było wtedy, tego dnia, gdy zmieniło się jego życie. Coś przeszkadzało, a on pragnął mieć czystą duszę i umysł, aby móc się skupić. Coś nie wyglądało tak jak osiem lat temu. Fragment istniejącej teraz rzeczywistości nie do końca odpowiadał zapamiętanemu obrazowi.

Szybkim krokiem, z popielniczką w rękę, poszedł do ubikacji. Wyrzucił niedopałek. Strzępem papierowego ręcznika wyczyścił wgłębienie w ciemnym kawałku drewna. Torbę przeniósł do kuchni. Teraz już nie czuł niczego fałszywego w widoku pokoju – wtedy też starannie usunął resztki tytoniu i popiół.

Obracając w palcach zapalniczkę, wpatrywał się w fotografię w skórzanym obwolucie – zdjął ją z etażerki i postawił na stole.

Znowu przeniósł wzrok na przedmiot trzymany w dłoni. Syn, którego zdjęcie miał przed sobą, osiem lat temu wyszedł kupić zapalniczki, bo on rankiem w ogrodzie zgubił zapalniczkę.

Ta, którą trzymał w dłoni, wyglądała prawie identycznie. Nie była dokładnie taka sama, różniła się zdobieniem wąskich boków, lecz niczym więcej. Ten szczegół nie powinien mieć znaczenia.

Jak zwykle przypominał sobie ten dzień, chociaż pamiętał go minuta po minucie.

Była sobota, a on skończył już prace domowe i pielenie grządek. Syn pobiegł do kiosku położonego parędziesiąt metrów dalej, po drugiej stronie ulicy. Chciał sprawić mu przyjemność.

Człowiek w szarej marynarce doskonale pamiętał cienki, zuchowało brzmiący głos: „Tatku, kupię ci zapalniczki, żebyś się nie martwił! Calutęnką paczkę. Mam pieniążki!”. Nie

zapomniał słów dobiegających zza ogrodzenia: „Będiesz mógł zapalić sobie cygarko! Zaraz wróć!”.

Słyszał niecierpliwy tupot bucików i trzask furtki.

Wtedy, już ponad osiem lat temu, czekając na powrót malca, wypalił jednak cygaretkę. Potem następną. Przypomniawszy sobie, że w kuchennej szafce wraz ze świecami leży pakiet zapalek. Z rozkoszą zaciągał się tytoniowym dymem. Zgasił wówczas niedopałek i dokładnie przewietrzył pomieszczenie. Nie chciał, aby chłopczyk oddychał oparem nikotyny i dbał o to. Skrupulatnie wyczyścił popielniczkę, tę samą, która stała przed nim.

Syn nigdy nie wrócił.

Mężczyzna w zamyśleniu obracał w palcach gładki, przyjemny w dotyku metal.

Przez całe osiem lat myślał o jednym – o tym dniu. Codziennie siadał przy stole i odtwarzał w pamięci tamte wydarzenia. Wyteżał umysł. Starał się zobaczyć każdy szczegół. Analizował każdą chwilę.

Żona go porzuciła, obwiniając o zaginięcie dziecka. Sprawiała mu ból, jednak szybko o nim zapomniawszy, zajęty próbami odtworzenia przebiegu zdarzeń. Że zdziwieniem spostrzegł wtedy, że dostrzega wiele spraw, zupełnie dla niego obojętnych, lecz ważnych dla innych ludzi – i nieraz bardzo dziwnych.

Zrozumiał, że po prostu je widzi.

Wiele osób zaczęło się do niego zwracać z prośbami o pomoc. Przynosili pieniądze, coraz więcej pieniędzy. Rzucił pracę, co przyjęto z ulgą, bo przez osiem godzin siedział za biurkiem i tępo wpatrywał się w ścianę. Początkowo żył ze zgromadzonych oszczędności, ale szybko przestał się martwić o swoje finanse.

Ta zdolność postrzegania fragmentów oddalonej od niego rzeczywistości z każdym rokiem poszerzała się. Dostrzegał coraz więcej, pewnie i bez wysiłku. Swobodnie sięgał w przeszłość, a potem odkrył, że równie naturalnie penetruje wymyki przyszłości, coraz bardziej rozległe.

Nie za bardzo pamiętał, co działo się, gdy stwierdził, że syn już nie powróci. Wyrzucił wszystko ze swojego umysłu. To nie miało znaczenia. Zapamiętał tylko, że musiał przychodzić do kilku budynków, odpowiadać na pytania i czytelnie podpisywać wiele dokumentów. Z wysiłkiem niekiedy przywoływał obraz korytarzy, twardych albo miękkich krzeseł i dłoni wskazujących miejsca, które zapomniawszy zaparafałować. Kilkanaście dłoni najrozmaitszych kształtów.

Człowiek w znoszonej marynarce ciągle obracał w palcach zapalniczkę. To mógł być ważny element, przełamujący jego niemoc w najważniejszej sprawie. Od dawna sięgał

w przeszłość i przyszłość, ale nadal nie mógł spostrzec, co się stało, kiedy syn doszedł do kiosku. Do tej pory widział w tym miejscu tylko dym – zawłaszczający obraz opar. Rozprzestrzeniające się kłęby dymu, zasnuwające wszystko.

Zapalniczka mogła być brakującą częścią minionej rzeczywistości. Zgubił ją tamtego dnia, a teraz trzymał w palcach prawie identyczny przedmiot, chociaż nie ten sam.

Szczupły mężczyzna wierzył, że wszystkie części wizerunku wydarzeń sprzed ośmiu lat może w końcu połączyć się w całość.

Rozejrzał się po pokoju. Wyglądał tak jak wtedy. Obrus nadal emanował świeżością, tylko nieco się już przyniszczył. Mężczyzna w szarej koszuli sądził, że jego nieuchronne zużycie nie powinno mieć większego znaczenia, ale starannie poślinił palec i wyrównał sterczące nitki.

Rośliny na oknie mocno wyrosły, jednak na to nie mógł nic poradzić. Często je przycinał, lecz znowu szybko się rozwijały.

Zegar tykał jednostajnie. Rok temu złamała się duża wskazówka, ale jej spojenie zegarmistrzowskim lutem nie sprawiło trudności – nie pozostał nawet ślad uszkodzenia.

Zbliżała się jedenasta trzydzieści – czas, gdy syn wyszedł. I był ten sam dzień miesiąca. Starannie podkreślał je w kalendarzu.

Rozległ się wysoki, metaliczny ton – zegar wybił pół godziny. Dźwięk kuranta zabrzmiał niczym dzwon, obwieszczający coś ważnego.

Tak jak wtedy, używając zapalek, zapalił sprasowany zwitek tytoniu. Zaciągnął się mocno. W dłoni ścisnął zapalniczkę, coraz cieplejszą od nacisku suchej dłoni.

Zamknął oczy. Potem je otworzył.

Widział. Po raz kolejny widział tę scenę.

Jasnowłosy chłopczyk niecierpliwym krokiem szedł w kierunku furtki. Nieco podskakiwał. Machał zaciśniętą piąstką, w której trzymał monety o drobnych nominałach. Mężczyzna z rękoma opartymi o koronkowy obrus po wielokroć już sprawdzał, jakie są to pieniądze.

Na chodniku malec uważnie się rozejrzał, bacząc, czy nie nadjeżdża samochód. Niecierpliwym gestem poprawił niesforny kosmyk włosów. Ponownie zwrócił głowę w prawą stronę jezdni, a potem przebiegł ulicę i zbliżył się do kiosku. Położył monety na stosie gazet.

Tak jak zawsze mężczyzna w znoszonej marynarce ujrzał teraz dym. Kłębiący się szaro-siny obłok, zamazujący i zacierający wszystko. Nie mógł dostrzec niczego więcej.

Jeszcze mocniej zacisnął kłęk na zapalnicze.

Nagle tuman szarości zaczął się rozwiewać. Znikał. Przestrzeń przed oczyma człowieka za stołem stawała się coraz wyraźniejsza.

Szczupła dłoń kurczowo ugniatała metal w paroksyzmie niespodziewanej i nadludzkiej siły. W skroniach pulsowała krew. Czuł zawrót głowy. Wreszcie mógł przeniknąć mgłę, której nie potrafił do tej pory przejrzeć. Czas oczekiwania nareszcie się kończył.

Zobaczył tył samochodu zaparkowanego na chodniku. Rękę wykonującą zapraszający gest w stronę malca, pakującego kilka paczek zapalek do kieszeni spodenek. Mocne ramię okrywał czarny rękaw kurtki ze sztucznego tworzywa. Dostrzegło się starannie przycięte i wyrównane paznokcie grubych palców. Szramę szpecącą silną pięść. I ciemną czuprynę, zaczesaną na jeża.

Mężczyzna wytężył wzrok.

Obraz nagle zmienił się.

Patrzył teraz na spękane flizy innego chodnika. Szeroką twarz bez wyrazu, z gęstymi włosami zaczesanymi do góry. Kieszeń w ciemnej kurtce tym razem została starannie zapięta. Usta oblicza o twardych rysach poruszały się gorączkowo. Drgający język artykułował zgłoski.

Ten człowiek coś mówił. Z podbródka ciekła gęsta strużka śliny.

Mężczyzna siedzący za stołem nie słyszał słów. Nie mógł się też zorientować, czy widzi przeszłość czy przyszłość. Na razie nie miało to znaczenia. Ważne było tylko jedno – wreszcie przeniknął zasłaniającą wszystko mgłę.

Spoglądał teraz na lufę rewolweru trzymanego w ręku szczupłej postaci, stojącej trzy kroki dalej. Długi cylinder tłumika dochodzący aż do muszki. Niebieskawy neon, migający za plecami obu mężczyzn, formujący w oku napis „Pub”. Nikłe ogniki trzech strzałów, oddawanych raz za razem.

Mężczyzna w znoszonej marynarce nagle coś jednak usłyszał – tępy łoskot ciała padającego na popękane płyty. Okrzyk człowieka z bronią, przypominający ostre szczeknięcie psa:

– To za tamto przy kiosku, skurwysynu! To za mojego syna!

Zobaczył ludzki czerep z czarną, nadal nienagannie zaczesaną czupryną, leżący na rancie krawężnika, podskakujący w rytm uderzeń kolejnych pocisków. Dłoń o długich

palcach, obwiedziona dobrze wyprasowanym mankietem szarej koszuli, rzuciła na ciało metalowy przedmiot.

Srebrzystą zapalniczkę z wizerunkiem pędzącego konia.

Nie dostrzegał już niczego więcej. Widok zamazywał się. Zanikał. Znowu zasnuwał go obłok szarości.

Wolno zwolnił nacisk palców. Czuł ciepło metalu rozgrzanego kurczowym ściśnięciem nadal suchej dłoni.

Wiedział, że ujrzał przeszłość, ale i przyszłość, po raz pierwszy tak wyraźnie. Spoglądał w niej na siebie, wymierzającego sprawiedliwość.

Obraz bezpowrotnie się rozwiął, jednak mężczyzna miał teraz pewność, że wizja znowu się powtórzy, może i bogatsza w szczegóły. Przywoła ją, gdy tego zapragnie, we właściwym dniu i właściwej chwili. Dowie się więcej, znacznie więcej, jeżeli tylko uzupełni fragmenty minionej rzeczywistości...

Po raz pierwszy od wielu lat radośnie się uśmiechnął. Czułe pogłaskał srebrzystą zapalniczką z pięknym wizerunkiem. Pędzący cwałem rumak zmierzał przed siebie, w przyszłość i jego też poprowadził w tę stronę.

Znużonym ruchem odsunął krzesło. Zawsze po widzeniu czuł się bardzo zmęczony, jakby przywołanie obrazu przeszłości – i przyszłości – wysysało z niego siły vitalne. Sądził, że z tego powodu tak bardzo zeszczuplał. Ten stan mijał, gdy zajmował się powszednimi czynnościami. To było dobre remedium na otępiający bezwład mózgu i mięśni.

Zmusił się do nakręcenia zegara. Dbał o szafkowy relikw z zegarmistrzowskiej sztuki, bo prawidłowy czas wywoływania obrazu syna, jak sądził, posiadał znaczenie, i to duże.

– Dwanaście obrotów w otworze z lewej strony, siedem dla sprężyny kuranta – mruknął, uchylając drzwiczki obudowy. – Za pięć dni to samo. Zapiszę to...

Grubym pisakiem starannie podkreślił kolejną datę w ściennym kalendarzu.

Nerwowym ruchem obracał teraz w palcach niedawno przekazany telefon komórkowy.

Uśmiechał się swoim łagodnym, nieco nieobecnym wygięciem warg. Nagle i ten podarunek okazał się bardzo przydatny.

Musiał zdobyć rewolwer i amunicję. Nie znał się na broni, jednak miał pewność, że szybko się z nią zaznajomi. Zapewne odbędzie naukę strzelania. Wiedział, że prędko opanuje tę umiejętność, bo w widzianym obrazie za każdym razem trafiał bezbłędnie.

Niebawem spotka się z mężczyzną, od którego kupił zapalniczkę. Pomyślał, że to też nie będzie problemem. Miał zresztą na to czas – dużo czasu. Czekał osiem lat, więc mógł trochę przedłużyć ostatnie chwile życia tego, z kim się spotka – i dowiedzieć się znacznie więcej. To był zaufany człowiek bossa gangu, którego gościł niedawno i któremu ocalił syna. Pewnie właśnie ten ochroniarz dostarczy broń i naboje, a potem on poprosi jeszcze o tłumik.

I wtedy spotkają się przed pubem... Sukinsyn przyjdzie, ufny, nie pamiętający o wcześniejszym ostrzeżeniu. Jeśli je zapamiętał, zlekceważy przestrogę. Tak musiało się stać, bo przecież w przyszłości stanęli blisko siebie na zniszczonym chodniku.

Palce czule głaskały chłodny już metal przedmiotu nabytego kilkadziesiąt minut wcześniej. Okazał się niezwykle ważny. Umożliwił projekcję innej rzeczywistości, jednak związanej z synem. Pewnie, osądził człowiek w szarej marynarce, zapalarka spoczywała w kieszeni kurtki, gdy niedawny gość spotkał malca przed kioskiem.

Potrząsnął głową. Pewnego bardzo istotnego elementu jednak nadal brakowało...

Poczuł przypływ złości, że wcześniej nie odtworzył ważnego fragmentu minionego czasu. Mocno zagryzł wargi.

Kilka lat temu kiosk opustoszał. Początkowo straszył brudnymi szybami, zabazgranymi wulgarnymi napisami, potem zniknął. Pozostała wyrwa w chodniku, porastająca zielskiem.

Postanowił, że szybko odtworzy ten nieistniejący już fragment obrazu, możliwie jak najdokładniej. Zatrudni sprzedawcę i pokryje straty przy sprzedaży, pewnie nieuchronne. Sberta gazet będzie leżeć z przodu tak jak dawniej. Część funduszków, którymi dysponował, nareszcie zostanie właściwie wykorzystana.

Sądził, że nowy, jednak ludzako podobny do starego punkt sprzedaży zamknie tamtą rzeczywistość aż do końca. Umożliwi zobaczenie całej postaci zapraszająco wyciągającej dłoń. Może nawet pozwoli na odcyfrowanie numeru rejestracyjnego samochodu.

Westchnął.

Zdał sobie sprawę, że zżera go zwykła ciekawość. Pragnął uzyskać więcej informacji, a przecież wiedział, że i tak bez wysiłku je zdobędzie.

Ludzie zawsze chcieli odwlec chwilę śmierci. Dostrzegał to wielokrotnie, w przeszłości i przyszłości. Opowiadali o wszystkim, co wiedzieli, zyskując upragnione minuty istnienia. Może kiedyś było inaczej, ale on się z tym nigdy nie zetknął. Człowiek z ciemną czupryną, zaczesaną na jeża, przed niebieskim neonem „Pub” gorączkowo poruszał ustami.

Mówił... Opowiadał.

Przekaze wszystko, co do najdrobniejszego szczegółu, srając w gacie ze strachu. Takie sceny też już oglądał; tak często, że zaczynał odczuwać zmęczenie. Niedawny gość wyjaśni też, jak malec zakończył życie. Tak, człowiek tego również się dowie, a może po prostu zobaczy.

Nawet cień wątpliwości nie zmaćcił umysłu mężczyzny siedzącego przy pięknym stole. Nie mogło stać się inaczej. Nie mogło, bo on nigdy się nie pomylił. Obrazy zdarzeń, które oglądał, przywoływał, nikogo przecież jeszcze nie oszukały. Nigdy nie kłamały. Jego też nie zawiodą. Zobaczył to, co się zdarzyło, i to, co się stanie.

Na pewno się wydarzy.

Całą swoją rozpaczliwie tęskniącą za utraconym dzieciakiem duszą wierzył w prawdziwość niedawno oglądanego obrazu. On przecież nie mógł kłamać.

Po chwili zastanowienia włożył zapalniczkę do wnętrza zegara. Nie chciał znowu jej zgubić. Rozumiał, że nie powinien zbyt często używać cennego przedmiotu, bo każda zmiana niekorzystnie wpływała na tak wytęskniony ogląd czasu minionego i przyszłości. Srebrzysty prostopadłościan platerowanego metalu stanowił okrucieństwo rzeczywistości spinający wszystko w całość.

Przy jego pomocy spełni też pragnienie wypełniające teraz umysł. Rzuci przedmiot na ciało mężczyzny z czarną czupryną. Przedtem pokaże, żeby ten człowiek zrozumiał, który element przeszłości naprowadził na jego trop. Prowadził do jego śmierci.

Fotografia jasnowłosego chłopca nadal stała na stole. Mężczyzna w szarej marynarce ujął ją delikatnym ruchem szczupłej ręki.

Uśmiech nagle stał się czuły. Tkliwy.

Łagodnie przetaił rąbkiem serwety osłonkę zdjęcia.

– Byłbyś pewnie szczęśliwy, wiedząc, że tata nareszcie doczekał chwili, o której marzył od tak dawna.

Głos brzmiał cicho.

Westchnął ciężko. Z przyjemnością zapalił kolejną cygaretkę. Otworzył okno, a potem drzwi werandowe.

Szary kłęb tytoniowego dymu, niesiony powiewem powietrza, wolno przemieścił się do ogrodu. Rozwiał się bez śladu. Mężczyzna uśmiechnął się lekko.

Szaro-siną chmurę, jeszcze wczoraj zakrywającą obraz przeszłości, też się rozplynie, bezpowrotnie zniknie, gdy on nareszcie zamknie fragment zbliżającej się przyszłości, strzelając jednemu z niedawnych gości trzy razy w głowę.

25 kwietnia 2016r.



JEDNO ŻYCZENIE

Iwona Grodzka

Długo milczała. W jej błękitnych oczach nie dostrzegał niczego więcej poza podekscytowaniem. Nie rozumiał, jak można nie zdawać sobie sprawy z niebezpieczeństwa, które wiązało się z podjęciem takiej decyzji. Dorośli ludzie nie powinni działać pochopnie, a tym bardziej w takiej sytuacji. Nie raz widział, jakie żniwa zbierała chciwość.

– Dobrze to sobie przemyślałaś? – postanowił po raz ostatni zasiać w niej chociaż maleńkie ziarenko niepokoju. – Nie ma nic za darmo. Może zdarzyć się tak, że cena, jaką przyjdzie ci zapłacić, będzie nader wysoka, aniżeli jesteś sobie w stanie to teraz wyobrazić. – Popatrzył na nią z nadzieją, szukając w choćby najmniejszym jej ruchu potwierdzenia, że wreszcie się wycofa.

– Nic nie rozumiesz! – prychnęła, krzyżując ręce na piersi. – To dla mnie naprawdę sprawa życia i śmierci! Nic nie zdarza się dwa razy. To moja szansa i zależy mi, mój panie, na

tym, by pozostać w pamięci tego świata przez dekady, jak nie stulecia! – Uśmiechnęła się na tę myśl. – I nieważne, jaką cenę przyjdzie mi zapłacić...

Mężczyzna westchnął z rezygnacją. Już nie raz przeprowadzał taką rozmowę i wiedział, że gdy ktoś jest tak uparty i próżny, nigdy nie kończy się to dla niego dobrze.

– Zatem, jak sobie życzysz... zorganizuję to spotkanie.

Patrzyłem na swojego towarzysza już dłuższą chwilę. Widać było, że bardzo znużyła go ta podróż. Zresztą nie tylko jego. Niemniej jednak było niezwykle kuszącą perspektywą wyrwanie się z zakurzonego i nudnego w ostatnim czasie Londynu. Słyszałem co nieco o Warszawie, ale nigdy nie sądziłem, że dane mi będzie odwiedzić to miasto. Okazja pojawiła się nader niespodziewanie, kiedy to do mojego drogiego przyjaciela Sherlocka Holmesa przyszedł list.

Było to właśnie zaproszenie od jego starego znajomego, Dionizego Grabińskiego, którego to poznał wiele lat temu podczas swojej podróży po Europie. Grabiński, naczelnik sądu w Łące pod Samborem, pomagał rozwiązać zagadkę śmierci służącej jednego z tamtejszych sędziów.

W okresie zimowym, gdy na Ukrainie robi się nieco spokojniej, Dionizy Grabiński przenosi się z rodziną na kilka miesięcy do swojego drugiego mieszkania, właśnie do Warszawy. Postanowił chyba odświeżyć swoje relacje z dawnymi pobratymcami i stąd to zaproszenie.

Gdy nasz powóz zajechał pod pięknie zdobioną kamienicę na Nowym Świecie było późne popołudnie dziesiątego stycznia 1899 roku. Marzyłem już tylko o tym, by rozprostować kości i się odświeżyć.

– Mój drogi Watsonie, wyglądasz na bardzo zmęczonego – stwierdził, wysiadając z karety.

– Cóż, nie jestem już takim młodzikiem, żeby kilkudniowa podróż nie robiła na mnie żadnego wrażenia.

Uśmiechnął się na moje stwierdzenie.

– A sądziłem, że tak jak ja jesteś żądny wrażeń.

– Traktuję pobyt tutaj jako swego rodzaju urlop. To ty, Holmesie, szukasz wrażeń.

Naszą wymianę zdań przerwał młody, najwyżej szesnastoletni chłopak, oznajmiając, że pan Grabiński już na nas czeka. Sam obiecał zająć się naszymi bagażami.

Małżeństwo zajmowało całe piętro, na którym mieściło się osiem pokoiów, w tym dwa dla służby, spora kuchnia i jadalnia. Służąca od razu wskazała nam kierunek do salonu, w którym to przebywał gospodarz i jego towarzysze.

– Drodzy państwo, a oto moi szanowni goście, Sherlock Holmes i doktor John Watson – powiedział to nawet przyzwoitą angielszczyzną. Następnie przedstawił nam swoją żonę, Eugenię, całkiem urodziwą kobietę po trzydziestce oraz dwunastoletniego syna Stefana. Tuż obok chłopca, jak się chwilę później okazało, stali państwo Raciborowscy – Bronisław i Anna. Przybyli na obiad do Grabińskich w towarzystwie córki Heleny. Lusią, bo tak prosiła, by ją nazywać, była niespełna dwudziestoletnią piękną o przenikliwym spojrzeniu. Muszę przyznać, że w tamtej chwili nie mogłem sobie przypomnieć, bym kiedykolwiek widział cudniejszą pannę. Długie blond loki opadały na ramiona, okalając śliczną porcelanową twarz. Była dość wysoka jak na kobietę i szczupła, ale nie brakowało jej krągłości. Miała w sobie coś magicznego, co zdawał się zauważyć również mój przyjaciel.

Podczas obiadu żartom i uprzejmościom nie było końca. Okazało się, że Państwo Raciborowscy również nader dobrze władają naszym językiem i szybko wyszło, że mamy wiele wspólnych tematów. Tylko mały Stefan zdawał się wyobcowany w starszym towarzystwie. Bacznie obserwował dorosłych i przysłuchiwał się im. Nie byłem w stanie stwierdzić, czy równie dobrze jak rodzice rozumie, o czym mówimy.

– Doktorze Watson, panie Holmes... – zaczął pan Bronisław. – Jutro urządzamy bal zimowy w naszej posiadłości pod Warszawą. Byłbym bardzo rad, gdybyście zaszczycili nas swoją obecnością. Zbierze się cała śmietanka towarzyska miasta i okolic.

– Rodzice organizują to przyjęcie co roku, ale to będzie wyjątkowe – dodała Helena.

– Owszem, tym bardziej byłbym bardzo zobowiązany, gdybyście chcieli towarzyszyć Dionizemu i jego żonie podczas wizyty u nas.

– A cóż to takiego niezwykłego się szykuje? – zaciekawił się Holmes.

– Na przyjęciu ojciec ogłosi moje zaręczyny z Franciszkiem Lisowskim – powiedziała uradowana.

– Co więcej, w dniu balu wypadają osiemnaste urodziny mojej córki – dodał Raciborowski.

– Zatem nie wypada nam odmówić, prawda, Sherlocku? – przytaknąłem ochoczo.

– To bardzo miłe ze strony Bronisława i jego żony, że postanowili nas zaprosić, nie sądzisz, drogi Holmesie?

– Owszem, aczkolwiek miałem nadzieję, że Warszawa przywita nas jakąś inną formą rozrywki – odparł znudzony. – Już tak długo nic się nie działo, że zaczynam popadać w marazm.

Wiedziałem, jak na niego działa brak zagadek. Niektórym wydaje się nie do pomyślenia, że ktoś może życzyć sobie śmierci innych. Niestety, to właśnie zbrodnie działają na mojego przyjaciela pobudzająco. Od długich tygodni nie widziałem błysku w jego oku i zaczynało mnie to martwić. Nie trudno było zauważyć, że zwiększył dawki i częstotliwość zażywania kokainy. Wielokrotnie powtarzałem mu, jakie to niezdrowe, jednak on chyba wolałby doznać uszczerbku na ciele aniżeli popaść w jeszcze głębszą depresję.

– Mam nadzieję, że stolica cię nie rozczaruje i wkrótce będziesz mógł się wykazać – próbowałem go pocieszyć.

– Watsonie, ja nie muszę się wykazywać – prychnął. – Wiesz dobrze, że nie zależy mi na rozgłosie, a jedynie na tajemnicy do rozwiązania.

– Za to ty zdajesz sobie sprawę z tego, że tajemnice zawsze cię znajdują i to nawet bez kuszenia losu. Nim się obejrzyś na pewno coś się wydarzy – stwierdziłem z przekonaniem. Mówiąc to jednak nie życzyłem nikomu śmierci.

Posiadłość Raciborowskich oszałamiała swoim pięknem i jednocześnie subtelnością – zupełnie tak, jak Lusia. Muszę przyznać, że mimo iż w swoim życiu widziałem tak wiele zachwycających miejsc, to Polska i jej dobra potrafiły mnie miło zaskoczyć. Nocne opady śniegu przykryły puchową pierzyną ogromny ogród wokół posiadłości, który mienił się milionem srebrnych kryształów w popołudniowym słońcu.

Z tego, co zdążyłem dowiedzieć się od Grabińskiego, bal zimowy był najważniejszym wydarzeniem tej pory roku. Nawet obchody noworoczne czy Boże Narodzenie nie miały dla najznamienitszych ludzi tej części kraju takiego znaczenia, jak spotkanie u Raciborowskich. Nie przeszkodziło to jednak gościom zajeżdżać pod dom gospodarzy w saniach. Okryci grubymi futrami i skórą, bardziej wyglądali, jakby wybierali się na wiejską potańcówkę, aniżeli wyrafinowane przyjęcie. Dionizy wyjaśnił mi, że sanie bardzo ułatwiają

przemieszczanie się poza miastem, kiedy spada tyle śniegu. Sami zresztą skorzystaliśmy z tej formy transportu, dzięki czemu dane mi było podziwiać tę uroczą okolicę.

Pan domu wraz z małżonką przywitali nas serdecznie zaraz od progu. Wewnątrz posiadłość bogatymi detalami niczym nie ustępowała temu, co prezentowała sobą na zewnątrz. Dzieła sztuki i antyki spotykało się tu na każdym kroku. Pomieszczenia były ozdobione ręcznie malowanymi tapetami, które doskonale komponowały się z drewnianymi komponentami w domu, w tym pięknie rzeźbionymi schodami, które u szczytu kończyły się kotarą zajmującą szerokość ściany, najpewniej ręcznie wyszywaną. W ten sposób gospodarze zapewne oddzielali część domu przeznaczoną na użytek gości od tej, która stanowiła ich prywatną przestrzeń.

Ten przepych zdawał się nie robić wrażenia na Holmesie. Mój przyjaciel popijał szampana i z zadowoleniem pozwalał się oprowadzać Dionizemu po salonach, gdzie poznawał coraz to więcej osób.

– Sherlocku, podejdź, podejdź! Doktorze Watson, zapraszam tutaj! – rzekł uradowany Grabiński. – Poznajcie proszę Franciszka Lisowskiego i przyjaciela rodziny Raciborowskich, Aleksandra Fediora. – Wskazał skinieniem głowy dwóch młodzieńców.

Mężczyźni wymienili długie uściski dłoni. Franciszek był wysokim, postawnym paniczem z kruczoczarnymi włosami. Wyglądał na jakieś dwadzieścia pięć lat, a jego prezencja nie pozostawiała żadnych wątpliwości, dlatego Helena się nim zainteresowała. Jego towarzysz był nieco starszy, miał może ze trzydzieści lat i twarz naznaczoną wieloma przeżyciami. Wzrostem dorównywał przyszłemu narzeczonemu Raciborowskiej, jednak zdawał się znacznie poważniejszy.

– Franciszek, jak już wiecie panowie, to wybranek serca naszej Lusi. Jego ojciec zajmuje się importem najwyższej jakości win z Francji do naszego kraju – zachwalał Dionizy.

– Aleksander za to jest w połowie Włochem. Jego rodzice przyjaźnili się z Bronisławem i Anną, nim chłopcy jeszcze przyszli na świat. Po ich śmierci Raciborowscy przygarnęli Aleksa i wychowali jak swojego syna – to mówiąc, zerknął na młodego, sprawdzając, czy ten aby nie ma mu za złe tego, co powiedział, ale Aleksander nie wydawał się urażony.

– Zdaje się, że pan dużo podróżuje, panie Fedior? – zagadnął Holmes.

– Owszem, skąd pan wie? – wbrew swojemu pytaniu nie wyglądał na zaskoczonego.

– Da się to zauważyć po pana skórze. W tym kraju nie ma aż takiego słońca, żeby uszkodziło jej strukturę. Ma pan również gdzieś tam plamy o ciemniejszym odcieniu, co oznacza, że nie szczędził sobie częstego przebywania na świeżym, ale jakże gorącym

powietrzu. Do tego strój, który pan dziś przywdział nieco różni się od wyjściowych ubrań obecnych tu mężczyzn.

Z zaciekawieniem wszyscy trzej pozostali przyglądaliśmy się ich wymianie zdań. Nie raz słyszałem wywody mojego przyjaciela, który potrafił zawsze trafić w samo sedno, jednak stale zaskakiwała mnie jego spostrzegawczość.

– Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. – Fedior uśmiechnął się z uznaniem. – Faktycznie mój surdut inspirowany jest nieco innymi kulturami. Wzory wyhaftowane na kołnierzyku i mankietach są typowo francuskie, natomiast te tutaj spinki do owych mankietów – wskazał na dwa kolce odstające od materiału przy każdym z jego nadgarstków – to inspiracja kulturą starych plemion afrykańskich. Niedawno wróciłem z kilkumiesięcznej podróży po Afryce.

– Aleksander bardzo interesuje się wierzeniami i różnymi gusłami, stąd te podróże – wtrącił Franciszek. Widziałem, że Holmes ze zdziwieniem podnosi brwi. Nie wierzył w takie rzeczy. Podobnie, jak do mnie, do niego również docierały jedynie rzeczowe argumenty i nauka.

Dalsza część przyjęcia przebiegała spokojnie do momentu, w którym pan domu nie zapowiedział przybycia swojej córki. Ochom i achom nie było końca, kiedy to Helena dumnie wystąpiła zza kotary i ruszyła powoli w dół schodów. Miała na sobie przepiękną esowatą suknię z długim trenem, która w świetle lamp mieniła się niczym śnieg z ogrodu. Jej talia była nienaturalnie smukła, a piersi uwydatnione misternie wykonanym żabotem. Gdy szła, wyglądało to tak, jakby fale poruszonego oceanu spływały schodek po schodku. Wszystkim, aż zapało dech. Po raz kolejny w swoim życiu musiałem przyznać, że czegoś takiego na oczy nie widziałem.

Gdy opadły pierwsze emocje, pan Bronisław z – jak wywnioskowałem – ojcem Franciszka połączyli młodych za ręce i ogłosili uroczyste, że tego oto dnia oficjalnie Lusja wydana zostanie za młodego Lisowskiego. Uczczono to toastem i gromkimi brawami. Dla mnie było to aż nadto emocji jak na dzisiejszy wieczór, ale Holmes zdawał się być coraz bardziej znudzony. Dla niego wszystko, co miało się wydarzyć, już się wydarzyło, a i rozmowa z gośćmi coraz bardziej upojonymi winem jakoś się nie kleiła. Szumiący w głowach alkohol nie ułatwiał im posługiwania się innym językiem. Jedynie Dionizy Grabiński, mimo upływu kilku godzin i pochłoniętej już chyba drugiej butelki wina, wciąż dotrzymywał nam towarzystwa. Coraz to kolejne tematy i żarty wyciągał niczym magik z rękawa. Holmes grzecznie uśmiechał się w odpowiedzi i od czasu do czasu wydusił z siebie

pojedyncze słowo, chyba tylko z grzeczności. Gotów byłem przysiąc, że byłby w stanie zaraz zasnąć na stojąco, gdyby nie krzyk. A zaraz za nim drugi i następny, i następny...

Poruszony tłum tłoczył się wokół schodów. Kobiety zaczęły histeryzować i mdleć. Zaaferowani panowie łapali swoje towarzyszki i odciągali od miejsca tragedii. Gdy ja i Holmes byliśmy już na tyle blisko, by zobaczyć, co się stało, Bronisław Raciborowski zaczął wzywać medyka. I już chciałem rzucić się na ratunek, gdy zrozumiałem, że nie będzie to konieczne. Na podłodze, obok klęczącego i zrozpaczonego gospodarza, leżała Helena Raciborowska. Była martwa.

– Proszę się odsunąć i niczego nie ruszać! – krzyknął detektyw. Odpowiedziało mu zawodzenie zrozpaczonego ojca i szloch jego żony. – Niech pan zabierze panią Annę do innego pokoju! – rozkazał.

Raciborowski zawahał się chwilę, ale pod naciskiem spojrzenia Holmesa wiedział, że sprzeciw nic tu nie da, więc się zastosował. Inni też nieco się odsunęli.

Lusia spoczywała z luźno rozpostartymi ramionami u podnóży schodów. Jej oczy były szeroko otwarte, jakby przepełnione strachem, lecz martwe.

– Co myślisz Watsonie? – Przyklęknął przy ciele dziewczyny, nie odrywając od niej wzroku.

– Sądząc po tym, jak nienaturalnie wykręcona jest jej szyja, złamała kark. – Po pomieszczeniu przebiegł jęk. – Nie inaczej, jak spadając ze schodów.

– Czy ktoś coś widział? – zwrócił się do zebranych, wstając z kolan.

– Ja widziałam, sir. – Wystąpiła przed zgromadzonych służąca o rudych włosach i piegowej buzi. – Stałam tutaj niedaleko, przy stoliku i nalewałam wina do kieliszków. Panienka Lusia rozmawiała chwilę z paniczem Franciszkiem, a potem powiedziała, że zapomniała czegoś z pokoju i miała na chwilę wrócić na górę.

– To prawda – dodał jej narzeczony. Stał pod ścianą, wsparty o ramię Aleksandra, po jego policzkach spływały łzy.

– Co było potem? – zapytał Holmes.

– Później chwilę jej nie było, może jakiś kwadrans. – Zamyśliła się. – Kończyłam ustawiać kieliszki na tacach, gdy usłyszałam, jak spada i ona już leżała o tak, jak to panowie widzą.

– Nic prócz odgłosów spadania nie słyszałaś? – dociekał mój przyjaciel.

– Nie sir. Nawet nie pisnęła.

– A może ktoś się tutaj kręcił?

– Panicz Lisowski, jak się rozstawali, poszedł tam na salony. A tak to kręciło się tutaj parę osób. No, na przykład pani Anna z kilkoma przyjaciółkami, widziałam też pana Bronisława z panem Dionizym i paniczą Fediora. Do tego kilku innych gości i służących. – Wzięła głęboki wdech. – Tylko przecież oni nie mogliby panience w żaden sposób zaszkodzić! – zreflektowała się. – Tutaj nikt by nie mógł! Ona była taka miła, taka dobra – zaczęła szlochać.

Holmes i ja poleciliśmy odprowadzić służącą do kuchni i dokładnie obejrzelśmy dziewczynę, potem schody. Żadnych śladów szarpaniny czy czegokolwiek, o co mogłaby się potknąć.

– Jakieś spostrzeżenia, Watsonie?

– Oprócz tego, co oczywiste i co już wiesz, żadnych. – Wzruszyłem ramionami i spojrzałem jeszcze raz w martwe oczy, zastygłe na pięknej, porcelanowej buzi. Wciąż wyglądała, jak żywa. – A ty, co myślisz?

– Cóż mój drogi.... – Zastanowił się chwilę. – Szanowni państwo, chyba mamy tu na pokładzie mordercę! – mówiąc to, rozejrzał się po zgromadzonych. Zapadła grobowa cisza. Ludzie nie dowierzali, przecząco kręcili głowami, niektórzy zaczęli między sobą szeptać.

– Jak to mordercę? – oniemiałem. – Jak wpadłeś na takie wnioski? Przecież w takiej sukni to nic trudnego, najzwyczajniej nieumyślnie się potknąć i spaść. Sam widzisz, jaki długi tren ma ta suknia. Wystarczy jeden nierozważny ruch i tragedia gotowa. Nie chcę być niemiły, Holmesie, ale chyba tym razem nieco się zagalopowałeś.

– Pamiętasz, jak na początku naszej znajomości powiedziałem ci, że to, co jest w sprawie nietypowe i dziwne, z reguły okazuje się wskazówką, nie przeszkodą?

– Tak, mówiłeś też wówczas, że przy rozwiązywaniu spraw najważniejsze jest „rozumowanie wstecz”. Dalej jednak nie pojmuję, do czego zmierzasz. Przecież nie ma tutaj nic nietypowego. To właściwie typowe potknięcie się na schodach, zatem przeszkód w prowadzeniu dochodzenia brak.

– Tutaj, drogi Watsonie, również mamy coś nietypowego. – Przyklęknął po raz kolejny. – Spójrz na jej nogę. – Podążyłem wzrokiem za jego palcem wskazującym i ujrzałem tylko materiał, który owinał się wokół kostki.

– To, że spódnica zaplątała się między nogami jest już chyba największym dowodem na to, że sama spadła.

– Nie mówię o materiale, przyjrzyj się dobrze. – Wskazał ponownie na kostki dziewczyny. Przykląkłem i dopiero wówczas, nachylając głowę pod odpowiednim kątem, zobaczyłem dwie niewielkie ranki, znajdujące się w jednej linii w dość znacznym odstępnie. Ulało się z nich parę kropel krwi. Przy ranach widać było delikatne obtarcie, jakby od jakiejś liny czy łańcucha. – To nie są ugryzienia komara, mój drogi – zadrwił.

– Czyli, jak mniemam, wiesz już, co doprowadziło do tej tragedii?

– Więcej! – Zerwał się z kolan. – Wiem, kto jest mordercą! – Po raz kolejny, odkąd się znamy, zobaczyłem w jego oczach blask podekscytowania. Sam fakt, że tak szybko rozwiązał tę sprawę chyba napawał go dumą. – Proszę zawołać państwa Raciborowskich, chciałbym by przy tym byli – zwrócił się do służącego stojącego nieopodal. Młodzik ruszył pędem do pomieszczenia obok i chwilę później wrócił z roztrzęsionymi rodzicami dziewczyny. Holmes przywołał jeszcze gestem Grabińskiego i jego żonę oraz paniczów Franciszka i Aleksandra.

Pozostali wyczekiwaniu patrzyli na zgromadzonych na środku ludzi. Wiedziałem, że po swoim współlokatorze mogę spodziewać się wszystkiego. Sam byłem ciekaw, co tym razem wydedukował i jak doszedł do swoich wniosków.

– Wszyscy czekamy, mów proszę – ponagliłem go.

– Nie będę owijał w bawełnę. Mordercą jest pan Fedior!

Tłum westchnął poruszony, gdzieś tam słychać było głosy oburzenia i niedowierzania, gdzie indziej śmiech.

– Pan oszalał! – krzyknął roztrzęsiony Franciszek.

– To niedorzeczne i szalone! – zawtórowała mu Anna Raciborowska. – Sir, pan postradał zmysły! To taka tragedia, straciliśmy nasze jedyne dziecko, a pan raczy tak oczerniać mężczyznę, który był dla niej jak brat?!

– Nikogo nie oczerniam, szanowna pani. – Spojrzał na Aleksandra, który chyba nic sobie nie robił z tego, że właśnie jest oskarżany o taki czyn. Zapewne był przekonany, że zagraniczny detektyw nie jest mu w stanie niczego udowodnić. – Fakty mówią same za siebie. Panicz Lisowski tylko chwilę rozmawiał z Fediosem w drugiej sali, gdzie byłem ja, Dionizy i doktor Watson. Miałem dużo czasu i swobody, by przyglądać się gościom. Szczególnie panicz Aleksander zafascynował mnie swoim sposobem bycia, zatem jego osobie poświęciłem szczególną uwagę. Po krótkiej konwersacji rozejrzał się po zgromadzonych i ruszył w kierunku pomieszczenia ze schodami, tyle go widziałem.

– To żaden dowód! – stwierdził surowo Bronisław. – Ja też się przy nich kręciłem, a jakoś nie jestem odpowiedzialny za śmierć mojej córki!

– Zgadza się – przytaknął detektyw. – Jednak pan nie ma czegoś, co posiada panicz Aleks. Pozwólcie zatem, że powołam się na koronny dowód w tejże sprawie, a którym to są spinki do mankietów. – Aleksander zbladł, kiedy wszyscy zwrócili swe spojrzenia ku jego rękawom. – Sądząc po umiejscowieniu śladów na kostce panienki Lusi wnioskuję, że pan Fiedor musiał przyklęknąć za kotarą i gdy dziewczyna zaczęła schodzić, złapał ją bardzo mocno za nogę, zostawiając przy tym ślad po spinkach w kształcie kolców. Ponadto sygnety na jego palcach wzmocniły uścisk, stąd te dodatkowe ślady obtarć.

– Franciszku, zaopiekuj się proszę moją żoną – rzekł spokojnie pan Bronisław. – Muszę wezwać policję.

Zostaliśmy w Warszawie jeszcze kilka dni. Po śmierci Heleny wszystkim przeszła ochota na zabawy i świętowanie, więc były to spokojne chwile. Aleksander nadal zaprzecza, jakoby miał jakikolwiek związek ze śmiercią swojej przybranej siostry. Jedyne, do czego się przyznał, to że nie powinien był jej wyjawiać swoich sekretów. Zapytany, o jakie tajemnice chodzi, milczał.

Wyruszyliśmy w podróż powrotną czternastego stycznia, zaraz po pogrzebie, i nigdy już nie wróciliśmy do Warszawy. Długo po naszej wizycie nie mogłem zapomnieć o tych wydarzeniach. Nawet raz czy dwa zdawało mi się, że widzę Helenę, jak przechadza się wśród tłumów. Potem jeszcze, gdy byliśmy już w Londynie, znajomy Polak mieszkający tam od lat, wiedząc o sprawie, która przydarzyła się mi i Holmesowi, pokazał nam dziennik, który nabył podczas swojej ostatniej podróży do rodziny, do Lwowa. Wśród licznych komentarzy natknął się w nim na wzmiankę o tragicznie zmarłej Lusi:

„Niezwykły pogrzeb. *Słowo Warszawskie* pisze: W tych dniach przeciągał przez miasto nasze niezwykły kondukt pogrzebowy: młodzież, którą spotykamy na wszystkich znaczniejszych zabawach tanecznych, niosła białą trumnę przybraną kwieciami ze zwieszającym się białym welonem... Nader liczny orszak postępował za trumną, poprzedzając karawan cały pokryty wieńcami i niezliczoną ilość karet. Był to pogrzeb ś.p. Heleny Raciborowskiej, córki Bronisława i Anny z Marszyckich, małżonków Raciborowskich, którą Anioł Śmierci porwał wprost prawie z wieczoru tanecznego... Tragiczna jej śmierć wzbudziła współczucie dla rodziny i narzeczonego we wszystkich kołach towarzyskich, a w znajomych

głęboki żal nad stratą bogatej w przymioty ducha i ciała, uroczej osiemnastoletniej ś.p. panny Heleny.”¹ – Gazeta Lwowska. Piątek 20 stycznia 1899 r., Nr 15.

Dziewczyna czekała w napięciu i nasłuchiwała. W końcu Aleksander obiecał, że ona przyjdzie. Czuła się taka szczęśliwa, wiedząc, że spełni się jej największe marzenie. Miała już wszystko – posiadłości, pieniądze, cudownego narzeczonego, którego darzyła szczerym i głębokim uczuciem. Była piękna i wiedziała o tym. Jednak każdy już przyzwyczaił się do jej urody, a ona chciała czegoś więcej. Pragnęła, by ją podziwiano, by zachwycano się nią na każde wspomnienie jej osoby i pamiętano o niej latami. Uroda przemienie, ale to, co zostaje w pamięci, jest wieczne. Zapisze się na kartach historii, Aleksander w końcu jej to obiecał, a on zawsze dotrzymuje słowa.

Usłyszała stukot. Siedziała w swoim ciemnym pokoju, otulona jedynie światłem pojedynczej świecy. Odgłos kroków za drzwiami wydał jej się więc bardzo wyraźny. Coraz szybsze, zbliżały się nieubłagane, tak, jak i jej cel. Bała się, ale tylko tego, co zobaczy. Przecież każdy mógł sobie wyobrazić, jak ona wygląda. Tyle opowieści słyszała, ale nie sądziła, że istnieje.

Dopiero Fiedor po powrocie z Afryki, nie mogąc ustać z podekscytowania, podzielił się z nią swoją tajemnicą. Nie sądziła, że będzie kiedyś tak szczęśliwa z tego, że wszedł do jej rodziny. Nie myślała również, że jej przyszły gość kiedykolwiek mógłby pełnić funkcję dobrej wróżki. Nie szukała korzyści, same do niej przyszły. Wyraźne i głośne kroki ucichły. Zamarła. Przestała na chwilę oddychać, w obawie, że ją odstraszy lub przegapi jej wizytę.

– Jestem, tak jak chciałaś. – Dobiegł ją za plecami skrzek, przypominający głos staruszki. Podskoczyła przestraszona, zupełnie się tego nie spodziewając. Nie odwróciła się jednak.

– Ja... dzie... dziękuję, że zgodziłaś się mnie wysłuchać – wydukała, patrząc w ciemność przed sobą.

– Będziesz ze mną rozmawiać odwrócona plecami?

– Nie, nie, oczywiście, że nie... – Helena wstała z fotela i powoli odwróciła się w stronę, z której dochodził chrapliwy głos. Wśród tańczących cieni dostrzegła postać w kapturze. Poszarpany płaszcz, w który była odziana, ciągnął się po ziemi. Spod materiału,

1 <http://jbc.bj.uj.edu.pl/dlibra/plain-content?id=22823> – dostęp z dnia 30.04.2016 r.

w miejscu, gdzie powinna znajdować się ręka, wystawał kij, z którego wyrastał długi łańcuch, zwieńczony metalową kulą z niewielkimi kolcami.

– Kiścień... – wyszeptała do siebie.

– Aleksander powiedział, że chcesz się ze mną widzieć. Oto jestem – rzekła zniecierpliwiona postać.

– Powiedział ci również, czego chcę? – zapytała już nieco pewniej. Jednak ta pewność siebie zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, gdy istota zaczęła się przybliżać, teraz niemal bezszelestnie sunąc w powietrzu. Była już tylko jakiś metr od dziewczyny, dzięki czemu ta mogła dostrzec wystające kości policzkowe, zuchwę i zionący czernią otwór tam, gdzie powinien być nos.

– Tak, powiedział. I muszę przyznać, że sądziłam, że nie będziesz miała mi nic do zaoferowania w zamian. Co za tym idzie, nie spełnię twojej prośby. Teraz jednak, gdy cię widzę... – Postać podniosła nieznacznie głowę i Helena mogła się przekonać, że to, co o niej mówili, to prawda. Ona nie miała też oczu, nie było nic prócz otchłani ciemności. – Wiem, że jesteś mi w stanie zaoferować więcej, niż ktokolwiek inny.

– Zatem zgodzisz się spełnić moje życzenie?! – Strach ustąpił miejsca radości, która przepełniła serce dziewczyny. Gdyby rozmawiała z kimś innych, chyba rzuciłaby mu się na szyję. Tutaj nie mogło być jednak mowy o takiej poufałości.

– Tak – wychrypiała postać. – A że wiesz już dawno, że nie ma nic za darmo, poznaj moje warunki, nim to się stanie.

Helena czekała w milczeniu, aż istota znów do niej przemówi. Była przekonana, że nie będzie miała żadnych wątpliwości i będzie mogła spełnić każdy warunek, jaki postawi jej mroczna łaskawczyni.

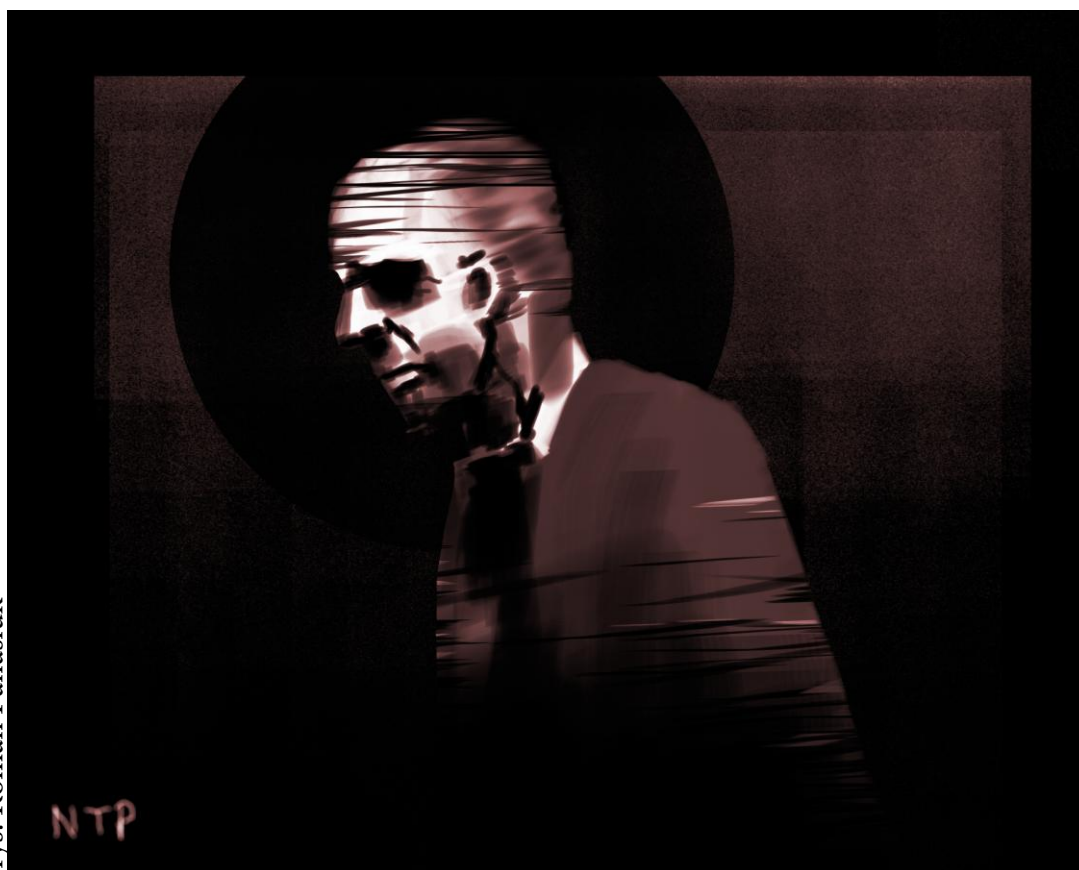
– W zamian za suknię, która wszystkich olśni i sprawi, że zostaniesz zapamiętana na lata, chcę byś oddała mi swoją urodę. Nie teraz i nie zaraz, lecz po twoim odejściu, kiedy przyjdzie na to czas. Już tyle wieków budzę odrazę i przerażenie, gdy zabieram ludzi z tego świata. Chcę zachwycać tak jak ty. Łaknę bycia pożądaną w cierpieniu i zapamiętaną. Mamy podobny cel. Czy wobec tego zgadzasz się oddać mi swoje ciało?

– Tak, zgadzam się – odparła z uśmiechem. Była przekonana, że miną lata, zanim będzie musiała spłacić swój dług. Do tego czasu będzie już więcej niż spełnioną kobietą, żoną i matką.

– Słowo świętsze niż życie.

Nagle płomień świecy zgasł i Helena została już całkiem sama.

rys. Roman Panasiuk



KOSZMAR

Krzysztof Katkowski

Pan G** wcale nie był złym człowiekiem. Nie miał żadnych, choćby najmniejszych problemów czy większych frasunków; wstawał rano, pracował w biurze, po czym jadł kolację i szedł spać.

Tak, dzień w dzień, oddychał radosnymi uniesieniami rutyny, czasem spotykając się ze znajomymi, tak samo spokojnymi jak on sam.

Nigdy się nie wywyższał, ponieważ brzydziło go to; nie czytał, nie palił i nie pił alkoholu. Dzięki przestrzeganiu tego jakże prawowiernego kodeksu życiowego, którym często mógł się chwalić w pracy, miał wspaniałą możliwość odpoczynku w stanie swojej bezmiernej głupoty; żył jedynie dla słodkiego pieniądza, kolejnych radości wywołanych

telewizją i chwilowym zachwytem nad przypadkowo poznanymi przedstawicielkami płci pięknej.

Nie wyróżniał się więc niczym od norm tak zwanego Społeczeństwa; składał się na socjalny organizm, dając zadość dawnym stwierdzeniom Spencera.

Sam nieświadomy nawet istnieniu takowych teorii, żył w słodkim przeświadczeniu o swojej niewinności; dla wielu świętej, dla innych żalosnej. Ta niczym nie wyróżniająca się egzystencja nadawała mu miano istnego geniuszu przeciętności; z pełnym powodzeniem mógłby więc być czczony na ołtarzach Biurokracji, które cieniem swoich ogromnych wieżowców duszą nas w co większych aglomeracjach miejskich.

Oddychał, jadł i pił w ustalonych przez ogół normach, stając się przykładem Rutyny; nawet jego wygląd, przedstawiający urzędnika w średnim wieku, z charakterystyczną łysinką zwieńczającą jakże miłą, chłopską facjatę, nie wykazywał żadnej, nawet pozytywnej niezwykłości. Całości dopełniały wypłowiały garnitur, który kupił za dobrych czasów przecen świątecznych; do tego buty, lekko jedynie przybrudzone, oddawały ducha mężczyzny, który przez całe życie kochał jedynie rachunki. Moim dywagacjom przyklaskuje choćby fakt o tym, iż nigdy się nie ożenił; mimo jednego nieślubnego synka, obecnie prawie dorosłego, nie pozostawił po sobie żadnego legalnego potomstwa czy pamiątki na stare lata.

Był człowiekiem tak zwyczajnym, jak większość tych, którzy żyją wokół nas; istotą, której ciasna natura mentalna nie wychodziła poza wąskie granice kultury; maszyną, która oddała swoje serce Pieniądzu; stworzeniem, którego umysł powoli mógł popaść w szaleństwo...

Kiedy nad miastem zapadł wreszcie mrok, G** wracał właśnie do domu; zatrzymany dłużej w biurze o kilka godzin, jechał teraz samochodem, który zakupił dzięki niedawnej premii; przepełniony zmęczeniem oraz niekrytą satysfakcją człowieka, który w ciągu dnia pracy dokonał naprawdę wiele.

Miał się rzeczywiście z czego cieszyć – wykonał przez ten jakże krótki czas tyle pracy, ile wystarczało na ujarzmienie jego ambicji; od jakiegoś czasu pragnął mianowicie ubić pewien ważny targ, który przyniosłby jego firmie ogromne profity; dzisiejszego popołudnia spełnił wreszcie swoje najskrytsze marzenia, zdobywając tym samym szansę na awans, a co za tym idzie zarabianie większej ilości pieniędzy. Każdy czytelnik dobrze wie, że potężny zastrzyk gotówki może uczynić człowieka podobnym do Boga – jak zwykli mawiać ludzie prości; za te jakże podniecające kawałki żółtego metalu można spotkać prawdziwą miłość czy spełnienie pośród otchłani przepełnionych alkoholem; zapalić papierosa i zapomnieć o najgorszej trosce, jaką jest awaria prądu; obzarcie się tonami nędznej masy

pożywienia, tak dla niektórych organizmów szkodliwych, dla tych zaś – gdzie tłuszcz zastąpił duszę – są jedyną możliwą przyjemnością...

Z dokładnie wyłuszczonych powyżej powodów ten przykład zdrowego rozwoju negującego się w zarodku Społeczeństwa należał do najszcześniejszych w chwili przekroczenia progu swojego domu; po rozebraniu się i przebraniu w tak zwany „strój domowy” udał się do kuchni, świętując swoje małe zwycięstwo.

Wyciągnął szybkim ruchem z szafki flaszkę ładnie wyglądającego wina, obrzydliwego jednak dla każdego konesera; nalał go następnie szybko do szklanki, po czym wyjął pęto kielbasy celem zagryzania; po chwili zostawił trunek, uznając się nagle za wyjątkowo zmęczonego.

Szybkim krokiem, niemal nagi, udał się do łazienki, gdzie postanowił umyć się po kilku ciągnących się w nieskończoność dniach; przed tą uroczystością wypełnił wannę prawie w całości, że gdy usiadł w niej woda się wylała; ten fakt rozśmieszył go to tego stopnia, iż zaczął się myć wyjątkowo szarym mydłem...

Szczegółowy opis tych jakże odrzucających wydarzeń pozostawię jednak wspaniałej zapewne wyobraźni Czytelników. Następnie jednak wstał szybko, wytarł swoje ciało i udał się do nędznie urządzonego pokoju, można rzec, że prawie bez gustu; to wrodzone beztalencie przebrało się szybko w białą-różową piżamę, po czym wskoczyło do łóżka; po zapaleniu lampki nocnej nastąpiło pogrążenie się w lekturze odnalezionej w swoim urządzeniu elektronicznym.

Wzrokiem człowieka uzależnionego od opium, którego właśnie oddzielono od jedyne go obiektu swoich uciech, ten prosty człowiek pochłaniał znajdujące się w sieci wiadomości ze świata – odpowiednik Biblii; krzyczał prawie, gdy zakończyły się te o biznesie...

Przejęty śmiertelnym obruszeniem, zgasił lampkę i odrzucił swój tablet; przytulił się do poduszki, pragnąc upragnionego snu...

Nie mógł jednak spełnić tego celu; czuł się z tym źle, co jest typowe dla ludzi z dużymi ambicjami, które mogą spełnić jedynie przed innymi ludźmi, nigdy zaś przed swoimi najbliższymi czy samym sobą.

Jako że G** nie miał bliskich, pozostawał tak, przy zgaszonym świetle, rozpaczliwym wzrokiem szukając jakiegoś punktu, w który to mógłby się wpatrywać; potrzebował jakiegokolwiek zajęcia, a nie miał już najmniejszej ochoty ponownie brać się za włączanie światła w pokoju. Włącznik był mianowicie oddalony o parędziesiąt metrów od niego – ta

obrzydliwa odległość odrzucała go, więc zmusił się teraz do przymknięcia oczu i wsłuchania w powolne bicie zegarów...

Zegary tykały mianowicie z pewną irytującą szybkością, nie pozwalając w spokoju mu zasnąć. Uderzenia mąciły piękną ciszę, której skrycie nienawidził; wieczorami stawiała się jednak potrzebna, by wreszcie móc zasnąć. Miał niesamowitą ochotę zniszczyć wszelkie zegary w swoim domu, dając zadość tym samym słowom pewnego francuskiego poety, o którym w życiu nie słyszał i słyszeć nie planował; może jedynie teraz, by wreszcie zamienić swoją mękę w jakże upragniony sen.

Przez dłuższy czas przewracał się z boku na bok, rozrzucając poduszki i bawiąc się kołdrą; czynił to w tak idiotyczny sposób, że powinien był cieszyć się, iż światła są zgaszone i nikt go nie może widzieć przy czymś takim... Wreszcie jakby zmęczony całym precedensem położył się na poduszce, zamykając na chwilę oczy.

A zegary uporczywie tykały dalej, przejmując go swoimi przeraźliwymi uderzeniami; ich dziwny spokój mroził mu krew w żyłach, zadając dziwne, niespotykane wcześniej dla niego cierpienie; z początku dziwił się temu, potem jednak jakby poddał się, przeżywając męki przy wyniszczających go uderzeniach, wyjątkowo tajemniczych odgłosach wędrówki wskazówek zegara...

Jak zwykle dzieje się w podobnych chwilach, gdy nie można spać, ten najzwyczajniejszy w świecie osobnik począł rozpatrywać, co uczynił przez miniony już dzień: jak wspaniale oszukał swoich przyjaciół z pracy, jak zarobił na tym dużo pieniędzy! Cieszył się, że został obdarzony tak wspaniałym talentem manipulacji, nie wiedząc jednak, iż sam padał jej ofiarą codziennie. Jako człowiek kompletnie głupi nie mógł tego zauważyć, więc teraz jedynie cieszył się, uśmiechając błogo; skupiając się na tym z wolna rozluźnił swoje mięśnie, stając się wreszcie choć minimalnie śpiącym.

Wtedy przyszedł czas na natręstwa; przechodzący w stan spoczynku mózg wyrzucił z podświadomości najgorsze choćby fantazje czy tłumione marzenia; dusił je, bawił się nimi, męcząc ponownie biednego G**. Ten nędzny wytwór Społeczeństwa usiłował z początku walczyć z okropnym wytworem wyobraźni; kiedy jednak zauważył wreszcie, jak bezcelowe są podobne działania, przestał się opierać, oddając się otchłaniom własnego umysłu, duszy...

Widział się jako człowieka młodego, który ma nadzieję i który kocha; i mimo że teraz brzydził się tych myśli i tłumił je z nieukrywaną radością, czasem nachodziły go; widział siebie jako człowieka oddanego religii, jaką jest miłość, choć dawno się już jej wyrzekł, by móc się skupić na własnych finansach i ambicjach pod okiem tego wspaniałego bóstwa, jakim jest Biznes. Dziś powróciły do niego zdwojone, potem zmieniając się w sadyzm i inne

podobne podszepty wyniszczonej pasmem pracowitości podświadomości... Z umysłu, tak na pozór banalnego i oddanego dla tak słynnych i narzucanych nam norm, wypłynęły teraz istne strumienie zboczenia i marzeń, w których się pogrążył z oddaniem. Wszelkie zapory, zwykle chroniące jego umysł, zwolniły się teraz, ukazując wszystko szczerym i prostym, choć obrzydliwym; pod wpływem alkoholu umożliwił sobie ujrzanie rzeczy wcześniej do poznania przez niego niemożliwych... Zegar tymczasem wybił właśnie godzinę dwunastą, nazywaną potocznie północą; pozostało to jednak niezauważone, gdyż uderzenia zegara przez cały czas pozostawały takie same.

Po chwili wybudził się jednak z trwających tak długo do tej pory rozmyślań; popatrzył na drzwi prowadzące do swojej sypialni, które właśnie otworzyły się z lekka pod wpływem zapewne przeciągu; usłyszał jedynie długie, przeraźliwe skrzypienie. Nie wdarła się żadna strużka blasku, jako że wszystkie światła w domu zostały wcześniej skrupulatnie zgaszone. Dzięki właśnie temu na pozór banalnemu wydarzeniu do spokojnych, lecz natarczywych odgłosów wskazówek zegara dołączył lekki powiew wiatru, mogący zdziwić nietypowym powiewem mrozu, który przynosił wraz ze sobą.

G** otworzył szybko oczy, jakby czymś nagle przerażony: wydało mu się, iż słyszy otwarcie okna na dole, następnie zaś energiczne zamknięcie; potem jakby ktoś przemieszczał się po parterze jego domu, przystając co chwila z gracją godną oficera śledczego starszej daty; zignorował to jednak, mimo ogromu swojej głupoty uznając za odgłosy przybyłe z zewnątrz bądź najzwyczajniejsze w świecie złudzenia, które tak często przecież towarzyszą nam podczas snu.

Na chwilę uspokoił się. Chwila ta minęła szybko – gdy tylko usłyszał głos powolnego wspinania się po schodach; czuł, jak jakieś lekkie stopy z wolna przemieszczają się coraz wyżej i wyżej, idąc na pozór bez celu. Wiedział jednak, że muszą być tutaj w jakimś celu, nie przyszłyby przecież tak po prostu; po raz pierwszy w swoim całym prostym i rutynowym życiu nie wiedział czemu zawierzyć – swojemu rozsądkowi, który podpowiadał mu w tej chwili, iż jest to zwykłe złudzenie, czy może tak długo tłumionym uczuciom, które wchodziły z wolna do wyzutego z pomysłu umysłu...? Nie wiedząc, co robić, poddał się jednak tak długo wyśmiewanym przez niego przesądom, biorąc szybkim ruchem Biblię, leżącą na szafce nocnej blisko łóżka. Przytulił ją z teraz nieskrywany strachem; na czoło wystąpiły kropelki zimnego potu, które usiłował jak najszybciej wstrzymać. Z nawet dla niego bliżej niezrozumiałych powodów obawiał się, że któryś z jego znajomych mógłby go teraz zobaczyć; a w tej właśnie chwili wyglądał doprawdy komicznie.

Bał się tak, jak jeszcze nigdy w życiu; skulił się, słysząc kroki zbliżające się coraz bardziej do jego pokoju. Gdy ich pogłos rozległ się tuż obok drzwi, przymknął oczy w geście rozpacz i zupełnego braku nadziei. Przeklinał w duszy swój niedawny uczynek, którym było napięcie się alkoholu – to właśnie ta na pozór błaha czynność wyostrzyła jego zmysły, skazując teraz na okropne cierpienie duchowe.

A zegary tymczasem tykały z niezmierną prędkością; mimo że starał się nie zwracać na nie chociażby najmniejszej uwagi, męczyły go ich natrętne uderzenia; pomimo przerażającej sytuacji tak spokojne i banalne.

Poczuł chłodny powiew wiatru, który prawie że siłą położył go na powrót na poduszce; był teraz jakby sparaliżowany, mógł jedynie rozglądać się po obszernym pokoju; po raz pierwszy w życiu przeraził go jego ogrom, umeblowanie spowite w cieniu i obszerność; czuł poza tym, iż są to już ostatnie sekundy, gdy znajduje się w nim sam.

Mianowicie już po chwili drzwi uchyliły się z lekka, czego wynikiem było ukrycie się przez G** jeszcze bardziej pod jakże piękną kołdrą; bał się jak nigdy dotąd, trzymając się koszulki mokrej już od potu; kleiła się ona teraz do ciała, brzydząc go i radując zarazem.

Słyszał jakby słowa, wypowiedane z wolna przez przybysza; ich znaczenie gubiło się jednak w nieustających uderzeniach wskazówek zegara, dalej okropnie nastęrczających się dla jego już i tak wyjątkowo wykończonej psychiki.

Wyczuł, że ktoś siada na krześle, jakby przeglądając notatki; przerzuca rachunki, jakieś zapomniane zdjęcia z dzieciństwa; nie widział żadnej z tych czynności, jednak czuł, iż takowe następowały. Była to pozorna głupota, w tej właśnie chwili jednak potwierdzona; mróz z nagle otworzonego okna nappełnił go dodatkową grozą, przez co z nagłą pobladł; tak przerażony, leżał teraz, z całej siły tuląc Biblię, której dawniej tak bardzo się wystrzegał...

Nagle zapadła cisza. Jedynie uderzenia wskazówek zegarów przerywały ją, G** zdążył się już do tego jednak przyzwyczać; mógł na chwilę uspokoić się teraz, nie wiedząc, co przyniosą następne minuty. Gorzej, kiedy moment wypoczynku minie; nie musiał zresztą czekać na to zbyt długo.

Już po chwili mianowicie w jego umyśle pojawiło się inne uczucie; miał wrażenie, że ktoś go obserwuje, przenikając duszę i myśli. Dręczyło go to okropnie i nie dawało spokoju.

Na pozór banalne i głupie, przechodzące wręcz w groteskę – stało się czymś przerażającym; za wszelką cenę chciał teraz zapalić lampkę nocną i przekonać się o swojej mylności; wiedział dobrze, jak głupim jest jego zachowanie, mimo to wstrzymywał się przed tym uparciem, jakby bojąc się skutków podobnej decyzji. Przepelniony tak strachem leżał na

łóżku, patrząc uporczywie w sufit; starał się nie zwracać choćby najmniejszej uwagi na nieproszonego gościa, nie wiedząc nawet, czy ten w ogóle istnieje.

Uderzenia zegarów ponownie zaczęły go denerwować i torturować monotonnym brzmieniem... Krzesło przesunęło się z lekka, wywołując u pana G** jeszcze większe obawy; skulił się, z przerażeniem chowając się pod kołdrę. Biblia, którą wcześniej trzymał kurczowo w rękach teraz wysunęła się, upadając na ziemię. To wydarzenie jednak nie zajęło go specjalnie, pogrążonego w tym momencie w rozmyślaniach nad wezwaniem pomocy.

Miał ciągle wrażenie, że tajemniczy przybysz zapisuje coś na jednym z jego dokumentów; co chwilę spoglądając na niego, jakby chciał opisać tę całą, jakże zresztą komiczną scenę. Denerwowało go to szczerze i marzył teraz jedynie o jak najszybszym pozbyciu się natręta, skądkolwiek pochodził; chciał już zasnąć i oddać się wiecznemu uczuciu spokoju i szczęścia. Gdyby nie strach, który nakazywał mu pozostać w miejscu, wstałby zapewne w celu sprawienia niechybnej krzywdy nieoczekiwanemu gościowi.

Skupiając się na podobnych rozmyślaniach, dodawał sobie otuchy, choć na chwilę uciekając od okropnej tortury, która od tak długiego czasu nie pozwalała mu nawet zasnąć. Czuł, że nie potrzebuje już żadnych przesądów, by wyrwać się z przerażenia; mimo to, na wszelki wypadek, jak mówią ludzie zapobiegliwi, dalej pozostawał ukryty pod kołdrą. Cały spocony, zastanawiał się, w którą piżamę ubierze się następnego dnia; skupił się nagle na sprawach codziennych, tak odbiegających od rzeczywistości, która otaczała go teraz; mógł przez chwilę poczuć się spokojnym i głupim, jak to mógł odczuwać przez całe swoje dotychczasowe życie; na chwilę znowu przymknął oczy, ziewając przeciągle.

Po chwili znowu otworzył je jeszcze, jednak tylko na chwilę; poczuł znowu dziwny, mrozący podmuch wiatru, który teraz zdał mu się zwykłą igraszką, doprawiającą jedynie to, czego już wcześniej doświadczył. Chwilę później ponownie poczuł, jakby leżał w czymś mokrym; musiał być to zapewne pot, przypominający w swej konsystencji krew; wiedział już teraz, że jest to złudzenie, następna halucynacja wytworzona przez umysł, wyzwalamy właśnie podświadomość...

Pozorny spokój opanował go teraz, kierując na drogę, która miała go już wyprowadzić z tej okropnej krainy grozy, w której tkwił przecież od momentu zgaszenia światła w swoim pokoju... Znowu usłyszał dźwięk przekładanych papierów na biurku, akompaniowany przez miarowe uderzenia zegara, dalej przerażające w swojej flegmatyczności.

Odwrócił głowę w stronę ściany, by znowu przymknąć oczy; usłyszał, jak ktoś podchodzi do jego łóżka, pozostając w niebezpiecznej odległości od miejsca, które zwykł nazywać uchem. Czuł coś w rodzaju oddechu; odnosił wrażenie, jakby miał za chwilę

usłyszeć jakiś krótki monolog, który wytłumaczyłby mu całe wydarzenie... Nie usłyszał jednak nic – nic, poza dziwnym, narastającym oddechem; potem ciszy, ciszy która teraz tak przytłaczała go. Jedyńm już odgłosem, jaki mógł usłyszeć, było następne uderzenie nigdy chyba nie zatrzymującego się zegara.

Poczuł nagłą ulgę, gdy drzwi i okna zamknęły się; wiedział już, że to koniec tajemniczych wydarzeń tego wieczora... Wreszcie wyzwolony, poprawił kołdrę, i wytarł pot okalający pulchną twarz; aby zapobiec podobnym zdarzeniom postanowił następnym razem wziąć po prostu leki nasenne, tak polecane przecież w telewizji, którą czytał i kochał z całego swojego jakże prostackiego serca.

W końcu po tylu trudach zasnął, akceptując już nawet nieustanne, irytujące bicie zegara; dawne przerażenie zniknęło zupełnie, ustępując miejsca wspaniałym chwilom snu, tego niesamowitego okresu przygotowań do dnia pełnego pracy...

Zbliżał się nowy dzień, w którym wydarzenia nocne są już jedynie plotkami popularnymi wśród bliskich znajomych. G** zasnął wreszcie, nieświadomy *niczego*, co doświadczył tej nocy... Następnego dnia wstał i przebudził się, wiedząc, iż podobne historie zdarzają się każdemu.



LOT DIABŁA

Martyna Walerowicz

Pisk opon.

Samochód zatrzymał się centymetr od drzewa.

Paweł ścisnął kierownicę, aż poczuł, że wnętrza dłoni zaczynają go mrowić. Zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech, więc powoli wypuścił powietrze z płuc.

Niemal uderzył w karego konia, który przecwałował przed maską volvo. Zwierzę wyłoniło się zza jednej ze starych lip tworzących aleję.

Mężczyzna wyszedł z wozu. Z ciała powoli odpływała adrenalina i jego uda stały się nieprzyjemnie miękkie. Nozdrza zaatakował zapach spalonej gumy. Malachitowo-zielone korony drzew ocieniały asfalt. Ostrzegawczy krzyk pokrzywnicy przeciął gęsty upał mocnym „tiih”. Paweł okrążył pień i spojrzał na rozległe ściernisko. Ciągnęło się po horyzont, ale nie dostrzegł na nim sylwetki zwierzęcia. Rozejrzył się i uniósł brwi. Kary koń zniknął.

Wrócił do samochodu. Drżącą dłonią otarł pot z czoła. Był pewien, że przed maską przecwałował koń krwi angielskiej, metr osiemdziesiąt w kłębie, czarny jak węgiel. Pomyślał, że mógłby sprawdzić, czy zwierzę nie zostawiło śladów. *Bez sensu.* Przekręcił kluczyk i samochód zarzęził. *Przy takim upale nawet czołg nie odcisnąłby śladów na tej skorupie.* Spojrzał w lusterko wsteczne, wycofał i jadąc czterdzieści na godzinę, rozglądał się po okolicy.

– Skręć w lewo.

Głos Hołowczyca przerwał obserwację. Paweł wrzucił kierunkowskaz.

Droga była węższa i brukowana kocimi łbami. Po lewej, za drewnianym płotem, rozciągało się żółtawozielony padok, na którym pasło się stado koni. Na oko pięćdziesiąt sztuk. Po prawej w ziemię wdzierało się jezioro. Miało granatowo-brązową barwę zbiorników zbyt małych, by porządnie odbić w swojej tafli błękit nieba.

Na końcu drogi stał dwór żywcem wyjęty z *Pana Tadeusza*. Volvo wjechało na okrągły podjazd przez rozwartą szeroko, żelazną bramę. W cieniu białych kolumn parterowego dworku ukrywała się postać. Paweł zbyt gwałtownie zahamował. Wysiadł z samochodu i podszedł do mężczyzny. Wyciągnął dłoń.

– Paweł Staszewski.

– Ireneusz Pal. – Był to stary mężczyzna o prostokątnej, ogorzałej od słońca twarzy i głęboko osadzonych, ciemnych oczach. Uśmiechnął się lekko, samymi kącikami ust. Prawe ramię wspierał na kuli ortopedycznej.

– Przepraszam za pośpiech, ale przed chwilą niemal zderzyłem się z karym koniem. Jakies metr osiemdziesiąt w kłębie. Cwałował...

– Metr osiemdziesiąt? Cholera jasna. To mogła być Limuzyna. Proszę pobiec za dworek. W pierwszej starej stajni znajdzie pan mojego syna Staszka. Proszę mu powiedzieć, żeby sprawdził Limuzynę. Powinna być na menażu... – Mężczyzna przeniósł ciężar ciała na prawą nogę. – Sam bym pobiegł, ale moje kolano...

Paweł skinął głową i spełnił prośbę. Za dworem stały cztery stajnie – dwie z nich nowe, lśniące białą ścianą; dwie drewniane, kryte strzechą. Stały w parach, nowe naprzeciwko starych. Paweł skręcił w budynek znajdujący się bliżej dworu, mając nadzieję, że znajdzie tam syna Ireneusza.

Przyjemny zapach słomy i dobrze utrzymanych zwierząt rozgościł się w nozdrzach mężczyzny. Nad jego głową przemknęła jaskółka. W pomieszczeniu nie było koni. Wysoki człowiek w chirurgicznej masce na twarzy zamyślał korytarz między boksami, budząc ze snu kurz. Paweł pomachał mu i ruszył w jego stronę. Zaczął kichać.

– Czego pan potrzebuje? – Stajenny ściągnął maseczkę. Był uderzająco podobny do Pala.

– Paweł Staszewski. Jestem nowym weterynarzem. Jadąc tutaj, niemal zderzyłem się z karym koniem. Metr osiemdziesiąt. Anglik. Pan Ireneusz powiedział, że to mogła być Limuzyna...

– A miał rząd? – Powieki spokojnie okalały ciemne oczy czterdziestoletniego mężczyzny.

– Nie. – Paweł odkaszlnął.

– To nie mogła być Limuzyna. Pani Ania ćwiczy na niej ujeżdżanie. Zaczęła piętnaście minut temu. Ale jeżeli to pana uspokoi, możemy sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Mimo wszystko...

Irytująco powoli Staszek odłożył miotłę i ruszył do wyjścia, mijając kichającego Pawła. Wyszli z budynku (zdaniem Pawła, wlekąc się niemiłosiernie) i przystanęli u wrót, bo do stajni dość dziarsko zbliżał się Ireneusz. Jego sylwetka migotała w pyłe dnia.

– I jak, Staszek? Limuzyna...

– Limuzyna jest pod Anną, tato. – Staszek odczekał, aż podpierający się na kuli staruszek zbliży się dostatecznie, by mogli pójść razem.

Dlaczego ten facet był tak spokojny, do cholery? Nie powinni się teraz uwijać, sprawdzając liczbę koni? Słońce rozgrzewało łysinę na czubku głowy Pawła, gdy szli spokojnym marszem w stronę krytej ujeżdżalni. No dobra, od dziecka przebywałem przy tych zwierzętach i nawet w cieniu lip powinienem dobrze oszacować wzrost i masę konia, ale przecież byłem zmęczony i zdenerwowany. Może cienie zabarwiły wierzchowca czernią? Może rzeczywiście miał siodło? Paweł wyobraził sobie nieznaną amazonkę, leżącą w trocinach menażu. Kark złamany, kask toczy się pod literę A...

Czuł się jak idiota. Jak mogli go tak ignorować? Niemał zderzył się z czterystukilowym koniem (oraz o wiele cięższym drzewem) i, cholera jasna!, mógł pomylić się, co do masy zwierzęcia, ale był pierdolonym weterynarzem i...

Kara klacz wykonywała piaw dokładnie na środku menażu. Amazonka spojrzała na trójkę mężczyzn, którzy pojawili się w szerokich drzwiach stajni i uniosła brwi.

– Oto Limuzyna po Laszce. – Staszek machnął ręką. – To jedyna kara klacz w tych stajniach o takich rozmiarach.

– Słuchajcie, do cholery. – Paweł czuł jak strumyczek potu wślizguje mu się pod kołnierz. – Niemal zderzyłem się z koniem, a później z drzewem. Wolałbym, żeby ktoś się tym zajął. Od dziecka przebywam z końmi, to nie była żadna sarenka ani łoś...

– Co się tak pan denerwuje? – Ireneusz wyjął komórkę z kieszeni dżinsów. – Już zadzwoniłem do reszty załogi, żeby sprawdzili, czy wszystkie konie są na padoku.

Paweł przetarł dłonią czoło. Spojrzał w ciemne oczy mężczyzn i poczuł, jak puls mu zwalnia.

– Przepraszam. Ten cholerny upał. Mam za sobą długą drogę... No i ten koń... – Wzrok weterynarza powędrował do wysokiej, karej klaczy i amazonki, które wykonywały woltę w galopie.

– W okolicy jest jeszcze prywatna stajnia. Mają tam Broszę, to wysoka, kara klacz, może im uciekła. Na razie nikt nie odebrał telefonu.

Paweł ponownie spojrzał na mężczyzn i zauważył, że wymieniają między sobą przeciągłe spojrzenie ciemnych oczu. Niemal konspiracyjne. *Mam paranoję*. Poczuł jak pod kością potyliczną rodzi się ostry ból głowy.

– Spokojnie. – Staszek poklepał Pawła po ramieniu jak niespokojnego konia. – Skąd pan przyjechał?

– Z Janowa.

– O kurwa...! – Ireneusz uniósł krzaczaste siwe brwi. – A co się stało, że wyeksportowali pana z Arabii do Anglii? – Chichot staruszka zabrzmiał jak popiskiwanie myszki.

– Dobre zmiany. – Paweł odetchnął głęboko stojącym powietrzem końca sierpnia. Słyszał cichy chrzęst skóry rzędu i miękkie uderzenia kopyt w zebrany galopie, o podłoże wyłożone trocinami. – Dobre zmiany, panowie.

Ireneusz poinformował go, że właściciel musiał wyjechać do Niemiec, bo nadarzyła się świetna okazja zakupu klaczy. Dlatego przez te trzy dni, w ciągu których Paweł będzie przeprowadzał kontrolę weterynaryjną, Ireneusz się nim zajmie. Stajenny zaprowadził go do pokoju na poddaszu dworku, który był wypełniony gorącym, suchym powietrzem, jakby drewno krokwi i podłóg wyssało wilgoć. Paweł podziękował Ireneuszowi, który oddalił się powoli, postukując gumową końcówką kuli o parkiet.

Weterynarz umył się w małej łazience, mając wrażenie, że zdiera pot razem ze skórą. Przebrał się w ciuchy robocze i ruszył do pracy.

Staszewski widział, że stajennym nie podoba się jego myszkowanie – zaglądnienie do papierów i ocenianie czystości stajni, warunków przechowywania pasz i siana, rozglądanie się za bezsensownie porzuconymi trutkami na szczury i myszy. Jednak nie przejmował się nastawieniem pracowników – wiedział, że błąd może go dużo kosztować.

Na szczęście stadnina koni angielskich była świetnie utrzymana. Późnym popołudniem Paweł poszedł na padok, by poobserwować ukrywające się w cieniu lip zwierzęta. Po drodze sprawdzał, czy w okolicy nie występują rośliny trujące.

Pożółkła trawa łamała się pod podeszwami. Paweł słyszał świerszcze, które ukryły się w roślinności okalającej jezioro. Stado wypoczywało pod koronami drzew. Część zwierząt obróciła łby w jego stronę, gdy do nich podszedł. Strzygły uszami, ale się nie oddaliły. Paweł sprawdził poidła. Były czyste. Spojrzał w stronę jeziora.

Miał taką straszliwą ochotę popływać w chłodnej wodzie. Mógł sobie wyobrazić, jak się zanurza... Czułby tę przyjemną warstewkę rozgrzanej słońcem wody, a pod nią, w okolicach stóp, chłód głębin. Zapach stojącej jeziora, zwierząt i rozgrzanej, suchej trawy, prześlizgnął się po sklepieniu nozdrzy i Paweł odetchnął.

Mógł się założyć, że stado też chętnie zanurzyłoby kopyta w wodzie... W sumie dlaczego tego nie robiło? Zanotował w skoroszycie, że musi zapytać stajennych. W końcu kąpiele wodne są wskazane. Zwłaszcza w taki upał.

Wieczorem konie wróciły do boksów. Weterynarz poprosił Ireneusza, by stawiał się o szóstej rano w stajni – chciał przebadać ciężarne klacze jeszcze przed posiłkiem. Stajenny kiwnął głową.

– Może siądzie pan z nami po kolacji i napije się jednego? Posłuchałbym, jak to jest w tym Janowie. – Staszek podszedł do weterynarza i ojca, którzy słuchali żucia siana i uderzeń kopyt o deski. Ćmy objęły się o żarówki.

– Jasne. – Paweł obrócił się do wyjścia. – Chciałbym sprawdzić pozostałe stajnie. Was jest czwórka?

– Tak. Po jednej osobie do każdej stajni. – Ireneusz też obrócił się w stronę wyjścia. – Pewnie spotkał pan Piotrka i Magdę?

– Tak, ale szczerze powiedziawszy, myślałem, że będzie was więcej. Wiadomo coś w sprawie tego karego konia, którego widziałem na drodze?

– To była Brosza. – Staszek stanął ramię w ramię z ojcem. Ustawili się pod światło i Paweł nie widział ich twarzy. Cienie motyli nocnych tańczyły po betonowej podłodze, rosnąc i malejąc, rosnąc i malejąc... – Już ją złapali.

– To dobrze. – W żołądku Pawła rozkwitło uczucie towarzyszące snom, w których stoimy nadzy przed całą klasą. – Chciałem jeszcze zasugerować, żeby wypasać konie w okolicy jeziora. Dać się im wykapać. To nie powinno im zaszkodzić.

– Nie. – Głos starszego mężczyzny był szorstki. – To nie najlepszy pomysł.

– Woda nie została przebadana pod kątem mikrobiologicznym? – Paweł uniósł brwi.

– Tak.

– Nie.

Odpowiedzi padły jednocześnie. Staszek lekko obrócił głowę, jakby powstrzymywał się przed spojrzeniem na ojca. Paweł zacisnął szczęki.

– Nie, nie została przebadana. Tak, nie została przebadana. – Staszek przerwał ciszę. – Cholerny język polski.

– W porządku. – Paweł skinął głową. – Fajnie by było ją przebadać. W taki upał konie pewnie chętnie skorzystałyby z kąpieli. Odciążąłaby stawy. Jeżeli panowie wybaczą, to pójdę do stajni numer dwa. Zastanawia mnie lizawka w jednym z boksów. Widzimy się na kolacji.

Wyszedł ze budynku, wciąż czując się nieswojo. Słyszał, że mężczyźni zaczynają rozmawiać o czymś z ożywieniem. Paweł miał wrażenie, że niemal się kłócili. Potarł potylicę. *Paranoja, paranoja, paranoja...*

Konie w stajni numer dwa, czyli drugiej starej stajni, również się posilały. Stajennego nie było w pobliżu i Paweł poczuł, jak irytacja łaskocze dno żołądka. Podeszedł do boksu, który go zainteresował. Wcześniej pomyślał, że pomieszczenie jest w trakcie czyszczenia, a sól, którą znalazł na podłodze to... pokruszona lizawka? Staromodny sposób dezynfekcji? Chciał porozmawiać o tym ze stajennym, który poszedł już na kolację.

Weterynarz szedł przez budynek i niektóre konie wysuwały łeb w jego stronę, błyszcząc oczami i rozszerzając chrapy. Stanął przed boksem i spojrzał do środka. Na podłodze nadal znajdowała się sól.

Usypana w znak krzyża.

Ogłupiała światłem ćma uderzyła Pawła w skroń. Wzdrygnął się. Podążył wzrokiem za krążącym owadem, który podleciał pod krokiew. Mężczyzna rozwarł lekko usta. *Nie wierzę.* Wyjął komórkę i włączył lampkę LED. Skierował strumień światła pod dach.

Czerwona wstążka była przywiązana do belki. Lekko postrzępione końcówki materiału zwisały smętnie.

– Nie wierzę – powtórzył na głos i podszedł do boksu naprzeciwko. Siwy ogier łypnął na niego ciemnym okiem i wrócił do posiłku. Paweł skierował lampkę pod powałę. Żadnych czerwonych wstążek.

Co to jest? Jakiś rytuał oczyszczenia? – prychnął, czując że zmęczenie opada mu na barki. *No cóż, to ich sprawa.*

Wyszedł ze stajni i skierował się do dworku. Wilgoć płynąca znad jeziora przyklejała się do rzęs. Pchnął drzwi kuchni. Poczł zapach starej politory i drewna. Niedawno wymieniono sprzęty elektroniczne – lodówka mruczała cicho, a z kuchenki wystawały lśniące, żeliwne palniki gazowe. Pochylał się nad nimi stary (na oko Pawła jeszcze przedwojenny) okap. Ściany były puste i bielone. Po prawej stronie pomieszczenia stała długa i szeroka ława, przy której siedziało czterech stajennych. Anna, która rano ujeżdżała Limuzynę, kładła na stole koszyk wypełniony kromkami chleba. Ludzie milczeli, zmęczeni upałem. Paweł usiadł, życzył wszystkim smacznego i sięgnął po dzbanek z herbatą.

– Później pójdziemy posiedzieć na zewnątrz. W pomieszczeniach nie da się wytrzymać. – Ireneusz przełknął kęs kiszzonego ogórka.

– Dobrze. – Paweł nalał herbaty do szklanki. – Chciałem zapytać o boks w stajni numer dwa.

Czy wszyscy na sekundę zamarli? Staszewski miał wrażenie, że mięśnie ich twarzy lekko zeszytywniały, jakby ukąsił je niewidzialny pajęczek.

– Jak pan ocenia nasze stajnie, panie Pawle? Jutro zaczyna się normalny dzień roboczy koni i będzie mógł pan pooglądać trochę skoków. – Anna usiadła u szczytu stołu i spojrzała na Pawła. Była blondynką o ciemnobrązowych oczach.

– Wszystko jest utrzymane na najwyższym poziomie. Nie mam się do czego przyczepić. Konie są regularnie werkowane, szczepione, odrobaczane. Zamiatacie stajnie, gdy zwierząt nie ma w boksach. Zastanawiam się, jak układacie sobie pracę w tygodniu.

Napięcie opadło. Paweł przypuszczał, że zachowywali się dziwnie, bo bali się negatywnej oceny weterynarza. Zaczęli zagadywać Pawła o pracę w najsłynniejszej stadninie w Polsce. Paweł starał się udzielić wyjaśnień na wszystkie pytania, chociaż na swoje nie dostał odpowiedzi.

Wszystkim tak dobrze się rozmawiało, że porzucono pomysł przeniesienia się na zewnątrz, a Ireneusz poprosił Staszka, żeby przyniósł czystą.

Wraz z kolejnymi upływającymi godzinami w kuchni robiło się coraz duszniej. Około dwudziestej drugiej Piotrek, Magda i Anna skapitulowali. Staszek zmył się do łóżka pół godziny później.

W dużej kuchni o bielonych ścianach, siedząc przy dębowym stole, na którym stały resztki kolacji, weterynarz i stajenny pili wódkę.

– Wiem, o który boks chciałeś zapytać. – Ciemne spojrzenie starego prześlizgnęło się po twarzy Pawła, niechętnie jak kot przez kałużę. – To rozkruszona lizawka. Pewnie Piotrek jej nie posprzątał.

– Była usypana w znak krzyża. – Paweł czuł, że alkohol przejmuje dowodzenie nad jego językiem. – A na krokwi przywiązaliście czerwoną wstążkę...

– Słuchaj, my nie jesteśmy z tych, co wierzą w zabobony! – słowa wystrzeliły z ust staruszka, jak rozpedzony żrebak. – Po prostu tak... nie mieliśmy wyboru.

– Panie Irku, nie oceniam. Nigdy w życiu. To wasze stajnie i dopóki zajmujecie się końmi, jak należy...

– To nie żadne zabobony! – Drobne kropelki śliny i wódki wyprysły z warg starego jak iskry spod szlifierki. Stajenny patrzył w okap oczami przypominającymi porzucone lisie nory. – Nie mieliśmy wyboru! Ksiądz odprawił egzorcyzmy tego boksu. Podobno pomógł, ale wolimy nie sprawdzać. Gdy konie przechodzą koło niego, to zawsze ściągają w bok, byle dalej. Czują zło. Chcieliśmy tam wprowadzić Flarę na próbę, ale zaczęła pisać i nastawiać zad do kopania.

Paweł lekko rozwarł usta. Miał problem z koncentracją. Potrząsnął głową.

– O czym pan mówi?...

– O tym, że nie jesteśmy żadnymi kurewskimi poganami, jak pewnie ci się wydaje! – Irek oderwał oczy od okapu i polał wódkę, ale tylko sobie. – To mnie prześladowe w snach. Jak on... Te oczy... Wiercą mi duszę. Co noc.

– Ale... – Paweł położył duże dłonie płasko na blacie, sygnalizując tym samym, że nie ma zamiaru więcej pić. – Ja nic nie mówiłem. To wasza sól i wasze czerwone wstążki.

– Bo to się zaczęło od tej nieszczęsnej nocy w dziewięćdziesiątym. W życiu bym nie powiedział, że można się zabić w taki sposób. – Stajenny wypił kieliszek do dna. Zamknął oczy, zmarszczył się strasznie i uderzając szkłem o stół, jęknął „eeech”. Paweł patrzył i zastanawiał się, jak jeszcze dać staremu do zrozumienia, tak żeby się nie obraził, że nie ma nic przeciwko ich zabobonom. Ale wzmianka o śmierci ścisnęła krtań pijanego weterynarza, który odsapnął i zamilkł.

– No, śmierć w sumie prosta. Artek się powiesił. To był taki dobry chłopak. Znał się na koniach. Wydawało się, że wszystko z nim w porządku. Śmierć przez powieszenie... dużo osób ją wybiera, ale Artur chyba naoglądał się westernów... Bo ja wiem. Myślę, że wspiął się na Kolię i z jej grzbietu przywiązał sznur do krokwi.

– Kolię?

– Kolia po Kordacie. Klacz. Dziadkiem Kordaty był Sandro Song.

– Czarny diament. – Paweł skapitulował i jednak nalał sobie wódki. – Był piękny.

– Albo czarny diabeł. – Ireneusz przez sekundę skoncentrował wzrok na Pawle. – W każdym razie Kordata była kara, a Kolia gniada. Nieważne. – Umysł stajennego podryfował w ciemne głębiny wspomnień. – Klacz była bardzo spokojna. Ułożona. Artur musiał na niej stanąć i z niej zawiązać linę. A gdy już na niej stał... Sam pan wie, że konie angielskie są bardzo wysokie... Kopnął ją w zad i zwierzak odskoczył. Tak musiało być, bo w boksie nie było ani stolka, ani... no, niczego. Tylko słoma i koń.

– To była straszna tragedia. Dlaczego Artur targnął się na swoje życie? Wydaje mi się, że prywatnie u chłopaka było wszystko w porządku. Ale kto tam wie samobójców? Może Artur miał jakiś mroczny sekret? Może tragicznie się zakochał? Fakt był jeden – chłopak nie żył i popełnił samobójstwo z grzbietu klaczy. Ciężarnej klaczy Kolii (po Kordata), która została zażrebiona trzy dni wcześniej, przez ogiera Pullato. Też karego. Więc w sumie nie było dziwne, że nasza spokojna Kolia dała żrebaka tej maści. Niektórzy mówili, że może się jeszcze wytrzeć, ale ja wiedziałem. Nawet włosy w uszach miał dogłębnie czarne. I podniebienie, i dziąsła. Ktoś powiedział, że ma melanizm. Może, nie wnikałem. Był kary jak bezgwiezdna i bezksiężycowa noc. Jak źrenice diabła. Jako żrebak zachowywał się normalnie. Dużo spał. Brykał. Uważał się za pana padoku. No, jak każdy młody koń. Dopiero, jak odstawiliśmy go od matki, to coś się zaczęło dziać. Na moje to on zaczął jeść ziemski pokarm. Nie śmiej się! Co mleko matki, to mleko matki, a co owies, to owies. W każdym razie wtedy zacząłem obserwować, że Kwazar... tak daliśmy mu na imię, Kwazar, po Kolii. Że Kwazar nie jest do końca normalny. Nie uśmiechaj się pod nosem! Gdybyś widział to bydle! Czarny jak węgiel i spalona ziemia. Wysoki. I ta jego cholerna sierść! Ile ja się napracowałem, żeby zaczęła lśnić! Ile go szczotkowałem! Ale ciągle była matowa jak zamsz. Ale to nie ważne. Nie ufałem mu. Był spokojny jak matka. Pod siodłem mało energetyczny. Dał się podkuwać i dotykać nawet we wrażliwe miejsca. Ale mimo tego spokojnego charakteru, konie odsuwały się od niego na padoku. A gdy był w boksie... On zawsze stał tak pośrodku, jak posąg, a konie w sąsiednich boksach odsuwały się od niego. Przytulały do najdalszej ściany. Kwazar nie spał. Cholera jasna, wiem, jak wygląda śpiący koń! Uszy zwieszane, chrapy też, głowa nisko. Czasem się kładą. W stajni numer dwa żaden

koń się nie kładł na słomie. Mówisz, że jeden koń zawsze czuwa, gdy reszta śpi, nawet w stajni. Ale Kwazar nie spał całą noc i inne konie też czuwały nad sobą nawzajem, pilnowały reszty. Myślę, że przed tym diabłem. Im był starszy, tym mniej prychał i rżał. Konie się nawołują. Sam wiesz, że gdy wycieczka pojedzie w teren, nie ma ich z pięć godzin i wrócą, to szyby drżą od rżenia. A Kwazar milczał. Czasem prychnął, gdy zaplątał mu się w chrapach jakiś paproch, ale nie rżał. Był jak kukła. Wydrążony koń. Nawet łba nie obrócił, gdy obok przechodziło inne zwierzę. Tylko na klacze w rui reagował normalnie. Wszyscy się śmiali z Kwazara, że to taki ślimak; że ma metr osiemdziesiąt, ale pod siodłem chodzi jak paralytyk. Że ma takie długie nogi, a cwałuje jakbyś toczył kwadratową beczkę. A skoki... Szkoda gadać. Tylko ja wiedziałem, że on udaje. Że na coś czeka. Że daje się siodłać, poklepywać batem i szarpać wędzidłem, by pewnego dnia... Wiesz, jak mówią – gdyby koń wiedział o swojej sile, to nie dałby na sobie jeździć. Kwazar wiedział. Tylko czekał. Bał się przechodzenia przez drzwi stajni. Wtedy myślałem, że to najdurniejszy koń, jakiego widziała ta stadnina. Był uparty jak ciele, odskakiwał w prawo, pod ścianę, przyciskał się do niej bokiem i niemal galopem wybiegał ze stajni, ocierając się o zawiasy drzwi. Ale mnie tym irytował! Kiedy był źrebakiem, to nie było problemu, ale jak dorósł i stał się silny, to wychodzenie z nim na zewnątrz okazało się istnym koszmarem! Pewnego dnia obserwowałem, jak Staszek (miał wtedy dwadzieścia dwa lata, szef zatrudnił go za Artura) wyprowadzał Kwazara przez te cholerne drzwi. I wtedy mnie uderzyło. Wyszli w końcu po szamotaninie, a ja poszedłem do komórki i wziąłem drabinę. Postawiłem ją przy drzwiach i zdjąłem krzyż ze ściany. Nie wspomniałem o tym? Nad każdym wejściem do stajni wisiał krzyż, żeby nawet Bóg miał oko na nasze konie. Gdy zdejmowałem ten krucyfiks to pomyślałem, że do reszty zdurniałem. Że sobie przybieram do łba. Schowałem krzyż w komórce. Na chwilę. Kwazar wrócił z treningu. Prowadził go Staszek. Przeszli przez drzwi. Pamiętam, jak syn uniósł brwi i obrócił się, jakby sprawdzał, czy wszedł do stajni, a nie do dworu. Kwazar przeszedł i nawet uszu nie położył. Od tego momentu już wiedziałem. Kilka razy sprawdzałem, czy to kwestia krzyża, czy to Jezusa tak bardzo boi się ten cholerny koń. Za każdym razem schemat się powtarzał – Kwazar przechodził spokojnie tylko, gdy zdejmowałem krzyż. I od tego momentu zacząłem się bać. Teraz już byłem pewny, że Kwazar czeka na dogodny moment... Kiedy Maria się przy nim kręciła, to włoski się jeżyły na skórze. Popatrz pan! Jeszcze tak się dzieje! Stają mi dęba za każdym razem, kiedy o tym pomyślę. Maria była szesnastoletnią amazonką i miała takie rude, sięgające pasa włosy. Gęste. Jej twarz miała kształt serca, oczy były szare, a skóra blada. Jak stała pod światło, to wyglądało tak, jakby jej się czubek głowy palił; jakby miała krwawą aureolę... Zatrzymała się tutaj na

wakacje, dokładnie dwadzieścia lat temu... Coś ją nęciło do Kwazara. On też za nią wodził łbem i patrzył, patrzył... Jak za tymi klaczami w rui. Tylko zębów nie odsłaniał... On wcześniej nikogo nie obserwował. Jak wąż wylegujący się na słońcu. Wydaje się, że jest martwy, bo nawet nie drgnie. Ale w ostatniej chwili BACH! I trzeba wstrzykiwać surowicę. Marii się to podobało. Wiedziała, że tylko za nią obraca chrapy, tylko przy niej strzyże uszami. Ludziom się wydaje, że jak zwierzę się nimi interesuje, to są jacyś niezwykli. Gdy pies się łasi i merda ogonem, to od razu jakoś tak lepiej na sercu. Z końmi jest tak samo. Jak już cię polubią, a nie jest łatwo zaskarbić miłość konia, to jest przyjemnie, gdy szturcha chrapami, gdy przechodzisz obok, albo uspokaja się przy tobie, nawet gdy zauważy kowala w drzwiach stajni. Nieważne. Kurwa, wiem, że panu się wydaje, że to był tylko koń! Ale my tutaj wiemy lepiej. Zabroniłem siodłać Kwazara w czasie, kiedy dziewczyna jest w stadninie. Kłamałem jej, że koń był świeżo po kolce. Piątej nocy, dwudziestego ósmego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewiątego szóstego, Staszek wpadł do mojej sypialni, wrzeszcząc o Kwazarze i Marii. Zerwałem się z łóżka, ruszyłem po schodach. Światło księżyca wpychało się przez okna. Zostawiało plamy na parkiecie. Leciąłem, nie biegłem. Już miałem chwycić za klamkę drzwi frontowych, już wyjść w jasną noc, gdy coś mnie tknęło i kierując się pamięcią... Nie. Nie kierowałem się pamięcią. Obraz mnie wzywał. Szeptał z mroku. Ruszyłem w ciemny kąt pokoju, którego nie oświetlał księżyc. Chwyciłem za cienkie ramy i szarpnąłem. Wyrwany ze ściany gwoździł uderzył mnie w czoło. Poczułem zapach tynku, kredowy i nieprzyjemny. Kichnąłem. Słyszałem, jak szef zbiega po schodach. Z zewnątrz dobiegały krzyki trzech stajennych: Staszka, Mirka i Tomka. Trzymając obraz, wypadłem na zewnątrz. Księżyc myśliwych. Wszystko było widać jak na szarej chuście. Wiesz, jak to wygląda? W nocy oświetlonej takim światłem, świat staje się czarnobiały i cienki jak pęcherz ryby. Stałem między kolumnami i zamarłem. Koń tańczył w żwirze podjazdu. Bryzgał kamykami spod kopyt. Siedziała na nim Maria. Między oszalałym koniem, a bramą stali stajenni. Zerwałem się i okrążyłem Kwazara. Nie rżał, tylko dyszał głośno jak kowalski miech. Chłopcy starali się go uspokoić. Dołączyłem do nich. Szef stanął w drzwiach. Ogier ustawił się bokiem, prezentując jeźdźca. Uspokoił się. Światło księżyca oparło się o jego ciało i widziałem jak sierść lśni i wtedy, jak Boga kocham, pomyślałem: „Ja pierdolę, ty wstrętna szkapo. Tyle cię szczotkowałem, tyle kurwa tego rokitnika ci wsadzałem do żłobu! Tak o ciebie dbałem i masz czelność mieć lśniącą sierść w nocy? Kto, do kurwy nędzy, ogląda konie w nocy?!”.

Maria zamknęła oczy. Miała na sobie półprzezroczystą halkę i niemal wszystko było widać. Włosy spływały po jej plecach i piersiach, więc trochę zasłaniały. Wyglądała dojrzała i wyzywająca. Była taka drobna na tym wielkim karym koniu. Jasna. Trzymała go za kark,

twarz wtuliła w grzywę, ale od naszej strony dobrze ją było widać – uśmiech, uniesione brwi. Jakby spała, a nie siedziała okrakiem na wielkim, karym ogierze.

Kwazar stanął dęba i pomyślałem: „Maria spadnie!”

Ale ona tylko się odchyliła. Uśmiechnęła się szerzej, błysnęły zęby. Mocno chwyciła udami końskie ciało. Piersi oparły się o kłęb.

Oczy konia zapłonęły czerwienią. Rozwarł szczęki i zarżał. Takiego rżenia nie słyszałem nigdy w życiu. Jakby diabeł miał chrypę i wrzeszczał. Zgarbiliśmy się. Kwazar młócił powietrze kopytami. Poczułem, że jeszcze sekunda i nie damy mu rady. Że ucieknie. Gdzie? „Co za nonsens!”, pomyślałem. Przecież brama jest zamknięta. A ma dwa pięćdziesiąt wysokości! Nagle poczułem ostry zapach siarki, jakby ktoś tuż pod nosem zapalił zapalkę. Podniosłem wysoko obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i zacząłem się zbliżać do konia. Szef później powiedział, że myślał, że oszalałem. Tylko, że miałem rację. Może gdybym nie był grzesznikiem... Zacząłem się modlić. „Święta Mario, Matko Boża!”. Mimo bijących powietrze kopyt i płonących oczu i duszącego zapachu siarki zbliżałem się do Kwazara. „Módl się za nami!”. Uspokoił się. Znowu tylko dyszał. Spomiędzy obnażonych zębów, kłów kapła gęsta piana. Gdy kropla opadła na żwir, usłyszałem syk. Modliłem się dalej i nagle... Stanął dęba. Podkute kopyto rozdarło płótno. Odskoczyłem w ostatniej sekundzie. Kwazar opadł na żwir. Zarżał. Więc zrobiłem to, co robi się, gdy staje się oko w oko z rozjuszoną ogierem. Wpakowałem mu palec wskazujący i kciuk w chrapy. I mam w dupie, czy teraz się zaśmiejesz. Ten skurwysyn był pusty w środku i gorący jak rozpalony ołów. Wrzasnąłem i wyrwałem rękę. Uderzył mnie piersią. Przewróciłem się. Stanął dęba. Upadł na mnie. Kopyto rozerwało moje kolano. Świat pograżył się w ciemnościach. I gdyby nie ból, pomyślałbym, że stratował mi głowę. Później lekarze powiedzieli, że łąkotki nie da się uratować. Dlatego chodzę o kulach i w usztywnieniu. Patrzyłem, leżąc na ziemi, na okrągły jak pocztowa pieczętka znak księżycy na niebie. Spojrzałem za Kwazarem. Widziałem jego zad podrygujący w galopie i białą postać jeźdźca przytuloną do grzbietu. Te włosy Marii... „Jak sztandar”, pomyślałem. Głupi skurwysyn nie przeskoczy bramy. Odbił się. Widzę jego lot w całości. Z każdej perspektywy. Gdy śnię o tym, jestem z tyłu, z boku, z przodu. Kary koń o lśniącej, pergaminowo cienkiej skórze, odbija się od żwiru. Kwazar podwija przednie nogi. Kopyta dotykają żeber. Uniesiony ogon stanowi przedłużenie kręgosłupa. Umięśniona smukła szyja, wyciągnięta niczym u łabędzia sięgającego po chleb. Leci.

Diabeł leci.

Dwa metry, pięćdziesiąt pięć centymetrów nad ziemią. Oczy żarzą się ogniem piekieł jak lampy burdelu. Od chrap odrywa się piana. Wszystko jest czarnobiałe, wylizane

z kolorów. A Maria na nim. Uśmiecha się. Dłonie na szyi karego. Uda dookoła karego. Cipa dotyka jego skóry. Nie wierzyłem wtedy i nie wierzę w snach. Koń nie skacze na dwa pięćdziesiąt. Zna pan rekord świata ustanowiony przez Alberto Larraguibel? Dwa czterdzieści siedem. Wie pan, ile ma ta brama? Dwa pięćdziesiąt trzy. Zmierzyliśmy. Możesz powiedzieć, że jeździec był lekki, koń miał metr osiemdziesiąt w kłębie i był na rauszu adrenaliny. Ale wiesz lepiej. Przeskoczył. Opadł, jak gdyby nigdy nic. I puścił się cwałem. On rżał, ona się śmiała. Nie dogonisz cwałującego konia. Stajenni rzucili się za Kwazarem. Mówili mi później, że w tym świetle widzieli wszystko jak na dłoni. Koń skierował się w stronę jeziora. Usłyszeli plusk. Gdy dotarli na miejsce, dostrzegli ślady kopyt w mule. A powierzchnia wody lekko falowała. Jakby coś przed chwilą zanurzyło się w jeziorze...

– Nie ma żadnej Broszy, prawda? – Paweł czuł, że jego otumaniony alkoholem umysł wzlatuje nad rozsądkiem jak Kwazar nad bramą. – Widziałem Kwazara.

– Tak.

– Oczywiście, że pomyśleliśmy, że jezioro ruszało się od wiatru, a ślady kopyt zostawiło stado. Przecież wtedy jeszcze korzystaliśmy ze zbiornika. Znałem Adriana, milicjanta, z dzieciństwa. Siedzieliśmy razem w ławce. Zawsze bardzo go szanowałem. Wyznaliśmy, co widzieliśmy naprawdę. Że trzeba przeszukać jezioro, zanim trupy napuchną i wypłyną na wierzch. Powiedział, że jesteśmy zdrowo szurnięci; że głupio nam, bo Maria ukradła Kwazara, który kosztował dziewięćdziesiąt milionów starych złotych. Szukano i konia, i złodziejki. Wysłano za nią list gończy, a informacje o skradzionym czempionie popłynęły nawet za granicę. Ślad się urwał. A jej rodzice oskarżyli nas. To było prawdziwe piekło. Stwierdzili, że zgwałciliśmy Marię i zakopaliśmy gdzieś w lesie; że może przywiązaliśmy kamienie do trupa i leży na dnie jeziora. Oczywiście, nic na nas nie mieli. Oskarżenia były bezpodstawne. Ale gdy o tym pomyślę, to nawet teraz mi przykro. Śnię o nim co noc. Widzę go w snach. Kary koń, który zniknął z dziewczyną w jeziorze, gdy na niebie świecił księżyc myśliwych.

W ciągu następnych trzech dni Paweł miał wrażenie, jakby przez cały czas leczył kaca, którego nabawił się na początku wizyty. Upał nie ustępował. Zwalił się ciężko na stadninę, wyciskał soki z przeklętego jeziora i sprawiał, że muchy wysychały na końskiej sierści. Staszewski jednak nie zaproponował, by stado wykapało się w letniej wodzie, chociaż niektóre konie tęsknie wyciągały w jego stronę chrapy.

Badał zwierzęta. Zaczął od ciężarnych klaczy, które źle znosiły upał. Czuły jego irytację i niepokój czający się pod skórą.

(Widziałem Kwazara.)

Zirytowane ogiery i źrebięta. Parę źle znoszących upał emerytów. Zastanawiali się nawet nad przerwaniem treningów.

(Tak.)

Na horyzoncie zbierały się burzowe chmury. Zerwał się wiatr i jaskółki pławiły się w nim, niemal szorując brzuchami po uschniętej trawie. Ireneusz i Paweł stali między kolumnami, tam gdzie spotkali się pierwszego dnia.

– Będzie padać. – Stajenny zaczerpnął głęboko powietrza. Stali w świetle, ale ku nim zbliżała się chmura czerni, która posiwała na szczycie od słońca. – Może jednak zostaniesz. Jeśli to będzie nawałnica, to jazda stanie się niebezpieczna.

Nie wytrzymam tutaj ani sekundy dłużej. Paweł spojrzał na Ireneusza i odparł tylko:

– Muszę zobaczyć się z rodziną. – Wyjął kluczyki z lewej kieszeni spodni i podał dłoń Ireneuszowi. – Zresztą za dwa tygodnie Flara rodzi. Wrócę tutaj.

– Oczywiście. – Ireneusz potrząsnął dłonią i lekko uniósł brwi. – Nie musi mnie pan o tym przekonywać. Ma pan wszystko?

– Tak. Raczej tak. A nawet jeśli nie...

– To za dwa tygodnie Flara rodzi. – Irek uśmiechnął się i podniósł dłoń do Pawła, który z niechęcią wślizgnął się przed kierownicę. Niemal natychmiast zaczął się kleić do siedzenia.

Odpalił silnik i ruszył. Przejechał przez bramę i spojrzał przez lusterko wsteczne. Ireneusz wciąż stał i patrzył. Ciemna sylwetka na tle jasnej fasady dworku.

Nad dachem przesuwały się zmęczone konary lip, dźwigające przywiedłe liście. Gdy skręcał w prawo, na główną ulicę, wiatr uderzył w bok samochodu i lunął deszcz gruby jak perły. Zagrzmiało. Paweł włączył wycieraczki.

Był pusty w środku.

Na drogę posypały się drobne gałązki, ale Paweł nie zwolnił. Deszcz atakował samochód oddalający się od dworu i jeziora, w którym zniknął diabeł.

www.kostnica.com.pl

KOSTNICA

POZORNIE MARTWA STRĘPA

HORROR THRILLER KRYMINAL SENSACJA FANTASTYKA



www.kostnica.com.pl

RECENZJE
OPOWIADANIA
GALERIE
NOWOŚCI
KONKURSY
FILM
KSIAŻKA
GRA
KOMIKS

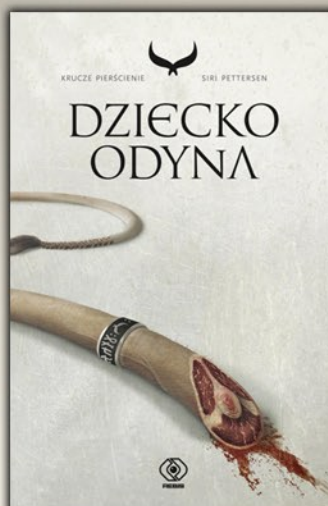


SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

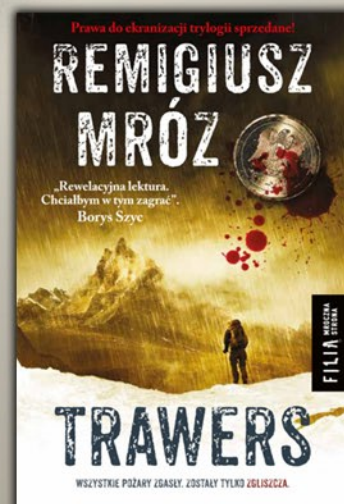
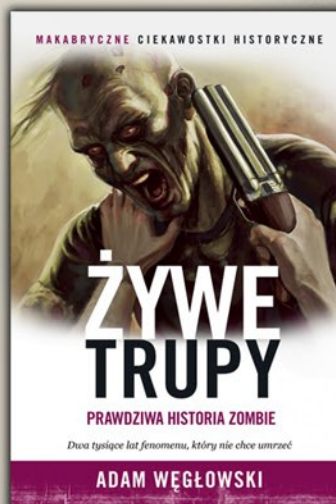
Krótko. Na temat. **CZYTAJ**



TYLKO DO 30 MAJA

gorące premiery

NAWET -40%





NOC PAJĘCZA

Anna Musiałowicz

*Większość pajaków kopuluje z samicą
tylko raz w życiu, a potem ginie w jej paszczy.**

Pustka. Może być biała albo czarna, czasem szara. Nie może mieć kolorów. Kolory budzą skojarzenia, wydobywają wspomnienia z najgłębszych odmętów pamięci, a te wypełniają pustkę, tak jak słowa wypełniają ciszę.

* Magdalena Frender-Majewska, *Życie za seks* [w:] *Newsweek* [on-line], 01.03.2012, dostępny w Internecie:
<http://nauka.newsweek.pl/zycie-za-seks,88594,1,1.html>

Istnieją jednak też puste słowa. Zagłuszają krępujące milczenie. Nadają formę bezwartościowym treściom. Są usprawiedliwieniem dla braku zainteresowania. Pustych słów nie wypełni nic.

Pusty może być pokój, nawet jeśli stoją w nim stół, dwa krzesła, fotel i komoda. Takiej pustki nie tworzy brak sprzętów, lecz uporczywa nieobecność kogoś.

Pusty może być również pokój, nawet jeśli stoją w nim stół, dwa krzesła, fotel i komoda, nawet jeśli na tych krzesłach siedzą dwie kobiety, zakładając nogę na nogę i szepcząc sobie wzajemnie do ucha, nawet jeśli w fotelu siedzi siwy, starszy pan, kołysząc się wte i wewte, a o komodę opiera się mężczyzna w czarnych okularach, trzymający na piersi skrzyżowane ręce. Pokój jest pusty mimo wypełniających go słów, wypowiedzianych przez obecnych ludzi.

Alicja czuła pustkę – we wszystkim, co ją otaczało, przy wszystkich, którzy przy niej byli, ale najbardziej w samej sobie. Gdy Karol zostawił ją po pięciu latach jej zdaniem całkiem udanego małżeństwa, miała wrażenie, że wraz z nim odeszło wszystko, czym wydawało jej się, że była. Nie umiała znaleźć sobie miejsca, trwała niczym w zamrożeniu. Nie płakała, nie złościła się, nie szukała winnych, nie rozpamiętywała. Została sama ze skurczonym żołądkiem, z wiecznie ściśniętą krtanią, która nie pozwalała wyrzucić z siebie żalu, z oczami pozbawionymi łez, które jedynie rejestrowały przesuwające się przed nią obrazy. Karol odszedł, nieważne dlaczego, nieważne do kogo, nieważne gdzie. Została sama, z koniecznością odwrócenia swojego życia o sto osiemdziesiąt stopni, z przymusem zweryfikowania wszystkich planów i marzeń. Żyła z dnia na dzień, niczym marionetka, pozwalając przestawiać się z miejsca na miejsce swoim zmartwionym rodzicom, u których zatrzymała się po rozwodzie, pozwalając prowadzić za rękę znajomym, którzy nie odeszli wraz z Karolem. Żyła jak automat, czekając na polecenia, wypełniając czynności automatycznie. Wstawała o szóstej, piła kawę, myła zęby, szła do pracy, wracała, jadła obiad. Godziny między obiadem a pójściem spać spędzała na bezrefleksyjnym gapieniu się w okno. Czas mijał, ona nie czuła nic prócz pustki. Gdy dzwony z pobliskiego kościoła wzywały na apel jasnogórski, otrząsała się z odrętwienia, brała prysznic i kładła się do łóżka.

Dziś nie miała łóżka. W końcu udało jej się uregulować z Karolem sprawy majątkowe, za pieniądze uzyskane ze sprzedaży wspólnego mieszkania kupiła kawalerkę. Pokój, kuchnia w całkiem niezłym standardzie. Stała w korytarzu swojego nowego lokum, pod nogami zaplątaną miała torbę z ubraniami. Oparła się o framugę drzwi prowadzących do pokoju i niewidzącymi oczyma wpatrywała się w biel ścian. Pokój był pusty. Nie dostrzegała mebli, nie dostrzegała rodziców i siostry z mężem, którzy przyszlizli jej w przeprowadzce. Nie

słyszała ich słów. Cały jej umysł był wypełniony bielą. Czystością. Nieskalaniem. Mogłaby tak trwać. Niech nikt jej nie budzi. Niech nikt jej nie zmusza do życia.

Z odrętwienia wybudził ją głos matki:

– No nic, Aluś, więcej ci dziś nie pomożemy. Resztę musisz poukładać po swojemu. – Matka pocałowała ją w policzek. – Lecimy, córuś, trzymaj się. Jakby co, to dzwoń o każdej porze dnia i nocy.

Rodzina powoli zaczęła wychodzić z mieszkania. Zamykane drzwi cicho trzasnęły. Alicja przekręciła klucz w zamku, oparła głowę o zimne drewno, odetchnęła. Doceniała czas, który bliscy jej poświęcali. Jednak wspieranie nie polega na wyręczaniu, a pomaganie na kontrolowaniu jej potrzeb i ich niezwłocznym zaspokajaniu. Rodzice byli cudowni, ale zagłaskaliby ją na śmierć. Wszystko, czego Alicja teraz potrzebowała to samotność, czas na przemyślenie dotychczasowego życia i wymyślenie nowej koncepcji na istnienie bez Karola. Obecność innych osób – pocieszycieli, rozśmieszaczy – nie pozwalała na dopuszczenie do głowy trudnych myśli, przeszkadzała w przeżyciu smutku. Alicja zamknęła się w sobie i wyrzuciła klucz – w dawnych, nastoletnich czasach uwielbiała to zdanie, wyczytane nie wiadomo gdzie. Ale dopiero teraz zaczęła pojmować jego znaczenie.

Usiadła na chłodnym parkiecie. Przydałby się dywan – stwierdziła. Spojrzała wokół siebie. Torby, wsunięte w kąt, mieściły całe jej życie, wszystko, co osiągnęła. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że bez rzeczy Karola było tego tak niewiele. Czas pomyśleć o sobie. Czas przypomnieć sobie, czego pragnęła, nim w jej życiu pojawił się Karol. Czas spełniać swoje marzenia. Lecz przede wszystkim czas przestać uważać się nad sobą i zacząć rozpakowywać torby. Na początek trzeba zlokalizować, w której schowane są papcie, bo od podłogi ciągnie zimno. Naprawdę przydałby się dywan.

Było już dobrze po północy, kiedy skończyła się rozpakowywać. Kartony poukładała jeden na drugim, zastawiając nimi wejście do kuchni. Puste torby wcisnęła do szafy na korytarzu, upychając nogą wystający materiał, żeby domknąć drzwiczki. Wróciła do pokoju, na zimnym parkiecie rozłożyła karimatę, a na niej koc. Może nie zmarznie na podłodze. W sklepie meblowym obiecano jej, że łóżko zostanie dostarczone za tydzień. Do tej pory przemęczy się jakoś. Zgasiła światło, pozostawiając zapaloną jedynie nocną lampkę. Wzięła do ręki książkę, przeczuwając, że jest już zbyt zmęczona, by czytać. Oczy ją piekły, jakby ktoś wsypał do nich piasku. Wsunęła się w śpiwór, pomiędzy głowę a rękę, którą się podparła, włożyła małą poduszkę w kształcie głowy myszki Miki. Leżąc na boku, otworzyła książkę. Litery skakały jej do oczu, rozmazywały się. Cała strona mieniła się jasnymi i ciemnymi, płynącymi, przenikającymi się plamami. Tak jak się spodziewała, nie była w stanie czytać.

Może to i lepiej, szybciej zaśnie, a rano i tak musi wcześniej wstać. Odłożyła książkę na podłogę, ziewnęła przeciągle, dłonią zawiniętą w rękaw od piżamy przetarła zmęczone oczy i wtedy jej uwagę przykuł czarny punkt na podłodze. Miała wrażenie, że punkt się przesuwają.

Nie, to nie było wrażenie, od strony stołu coś szło w jej kierunku. Boże, tylko nie to – pomyślała. Skupiła wzrok i potwierdziła swoje najgorsze obawy. Powrócił pierwotny strach, lęk znany z dzieciństwa, paraliżujący ją, uniemożliwiający jakąkolwiek reakcję. Chciała krzyknąć, jednak w gardle poczuła ciężką, ołowianą kulkę, blokującą dźwięk w jej ustach. Zawsze tak się działo. Książka bezwiednie wypadła jej z dłoni. Alicja siedziała bez ruchu, szeroko otwartymi oczami wpatrując się w przesuwający się punkt. W jej stronę szło „to”. Nie miało więcej niż pięć centymetrów i gdyby nie było „tym”, mogłaby uznać, że stworzenie jest całkiem zabawne i nieporadne. Ale „to” było przerażające. Miało długich osiem nóg. A Alicja miała tylko dwie, by uciekać. Gruby odwłok stworzenia niezgrabnie utrzymywał się na witkowatych kończynach. „To” szło w jej stronę. Pierwszy raz od wielu lat Alicja musiała stawić czoła „temu” całkiem sama. Dotychczas wystarczyło, że zawołała Karola, a on śmiejąc się pod nosem, że wyprowadza pajaka na spacer, ratował ją z opresji. Nie tylko Karol miał ubaw z jej fobii, nie tylko jemu jej strach przed pajakami wydawał się śmieszny, jednak dla niej groza była najprawdziwsza, powodowała łomotanie serca, drżenie rąk, a nogi – miękkie jak z waty – ugiwały się pod nią. Teraz miała tylko siebie. Ona kontra pajak. Ona kontra symbol najgłębiej skrywanych, dziecięcych obaw i lęków. Nigdy nie potrzebowała wyimaginowanych potworów czających się pod łóżkiem. Jej wystarczał całkowicie realny czarny pajak. Jednak śmierć z przerażenia w obliczu pięciocentymetrowego stworzenia nawet jej wydawała się niedorzeczna. Musiała stanąć do walki. A tę walkę mogła wygrać tylko ona.

Ołowiana kulka wypadła z gardła wraz z krzykiem. Zaskoczony dźwiękiem pajak przystanął. Uniósł odwłok do góry. Kilka sekund bezruchu stawonoga pozwoliło Alicji chwycić książkę i rzucić ją prosto na ciało stworzenia. Alicja przygniotła nogą książkę do podłogi, by upewnić się, że pajak został skutecznie zmiażdżony. Tytułowa strona lektury zagięła się, jednak Alicja uporczywie stała na kartkach, powtarzając w kółko „ojezuojezuojezu”, obawiając się, że jeśli tylko zejdzie na podłogę, pajak podniesie się, dźwigając książkę na swoim korpusie. Umysł podsuwał jej chore obrazy wędrującej na chudych nóżkach książki. Panikowała. Im bardziej irracjonalne myśli ją nachodziły, tym oczywistsze stawało się to, co ma dalej robić. Wiedziała, że nie jest w stanie wziąć książki do rąk, że nie da rady sprawdzić, czy splaszczony truchło przykleiło się do okładki. Starła się nie histeryzować. Obrzydzenie mieszało się z lękiem. Wciąż stojąc prawą nogą na książce, lewą zaczęła się odpychać. Sunęła po śliskim parkiecie niczym na hulajnodze pozbawionej

kół. Dotarła do drzwi wejściowych, otworzyła je. Zdecydowanym ruchem wykopała książkę poza obręb mieszkania. I tak by już nigdy gołymi rękoma jej nie dotknęła. Zatrzasnęła drzwi. Serce nadal kołatało jej w piersi, dłonie trzęsły się jak w febrze. Czuła, jak powoli uchodzi z niej napięcie, jak ręce omdlewają, ciało, lodowate, przybiera normalną temperaturę. Mokra od zimnego potu piżama przykleiła się do pleców. Strach zaczął opuszczać Alicję, ustępując miejsca poczuciu bezsilności, słabości i nieporadności. Wracając do pokoju, ostrożnie stawiała kroki, rozglądała się uważnie i trwożliwie, czy kolejny pajak nie zamierza jej zaatakować. Czuła się opuszczona i zagubiona. Pierwsza noc w samotności, a pozwala, by strach przed pajakiem przejął nad nią kontrolę.

Usiadła na śpiworze. Skorupa, w której zamknęła się po odejściu Karola, zaczęła pękać. Drgnęła, zaskoczona szlochem, który wyrwał się jej z ust. A potem niewypowiedziane, od kilku miesięcy skwapliwie skrywane uczucia potoczyły się lawiną łez.

Płakała z tęsknoty za przeszłością. Płakała ze strachu przed tym, co będzie. To nie samotność ją przerażała, lecz odpowiedzialność – za samą siebie, za każdy swój czyn, za każdą decyzję, którą sama podejmie i sama poniesie jej konsekwencje. Łzy płynęły jej z oczu, kapwały z nosa, z ust toczyła się ślina. Twarz, popuchnięta, nabrzmiąta, wykrzywiała się w grymasie, skóra nabierała chorobliwej czerwoności. To już nie był płacz. Wyła, klęcząc, próbując samą siebie otulić ramionami. Czasem łkanie przeradzało się w histeryczny śmiech, by znów stać się jazgotliwym lamentem. Pierwsza samotna noc. Nie, pierwsza samodzielna noc, a zostaje pokonana przez głupiego pajaka. Przez martwego pajaka.

Tej nocy zasnęła przy włączonym świetle.

Nienawidziła biologii, o jakże nie znosiła tego przedmiotu. Znów stała przy zielonej tablicy, w dłoni miała gąbkę, w głowie – pustkę. Jak brzmiało pytanie, które zadała Żyrafa? Słońce ciepłym strumieniem wpadało przez nieumyte szyby w oknach sali lekcyjnej, oświetlając unoszące się drobinki kurzu. Twarze uczniów były zamglone, rozmazane. Alicja nie potrafiła rozpoznać kolegów. Biolożka, z racji wzrostu nazywana w szkole Żyrafą, rytmicznie stukała w blat biurka. Pomalowany na czerwono paznokieć odmierzał czas katorgi. Sekundy upływały, zmieniały się w minuty, z perspektywy wywołanej do odpowiedzi Alicji zdawały się trwać wieczność. Dziewczyna znów miała piętnaście lat, stała przy przed nauczycielką obezwładniona porażającym strachem. Nie pamiętała pytania. Nie знаła odpowiedzi. Opuściła głowę jak skazaniec oczekujący na katowski topór. Żołądek miała skurczony, mięśnie sztywne ze zdenerwowania. Czas płynął, a Żyrafa czekała. Alicja wiedziała, co się zaraz stanie. Żyrafa się wkurzy, a zanim wpisze jej kolejną pałę do dziennika, upokorzy ją przed całą klasą. Nie miała odwagi spojrzeć na nauczycielkę. Miarowe

stukanie ucichło. Żyrafa westchnęła niecierpliwie. Czerwone paznokcie pochwyciły kredę – tylko tyle Alicja zdążyła dostrzec, nim kreda odbiła się od jej czoła.

– Śpisz, dziewczyno, czy odpowiadasz? Obudź się wreszcie!

Alicja obudziła się, nagle wyrwana z niespokojnego snu. Usiadła gwałtownie, prawie rozrywając zamek od śpiwora. Bezwiednie potarła obolałe czoło. Wrażenie uderzenia było tak realne, że aż czuła, jak rośnie jej guz na skroni. Przez głowę przemknęła jej myśl o tym, jak wielką traumę przeżyła, skoro dziesięć lat po skończeniu szkoły wciąż śni koszmary o lekcjach biologii. Noc trwała. Światło nocnej lampki raziło ją w oczy. Przesunęła się, by po omacku znaleźć wyłącznik. Kątem oka dostrzegła ruch. Coś z głuchym łoskotem spadło na podłogę. Alicja aż podskoczyła z wrażenia. Nocą każdy dźwięk nabiera mocy, odbija się od ciszy, niesłyszalne w ciągu dnia echo łomocze pusto w mroku. Alicja spojrzała na leżący przedmiot. Otworzyła z niedowierzaniem usta, zmarszczyła czoło. Umysł musi płać jej figle. Tuż obok niej leżała książka. Ta książka, którą wraz z martwym pajakiem jeszcze kilka godzin temu wyrzuciła z mieszkania. Kobieta wpadła w konsternację. Czyżby lunatykowała? Albo szok spowodowany bohaterskim zwycięstwem w walce z pajakiem i stres wynikający z samej walki spowodowały, że zapomniała, że przyniosła książkę z powrotem? Siedziała w śpiworze na wpół obudzona, usiłując uporządkować skrawki wspomnień z ostatnich wieczornych wydarzeń i poskładać rzeczywistość w miarę logiczną całość. Wzruszyła ramionami, nie zdając sobie sprawy z tego, że wewnętrzny monolog odbija się na jej twarzy w wyrazie bezgranicznego zdumienia. Asekuracyjnie odsunęła książkę najdalej, jak potrafiła to zrobić, nie wychodząc ze śpiwora, i położyła się.

Ledwie przymknęła powieki, usłyszała ciche chrobotanie. Szelest. Parkiet zaczął skrzypieć. Otworzyła oczy. Leżała w bezruchu, wpatrując się w ciemny sufit. Była zła na siebie, bo rano znów wstanie niewyspana. Taki los, skoro pozwala, by wyobraźnia płać jej figle. Chrobotanie jednak nie ustawało. W dodatku miała wrażenie, że na i tak czarnym w mroku suficie powstaje plama. Plama zdawała się pochłaniać panującą wokół ciemność, rozrastając się nierównomiernie. Alicja usiadła zdeorientowana. Rozglądała się po pokoju, zaniepokojenie mieszało się z niedowierzaniem. Plama na suficie powiększała się, drgała, przypominając sieć poplątanych ze sobą nici. Im większy obszar obejmowała, tym kłębowisko stawało się rzadsze, jego krańce składały się z pojedynczych, przesuwających się punktów. Alicja oderwała wzrok od sufitu, szczypiąc się przy tym w udo, by sprawdzić, czy na pewno nie śpi. To nie mogło się dziać w realnym świecie. Z całej siły zacisnęła powieki. Gdy otworzyła oczy, spojrzała na podłogę. Deski parkietu zaczęły się nieznacznie unosić, powodując ciche trzaśnięcia przy odrywaniu się od posadzki. Spod klepek wystawały cienkie,

krótkie nitki, które przeplatały się wzajemnie, nieustannie pocierały, falowały. Alicja usłyszała trzask. Deska pękła. Nitki ugięły się pod ciężarem uwolnionych miniaturowych tułowi. Ruszyły szturmem spod podłogi, rozprzestrzeniając się w różnych kierunkach, łącząc się z punktami, które schodząc z sufitu, opanowywały ściany. Pokojem zawładnęła armia złożona z tysięcy pajaków. Początkowe nieskładne, przypadkowe ruchy rojowiska zaczęły nabierać prawidłowości. Pajaki zagarnęły każdy fragment pokoju Alicji, opanowały nieliczne meble, spuszczały się ze stołu i krzeseł po pajęczynach. Kłębiły się, piętrzyły, z każdą sekundą było ich coraz więcej. Pomieszczenie zdawało się być zalane falą drgających czarnych cząsteczek, z samotną wyspą śpiwora w kącie. Alicja szeroko otwartymi oczyma rejestrowała przesuwające się przed nią obrazy, modląc się o jak najszybsze wybudzenie z tego koszmaru. Ręce trzęsły się jej do tego stopnia, że nie potrafiła złączyć palców, by ponownie się uszczypnąć. Serce w jej piersi zamarło, krew odpłynęła z mózgu, a jednak czuła, jakby głowa jej płonęła. Chciała zemdleć, umrzeć, nie istnieć. Drżała. Pajaki zbliżały się do niej, jednak omijały śpiwór, jak gdyby unikając kontaktu z nią. Chciała wcisnąć się w kąt pokoju, jednak z przerażeniem uświadomiła sobie, że ściana również jest pełna pajaków. Pomyślała, że zwariowała. Ta myśl dała jej złudną otuchę, że to wszystko nie dzieje się naprawdę, to tylko wytwór jej obłąkanego umysłu. Jednak pajaki nie chciały zniknąć, tłoczyły się, szumiąc i jakby brzęcząc. Gęszcz skumulował się tuż przy Alicji. Kobieta zaczęła krzyczeć. Zamknęła oczy, zasłoniła je dodatkowo rękami, jak robią to dzieci. Nie widzi, więc nie ma jej. Wrzeszczała z całych sił, aż zachrypla.

Szelest ucichł w jednej chwili. Alicja otrząsnęła się, zdjęta złym przecuciem. Jednak nadzieja, że gdy otworzy oczy, wszystko okaże się złym snem, zwyciężyła. Gardło bolało ją od krzyku. Oderwała ręce od oczu. Zamarła. Naprzeciwko niej znajdowała się czarna postać. Widmo stworzone było ze splecionych pajaków. Te poruszały się wciąż, próbując znaleźć odpowiednie miejsce dla siebie i wypełnić postać. Nagle część drgających punktów gwałtownie przebiegła po sobie i utworzyła dłoń. Alicja siedziała w stuporze, jedynie z jej oczu płynęły pojedyncze łzy. Była wycieńczona i bezradna. Pajęcza dłoń zbliżyła się do jej twarzy, starła łzę. Dotyk był delikatny, wręcz czuły. Z ust Alicji wyrwał się szloch. Ciało miała sparaliżowane strachem, ślina zasychała w gardle. Postać zbliżyła swą pozbawioną rysów twarz do policzka dziewczyny. Można było odnieść wrażenie, że z ciekawością przygląda się kobiecie, że wacha ją, poznaje. Ruchy postaci były spokojne, subtelne, przypominały pieszczotę. Alicja czuła tylko strach i obrzydzenie. Kobieta wyprostowała się pod wpływem dreszczu, który przeszedł jej po kręgosłupie. Rozległ się dźwięk podobny tysiącom szeptów. Postać przemówiła:

– Odebrałaś nam ją. Zabiłaś naszą panią. – Szept odbijał się echem w głowie Alicji. – Życie za życie. Śmierć za śmierć. Pozostawiłaś nas głodnymi, spragnionymi, nienasyconymi. Oto zajmiesz jej miejsce. Wypełnisz nas. My staniemy się tobą.

Alicja poczuła, jakby podłoga pod nią zarwała się, a ona sama spadała w otchłań. Szeroko otwarła oczy i usta. Bezwiednie rozłożyła ręce, jakby szykując się do lotu. Kątem oka dostrzegła, że jej nadgarstki zostały oplecione pajęczynami. Była zawieszona na długich, lśniących, mlecznych niciach przyczepionych gdzieś do ściany. Pajęczyna była elastyczna, jednak tylko nieznacznie pozwalała na ruch. Im bardziej kobieta się szarpała, tym silniej kajdany utkane z pajęczej przędzy zaciskały się na jej przegubach. Zrezygnowana, zawisła bezwładnie. Czarna postać odsunęła się od niej, by nagle rozprysnąć się na miliony części jak rozbity kryształowy dzban. Po chwili drobinki zaczęły się podnosić, ponownie stając się armią pajaków. Wszystkie szły w stronę uwięzionej Alicji. Długimi nogami pokonywały zagłębienia w ściągach, wdrapywały się po piżamie, snując przy tym sieci. Wnikały w ciało dziewczyny, wchodziły do oczu, uszu, nosa i ust. Wbijając się przez pory w skórę, ginęły wewnątrz jej ciała. Dotyk ich odnóży łaskotał. Wypełniły Alicję. Pajęczyna została zerwana, dziewczyna nieprzytomnie upadła na podłogę.

Z odrętwienia wybudził ją uporczywy terkot dzwonka do drzwi. Jednak zanim dźwięk dotarł do jej uszu, musiała upłynąć dłuższa chwila. Ktoś za drzwiami zaczął w nie walić pięściami, wykrzykując przy tym prośby o otwarcie i groźby wyważenia. Alicja wstała lekko, zaskoczona giętkością swojego ciała i energią, jaką w sobie miała. Odkrzyknęła, że już biegnie. W trzech susach znalazła się na korytarzu. Przez sekundę zastanawiała się, co za wariat tłucze się jej do mieszkania, jednak nie odczuwała najmniejszego strachu przed obcym. Przekręciła zamek, otworzyła drzwi. Jej oczom ukazał się facet koło czterdziestki, wyraźnie pod wpływem alkoholu. Nonszalancko oparł się o framugę, próbując ukryć problem z utrzymaniem równowagi.

– Dzień dobry. Albo bry wieczór w sumie – zaczął. – Przepraszam, że nachodzę o tej porze, ale usłyszałem krzyki. Pomyślałem, że ktoś może potrzebować pomocy. – Jak na stan upojenia, w jakim się znajdował, mówił zaskakująco wyraźnie.

– Nie. Wszystko w porządku. – Źrenice Alicji zwężyły się. Uważnie przypatrywała się mężczyźnie. Był nieznacznie wyższy od niej. Miał włosy mysiego koloru, krótko przystryżone. Pod żółtym T-shirtem odznaczał się niewielki brzuch. Facet był zupełnie przeciętny, niepodobny do nikogo, a raczej podobny wszystkim. Nie podobał się jej. A jednak poczuła pożądanie. Głód. – To był tylko zły sen, nic więcej. Nie sądziłam, że krzyczałam.

– A pani to chyba nowa u nas? – Mężczyzna uśmiechnął się, ukazując równe zęby, pomiędzy którymi dostrzegła kawałek jakiejś przyprawy, może bazylii. Odwzajemniła uśmiech. Podbrzusze zaczęło palić ją słodkim ogniem. Nie była z żadnym mężczyzną od czasu rozstania z Karolem. Ale nie chciała teraz myśleć o swoim byłym mężu. Łaknęła ciała stojącego przed nią mężczyzny. Nie mogła pozwolić mu odejść.

– Tak, to pierwsza noc tutaj. Nie znam jeszcze nikogo.

Mężczyzna przedstawił się, lecz nie zapamiętała imienia. Nie miało dla niej żadnego znaczenia. Mówił, że właśnie wraca z imprezy, niby żartem zaproponował towarzystwo, jednak nie był zdziwiony, gdy Alicja przystała na jego propozycję. Z nieukrywanym zadowoleniem wszedł do mieszkania, rozglądając się wokół siebie. Jego wzrok zatrzymał się na niedbale rzuconym śpiworze. Wyobraził sobie, że z chęcią ległby na nim, a za przykrycie posłużyłaby mu nowa sąsiadka. Zmieszany, że Alicja mogła dostrzec jego myśli, usiadł przy stole, by po chwili wstać i pomagać przy przesuwaniu kartonów zastawiających wejście do kuchni. Tam, siedząc na podłodze, poczekał, aż Alicja zaparzy herbatę, rozmawiając z nią o wszystkim i o niczym.

Wzięli kubki z gorącym napojem w dłonie, przenieśli się do pokoju. Zadzierzgnięta nic porozumienia pozwoliła im bez zażenowania znaleźć się razem na rozłożonym śpiworze. Mężczyźnie kręciło się w głowie – czy to z nadmiaru spożytego alkoholu, czy z niespodziewanego szczęścia. Dziewczyna wyglądała na napaloną i jego szanse na zaliczenie jej były ogromne. Już sama myśl o tym sprawiała, że wacek zareagował, ograniczony jedynie jeansami.

Alicja z rozmysłem prowadziła swoją grę. Chichotała, flirtowała, niby przypadkiem ocierała się o mężczyznę (jak mu na imię?). Oplatała go siecią kuszących spojrzeń i gestów. Była głodna, tak bardzo nienasycona. Zbliżyła swoją twarz do jego, prawie dotknęli się nosami. Rozchylili usta, czekając na pocałunek. Jednak zatrzymali się w połowie ruchu, jakby wahając się, czy to odpowiedni moment. Napięcie rosnęło. „Tak bardzo cię pragnę, ale czy mogę...?” – pytanie w głowie nie czekało na odpowiedź. Początkowo nieśmiało i z zakłopotaniem zaczęli się całować. Potem pozwolili, by żądza przejęła władzę nad nimi. Alicja była nienasycona. Całowała, kąsała, przygryzała ciało mężczyzny. Głód i chuć doprowadzały ją do gorączki, jednak wciąż kontrolowała sytuację. Ten mężczyzna musi ją wypełnić. Ten mężczyzna musi ICH napęłnić. Życie za życie. Śmierć za śmierć.

Jej skóra pokryła się drobnymi wypukłościami przypominającymi wrzody. Liszaje zaczęły z wolna się przesuwać i drgać. Początkowo mężczyzna nie dostrzegł tego, pochłonięty widokiem unoszącej się i opadającej na nim Alicji. Laska ujeżdżała go, jak

chciała, a on z rozkoszą jej na to pozwalał. Jednak w pewnym momencie oderwał dłonie od Alicji, zaintrygowany dziwną fakturą skóry przesuwającej się pod jego palcami. Alicja, wciąż siedząc na nim okrakiem, z nadludzką siłą odepchnęła go od siebie. Z jej dłoni wytrysnęły lepkie nici, które w jednej chwili spętały ręce mężczyzny, przyklejając go do podłogi. Jego usta w sekundzie zostały zszyte pajęczą siecią. Mężczyzna próbował wierzgać, by zepchnąć Alicję z siebie, lecz ona była silniejsza. Stała się tysiącem istnień, armią głodną zwycięstwa, gwardią tańczącą wewnątrz jej ciała. Jej skóra zaczęła pękać jak zaschnięta, stara farba. Liszaje otwierały się. Z powstających w skórze szczelin wyrastały czarne nitki odnóży. Jeden po drugim zaczęły wychodzić pająki. Życie za życie, śmierć za śmierć. Napelnisz nas. Mężczyzna leżał spętany pajęczyną, niezdolny do najmniejszego ruchu. Tylko szeroko otwarte z przerażenia oczy z podrygującymi źrenicami zdradzały, że jeszcze żyje. Alicja rozpadała się. Każdy wychodzący z niej pająk pożerał jej cząstkę i kierował się ku mężczyźnie. Tabuny czarnych stworzeń zbliżały się do niego, czuł ukłucia ich miniaturowych szczęk. Czasem zbliżały się do siebie, na powrót tworząc kształt ciała Alicji. Uświadomił sobie, że wciąż czuje swojego penisa w dziewczynie, nadal kopuluje. Jednak wszelkie doznania płynące z tego aktu pozostawały daleko poza nim. Unieruchomiony, modlił się o wybudzenie. Absurdalność tej sytuacji nie pozwalała mu uwierzyć, że naprawdę leży spętany pajęczyną, zjadany przez stado spółkujących z nim pajęczyc. Ale ból tysiąca ukłuć był nie do zniesienia. Zauważył, że gdzieś tam pajęczyna pokrywa się krwią. Pająki chodziły już po jego twarzy. Zaciśnął powieki, jednak czarne szczęki docierały do białka oczu, by oczodołami wygryźć sobie drogę do mózgu. Czuł, że śpiwór pod nim wilgotnieje od krwi.

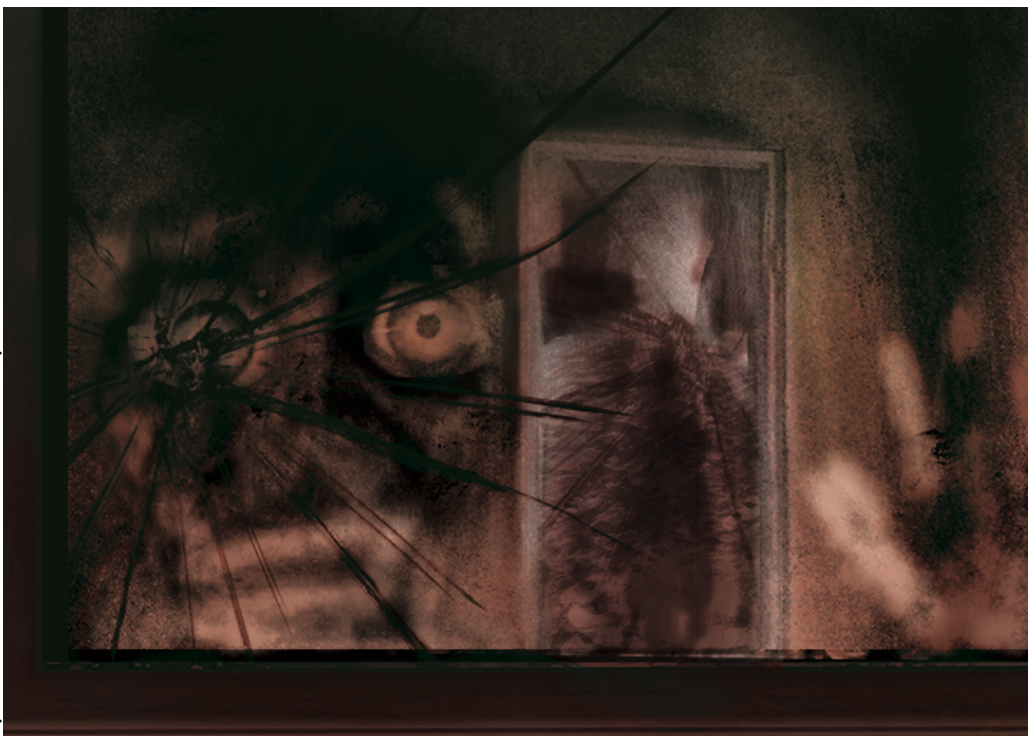
Potem nie czuł już nic.

Pustka. Może być biała albo czarna. Czasem szara. Nie może mieć kolorów. Nawet rozsypane białe kartki zapisane równymi liniami czarnych liter mogą nieść pustkę. Zawierają słowa nic niewarte, których nikt już nie przeczyta. Zgnieciona okładka nie ma znaczenia.

Pusty może być pokój, nawet jeśli stoją w nim stół, dwa krzesła, fotel i komoda, a w kącie leży zmięty śpiwór.

Pokój był pusty. Nie zmieniał tego nawet pająk dyndający na zwisającej z sufitu pajęczynie.

rys. Marcin Czarniecki "Czarny"



POTWORY

Piotr Białomyzy

Hideo Nakacie, za tydzień pozbawiony snu

Zasnęła pod czerwonym szkłem. Świat wyciągnął z niej niemal wszystko. Zostawił to, co najbrzydsze. Włosy – smolny, długi kołtun i ciało – nie to ze snów, a to rzeczywiste. Koślawe nogi, przekrzywiony kręgosłup, paznokcie, które ciągle obgryzała, odstające żebra. Żeber nawet gruba siateczka żył nie mogła utrzymać w miejscu.

Wraz z mózgiem umierają wspomnienia. Zostają tylko emocje. W niej został tylko żal, strach i ból. Nie wiedziała więc, dlaczego znalazła się w tym domu. Dlaczego czerwone szkło pękło i była w tym obcym miejscu. Dlaczego nie mogła wyjść, ani znowu zasnąć. Nie wiedziała, skąd u bogów tyle okrucieństwa.

Dom jej słuchał. Na początku nie zwróciła uwagi na to, że gdy przechodziła z kuchni do łazienki, żarówki zapalały się, by oświetlić drogę. A była to tylko półświadoma myśl.

Nie chcę być sama w ciemności.

Ucieszyło ją to.

Mogła się teraz trochę pobawić. Kiedy chciała, wskakiwała na sufit i biegła po nim wokół pokoju. Czasami po nim pełzała, próbując zgłębić obyczaje pajęczego rodu. Kiedy chciała, ściany rozsadzała woda z rur, które pękały na jej komendę. Gdy nudziło się jej pływanie, ściany same się zrastały, a woda co do jednej kropli wracała na swoje miejsce. Noce spędzała na zamienianiu żarówki w płonący kwiat i ciągłych próbach wydobywania z siebie głosu. Układając wstydliwie usta, starała się zmienić zawodzenie i jęki w ludzką mowę. Nigdy to jej jednak nie wychodziło.

Dom nie chciał jej jedynie wpuścić na poddasze, chociaż próbowała wszystkiego. Prosiła i groziła w myślach, próbowała wyważyć drzwi swoją wychudzoną osobowością oraz ciężkimi przedmiotami.

Dlaczego?

Nigdy nie usłyszała odpowiedzi.

Czuła się bardzo samotnie. Uczucie osamotnienia pogłębiło się, gdy znalazła w salonie książeczkę dla dzieci. „Piękna i Bestia”. Nie była w stanie przewracać stron. Kartki wydawały się zrobione z ołowiu. Dlatego dom pomógł jej czytać i przewracał je sztucznym przeciągiem. Książka opowiadała historię pewnego młodzieńca, który został zmieniony w potwora. Jego zaklęty dwór spełniał wszystkie jego życzenia. Jedzenie samo pojawiała się na stole, złota wanna sama napelniała się wodą. Im dłużej czytała baśń, tym większy niepokój czuła. Posiadała taką samą moc jak potwór. Sama jednak potworem być nie mogła. Przerazona, spędziła tydzień w kącie pokoju, sącząc przez umysł jedno słowo.

Pomocy. Pomocy.

Potem nieme wołanie było wypowiedziane z przyzwyczajenia. Zmęczonym, smutnym głosem.

Młode małżeństwo stało przed JEJ domem. On miał plecak, a ona nosidełko z dzieckiem. Ludzie na początku nie ściągnęli jej uwagi. Często pod jej okno

przychodziła młodzież i pokazywała coś sobie rękoma. Na pewno nie ją. Kiedy próbowała do nich machać, ignorowali ją.

Przy młodej parze pojawił się jakiś mężczyzna z plamą łysiny na czubku głowy. Nosił drogi garnitur.

Okno było zamknięte, ale słyszała rozmowę.

– To bardzo przystępna cena. Możecie odnieść wrażenie, że to wieś, ale do centrum jest naprawdę blisko.

– Coś jednak musi być nie tak. – Mąż zmarszczył brwi. – Czterdzieści tysięcy... To dosyć... W środku są skorpiony, czy co?

– Z domem wszystko w porządku. Chodzi o to, co się w nim stało. To wam jednak nie przeszkadza, prawda?

– Och, nie. Kochamy miejsca z dreszczykiem. – Żona przytuliła się do męża i zaśmiała się.

– Ludzie boją się przeszłości. W dodatku dom jest zbudowany na żyle wodnej i niektórzy źle się w nim czują. Miejscowi więc dorabiają historyjki. Wielu chciało go kupić, ale wystarczała jedna noc. Po kilku godzinach bezsenności i nasłuchaniu się opowieści o morderstwach i duchach można się przestraszyć. Sam bym się bał. Ale.. Ale! – wzniosł palec – byłem tu wiele razy i nie widziałem ani jednego tańczącego szkieletu... Dlaczego stoimy na zewnątrz? Chodźcie do środka.

Szepty.

Dźwięk klucza w zamku.

Wpadające do środka światło słoneczne o głębi niespotykanej w świecie za szybą. Znieruchomiała, słysząc gaworzenie dziecka.

– Tutaj mamy kuchnię – mówił łysiejący. – Prosta i szara, ale łatwa do wyremontowania. Nie trzeba kombinować z wystającymi rurami... Ta ścianka się odsuwa. Masa miejsca na garnki.

– Ile gniazdek? – spytała kupująca.

Trzy.

– Trzy. Jedno za lodówką. Teraz pokażę salonik...

Zerwała się, przerażona. Wskoczyła na ścianę i jak koci cień wpęzła w najgłębszy mrok. W ciemnym rogu krył się z nią tłusty, znajomy pająk. Po chwili do środka weszła para wraz z dzieckiem i mężczyzną w garniturze.

– Telewizor trzeba będzie zmienić. – Mąż uklęknął przy nim. – Nie sądziłem, że zobaczę jeszcze czarno-białe pudełko...

– Poprzedni mieszkańcy nie byli zbyt nowocześni – odparł kupiec, jakby chciał ich usprawiedliwić. – Telewizję można zawsze oglądać, ale taki widok z okna rzadko kiedy się zdarza...

Patrzyła na nich z drżącym sercem. Za każdym razem, gdy obserwujący mieszkanie kupujący zatrzymywali na niej wzrok, kuliła się. Chciała, by ją ktoś zobaczył. Przed próbą komunikacji powstrzymywał ją instynkt.

– Miejsce do zabawy z maluchem. Tapeta jest nowa. Ten stolik jest z wiśni... I jak?

– Na razie, jestem całym sercem za nim, Bruce.

– Jak się jeszcze zastanawiacie, pokażę wam łazienkę na drugim piętrze. Dla samej wanny warto tu zostać.

Chciała przeskoczyć w inny kąt pokoju, ale mały chłopiec spojrzał na nią. To stało się oczywiste.

Widział ją.

Dziecko nagle się rozplakało.

Kolejny tydzień był dla niej torturą. Musiała stale uciekać. Chłopiec został przeniesiony do jednego z pokoi na piętrze i rzadko z niego wychodził, dzięki czemu była nadal niewidzialna. Dalej jednak bała się dorosłych osób. Kiedy strach przygasał, zapominała, że nie jest sama i robiła to, co zwykle. Bawiła się tak, jak potrafiła. Chciała pokolorować swoje życie. Kiedy paliła światło w pokoju, sunęła pod sufitem, zawsze zjawiał się jeden z nowych domowników i rozglądał się. Trwała przeprowadzka i mieszkańcy domu nieśli jakiś karton albo bibelot, dzięki czemu miała czas, by się zatrzymać i skryć w kącie. Była świadoma, że nie mogła wiecznie uciekać.

Była rozgoryczona i zła.

Łzy wydawały się wypalać w jej policzkach rany, które krzepły w bolesnych bliznach. Pewnego dnia wpełzła cicho do saloniku i nie zwracając uwagi na domowników, włączyła telewizor. To znaczy, dom to zrobił. Poprosiła go o to. Musiała coraz częściej ponawiać swoje prośby. To miejsce przestawało być jej, dlatego zdecydowała się na radykalne kroki.

Małżeństwo odpoczywało na kanapie i przekomarzało się beztrósco. Telewizor włączył się i zaatakował parę białym szumem. Oboje podskoczyli, przestraszeni, rozglądając się.

– Czekaj, przygniotłeś tyłkiem pilot, czy co?

– Do tego trupa nie ma żadnego pilota – westchnął i podniósł się. Nacisnął przycisk.

Zirytowało ją to. Wcale nie chciała oglądać telewizji, tym bardziej, że w białym szumie dostrzegła uwięzione w elektronicznej zamieci wykrzywione z bólu twarze, ale miała taki kaprys.

Nim mężczyzna odwrócił się do tyłu, ponownie go włączyła.

Małżonek stał i rozglądał się, jakby stał się ofiarą jakiegoś dowcipu. Kobieta wstała z kanapy i przysuwała się do niego, jakby ten nędzny, chłopczykowaty ważniak miał ją ochronić przed jakimś niesamowitym zagrożeniem.

To ją rozgniewało.

To moje miejsce.

Mężczyzna podszedł do kontaktu i wyrwał kabel. Uśmiechnął się z triumfem.

– Stare sprzęty mają czasami dziwne humory, kochanie.

To było jak cios w twarz. Podniosła dłonie. Wpatrywała się w nie przez parę sekund. Były martwe, wiotkie, ale musiały przecież istnieć. Ona sama przecież musiała istnieć. Mężczyzna, zaprzeczając jej istnieniu, sprawił, że jej usta wypełnił cichy, bolesny skowyt.

Jestem.

Nie mogła być kaprysem starego, przegryzionego kabla. Nie mogła być paroma opiłkami błyskawicy. Istniała. Była sama, chciała, by ktoś jej pomógł, ale nigdy tak naprawdę nie chciała niczego więcej jak uznania jej istnienia. Zaakceptowania jej obecności. A uśmiechnięty człowiek odebrał jedyną rzecz, jaka jej została.

Telewizor włączył się nagle, zaatakował mieszkanie jazgotem i palącym światłem. Mężczyzna krzyknął. Kobieta zaczęła piszczeć. Ekran tak jak lustro oddawał całą jej wściekłość. Białe szum zmienił się. Kropki czerni i bieli zbiegły się, rysując jej wizerunek. Pierwszy raz mogli usłyszeć jej głos. Równie nieczytelny i monotonny jak szum. Chociaż nie użyła ani jednego słowa, dźwięk, jaki z siebie wydała, przeraził ich. Nie tylko ich. Na górze zaczęło płakać dziecko.

Mężczyzna i kobieta uciekli. Nie widziała tego. Była pochłonięta badaniem swoich wyrysowanych na szkle oczu, które zaczynały powoli gasnąć. Teraz jej zostało jeszcze mniej.

Zapamiętać siebie.

Zapamiętać całą siebie.

Zwinięta w kłębek próbowała zasnąć. Nie spała, od kiedy pamiętała. Jednak pragnęła chociaż na chwilę znaleźć się w ciszy. Może znowu mogłaby wrócić w czerwień. Na górze słyszała płacz malucha, krzyki jego rodziców... trzaskanie drzwiami szafy. Nie obchodziło jej to teraz. Leżała na ścianie, z piętami dotykającymi sufitu. Jej dłoń bezwiednie powędrowała do głowy. Gładziła się, próbując się uspokoić.

I nagle zapadła czerwień.

Powróciła, ale nie była to spokojna, różana toń. Miała wymiary, fakturę... Czerwona pustynia oddzielona tylko drobną linią sugestii od rubinowego nieba. Nie wiedziała, gdzie się znajduje. Obróciła się parę razy, ale wszędzie było tak samo. Wydmy, wydmy, wydmy czerwieni. Zapadała się w tym dziwnym krajobrazie. Czas wydawał się tutaj stać w miejscu. Bastion chaosu oddzielony od dzieła stworzenia, który nie poddawał się rzeczywistości i prawom fizyki.

Usłyszała głos.

– Witaj. Przyszedłem, by cię uratować. – Był bardzo dziwny. Wydawał się składać przynajmniej z pięciu głosów. Dziecko, kobieta, mężczyzna... i coś nieludzkiego. Demon i bestia.

Spojrzała na bok. Stał przy niej chłopiec obdarty ze skóry. Mógł mieć najwyżej dziesięć lat i mimo nagich mięśni wydawał się jej królem. Dumnie wyprostowany, wpatrywał się w nią czujnie białymi oczami.

Kto.

– Prosiłaś o pomoc. Nikt ci jednak jej nie udzieli. Mogę cię jedynie uratować od przeszłości.

Chłopiec zapatrzył się na horyzont.

– Zbliża się trzecia. Godzina duchów. Nie mogę już dalej iść. Czekać na mnie.

Obudziła się dopiero nad ranem. Zeskoczyła na podłogę i jak pies przebiegła przez dywan, okrążyła szklany stolik i wtopiła się w cień, który przeważnie po obiedzie spoczywał na środku pokoju.

Nie wiedziała, czy to, co widziała, było prawdą. Była zdezorientowana. Znowu się bała.

Pełzła. Powoli wyszła tak na korytarz. Nikt nie przygotowywał śniadania. Nie czuła zapachu bekonu ani smażonych jajek. Zaniepokojona, zaczęła zmierzać w kierunku schodów.

W górę. Powoli.

– Przepraszam... próbuje się dodzwonić od rana... Tak. Tak... Rozumiem.

Na kolanach weszła na piętro i przykleiła się do drzwi. Mężczyzna rozmawiał przez telefon.

– Oczywiście. Czy... Czy lot był pomyślny? Cieszę się. Mam nadzieję. Nie, nalegam. Zapłacę, jeśli trzeba będzie... naprawdę... Dziękuję. Jesteśmy bardzo wdzięczni, proszę księdza.

Ksiądz!

Jej serce podskoczyło z radości. Wszystko mogło się rozwiązać dzięki komuś, kto oddał się Bogu. Komuś wyrozumiałemu, kto może ją usłyszeć. Mogła się uwolnić. Uśmiechnęła się i zatańczyła, popiskując cicho z radości. Jej dziwny sen mógł być proroczy. Niedługo wszystko mogło się skończyć. Ksiądz przyjdzie i ją pochwali, że tyle wycierpiała i że była cały czas sama. Czekala na to bardzo długo.

– Co powiedział? – spytała kobieta.

– Przyjedzie mniej więcej za godzinę. Kiedy tylko usłyszał, z jakiego miasta dzwonię, od razu się zgodził. Dziwne.

– Nie powinniśmy byli kupować tego domu. Miałam takie koszmary...

– Ja w ogóle nie mogłem zasnąć – warknął mąż z pretensją.

Czając się za drzwiami, zacisnęła zęby. To przecież ona była pokrzywdzona. Nie mogła zrozumieć, dlaczego ci ludzie zachowywali się tak histerycznie i głupio. Obrażona, przesunęła się do drugich drzwi. Tam, gdzie spało dziecko.

To niesprawiedliwe.

Za chwilę zaczęła się kolejna krzątanina. Mąż wydawał się zadowolony z siebie i pogwizdywał cicho. Irytowało ją to. Jakim prawem był zadowolony? Chciała, by ściany zaczęły płakać. Nim jednak zdecydowała, czy zalać całe mieszkanie, czy tylko jedno piętro, usłyszała dzwonek do drzwi. Para była już na dole. Ona sama nie zeszła, tylko zbliżyła się do poręczy, tak by móc słuchać. Za chwilę zaczęły się wszystkie powitania i jowialne gesty. Nie mogła zrozumieć humoru kapłana. Może lubił wszystkich tak samo, bez wyjątku?

Słuchała.

– Gdzie zdarzył się incydent? – pytał kapłan.

– Tutaj. Telewizor. Tak jak mówiłem.

Czyżby wspominali o tym, co zrobiła? Nastawiła uszu.

Szuranie stóp, szepty.

Trwało to parę minut.

I po chwili usłyszała łacińskie słowa. Sama się zdziwiła, gdy zidentyfikowała język i co najdziwniejsze: rozumiała go. Nie wszystko, ale starała się odczytać kontekst.

Ksiądz mówił o Bogu. Potem coś o rozkazywaniu. Modlił się. Następnie stało się coś nieoczekiwanego. Mówił o niej. Język rozumiała teraz doskonale, ale nie mogła pojąć, dlaczego była wyobrażana jako diabeł.

Nie jestem potworem.

Kolejne słowa popłynęły wartko przez świętą ciszę. Skuliła się w sobie, próbując im niemo zaprzeczyć.

Nie jestem potworem. Nie jestem potworem.

Dławiła się śliną. Suche torsje wstrząsnęły jej ciałem.

Bolało.

Czuła, jak słowa księdza ją palą. Nie świętością, ale swym beczelnym kłamstwem. Straciła nadzieję.

Jedyna osoba, która mogła ją zrozumieć, obróciła się przeciwko niej.

Coś dziwnego się stało. Czerwone szkło wyrosło przed nią z gęstego, popołudniowego powietrza i pękło, wyrzucając ją na podłogę. Głuche łupnięcie, jakie wydały jej kolana, sprawiło, że ksiądz umilkł. Uniosła dłonie. Blade, zgniłe, obolałe, zmarznięte grobem. To ciało pachniało ziemią i było przesyczone jej wilgocia, ale zostało w jakiś sposób sprowadzone. Ból rozsadzał jej żyły. Przy każdym oddechu czuła, jak pękają jej kości i tkanka. Z jej ust zaczęła spływać krew.

Zaczęła pełznąć. Świat stał się rozmyty i mniej przyjazny. Teraz jednak nikt nie mógł zaprzeczyć, że istnieje. Wola, która utrzymywała ją w truchle, była silniejsza od udręczonego ciała. Wprawione w ruch, jak lalka, wbijało palce w podłogę i posuwało się w stronę schodów, wlokąc za sobą nogi i opończę włosów.

Furia i żal przygasiły pozostałe emocje.

Usłyszała hałas na dole. Usłyszeli ją i teraz przybiegli, by zobaczyć, co się stało. Powitała ich skowytami i kolejną falą krwi, która buchnęła z jej ust. Zakreśliła gwałtownie, złapała się pierwszego schodka i przesunęła się do krawędzi.

Stali tam. Mąż, który był teraz chudy tak jak ona, miał obrzydliwy zarost, który ku jej radości stał się teraz biały. Kobieta, schowana za nim, wytrzeszczała oczy, zupełnie jakby się zdziwiła, że ktoś oprócz nich tu mieszkał. Najśmieszniej wyglądał ksiądz, który zamarł z uniesioną do góry nogą. Utrzymywał równowagę mimo krzyża, kropidła i niewygodnej sutanny. Wyglądał tak, jak sobie wyobraziła. Miał współczujące żrenice i miły uśmiech. Przez to zdrada była jeszcze gorsza.

Wyrzuciła z siebie wszystkie pretensje, swój smutek i nienawiść do nich. Nie zrozumieli tego. Był to tylko bełkot.

Nie, nie, nie.

Kobieta zaczęła wrzeszczeć. Jej mąż zaczął ją ciągnąć do tyłu. Tylko kapłan się nie ruszył, więc po chwili zadecydowała.

Utopię was w moim szaleństwie.

Boazeria na ścianie pękła. Zaczęły z niej płynąć strumyczki wody.

Schodziła w dół. Przy którymś z kolejnych szarpnięć usłyszała trzask kręgosłupa i po chwili ból na moment przycichł, dzięki czemu jej bełkot nie był stłumiony torturą. Dopiero gdy pokonała połowę schodów, ksiądz się ruszył. Upadł do tyłu, odrzucając wszystko, co go chroniło przed chrześcijańskim diabłem i złapał się za serce. Jego twarz stała się purpurowa.

– Moje dziecko! Moje dziecko! – wydierała się kobieta. Mężczyzna ciągnął ją za ręce, ubranie... robił wszystko, by nie pozwolić jej wyjść za próg. Korytarz był jej królestwem. Jasno oświetlona ścieżka i piekący zielenią ogród za to nie należał już do niej. Instynkt mężczyzny dobrze mu podpowiadał.

Dom nie był ani przeklęty, ani nawiedzony.

Był po prostu zamieszkały.

Ksiądz uczynił z trudem znak krzyża i wypowiedział z przestachem jakieś egzotyczne słowa. Nawet to jej nie powstrzymało. W końcu dotarła na sam dół. Złapała go za nogi. Kapłan wydał z siebie cichy pisk i zaczął wierzgać. Nie mógł jej jednak ani rzucić, ani uwolnić kończyn. Trzymała go mocno. Podciągnęła się i leżała już na jego brzuchu.

Była zmęczona, ale podjęła ostatni wysiłek. Ksiądz próbował się wycofać, ale była w niego wczepiona. Podniosła głowę, napotykać te zdradliwe, błękitne oczy.

Z jej ust dobył się ten sam bełkot i niezrozumiałe dla nikogo pretensje. Wypluwała z siebie nienawiść do świata, do ludzi, do wszystkich, którzy jej nie chcieli widzieć i się bali. Przelewała swoją samotność, wściekłość i strach do jego

duszy, dławiła się krwią, martwymi muchami i larwami, które wychodziły z jej żołądka. Nie przerwała jednak. Wiedziała, że jej udręka nie może się skończyć. Pusta skorupa duszy stale będzie wypełniana tylko negatywnymi emocjami. Chciała jednak choć na chwilę ją opróżnić. Poczuć się lepiej.

Gdyby on... zrozumiał, nie chciałyby go zabić.

Widziała jednak tylko trzęsącą się kupę mięsa i tłuszczu. Czuła jego zwierzęcy strach, smród moczu.

Kapłan wpatrywał się w nią, a na jego ustach pojawił się obląkańczy uśmieszek. Jego ręka czegoś szukała po omacku. Nie patrzyła w tym kierunku i zdziwiła się, gdy zobaczyła błyszczącą lufę rewolweru. Nie wiedziała, gdzie go ukrył i dlaczego był uzbrojony. Nie skierował broni przeciwko niej i być może tylko to było pocieszeniem. Staruch przyłożył lufę do swej skroni.

– Nie! Proszę! Nieee! – krzyknęła kobieta.

Było jednak za późno. Nacisnął spust. Śmierć jednym, sprawnym ruchem starła jego uśmiech i namalowała go krwią i tkanką mózgową na ścianie. Dym na chwilę przysłonił jej widok. Ogłuchła nawet.

Podniosła głowę, wpatrując się w małżeństwo. Teraz nawet małżonka chudzielca nie mogła zrobić kroku. A ona nie ruszyła się z piersi księdza, chłonąc jego ciepło. Warczała, obserwując z radością, jak matka pragnie jednocześnie biec do swego dziecka i uciekać.

Bachor jednak nie płakał. Widocznie zrozumiał, co się stało. Teraz to ona była łowcą.

Kobieta spuściła wzrok, padła na ziemię w spazmach.

Chciała zobaczyć, jak daleko do nich dotrze. Znowu jednak zasnęła za czerwonym szkłem. Był to dziwny widok, ale wiedziała, jak jej ciało, rozpadając się, zmienia się w rój much.

Pomocy. Pomocy.

Czerwona pustynia. Odbierająca wzrok burza piaskowa. I ciepła, żywa dłoń obejmująca jej.

– Spójrz tam. – Chłopiec pozbawiony skóry, parujący od gorąca wskazał jej coś na horyzoncie. Widziała małe światelka i zarys murów. – To nasze miasto. Limbo.

Spojrzała na niego, nic nie rozumiejąc.

– Pomogę ci...

Zatrzymali się. Światło przywabiało ją, jak świetlika.

– Był rok 1534. Miałem wtedy osiem lat. Nie miałem domu, nie miałem rodziny. Robiłem wiele rzeczy, by przetrwać. Wiele złych rzeczy. Chociaż nie mogę powiedzieć, że było to złe życie... – westchnął – Dotarłem do tego przeklętego miasta. Nie, nie tego, które leży przed nami. To było ludzkie miasto. Byłem tam zjadaczem grzechów. Kiedy ktoś umierał, kładziono na jego piersi chleb. Łakome grzechy przechodziły do pieczywa i dusza była czysta. Ktoś jednak musiał je przejąć na siebie, rozumiesz? Byłem taki głodny... Więc jadłem. Nie interesowało mnie, czym był obciążony umarły. Potem zacząłem żądać pieniędzy za swoje usługi. Oczywiście, nie było to legalne, ale wszyscy trzymali zasznurowane usta – dotknął swoich zębów. – Jadłem, zarabiałem, piłem wino. A potem umarłem. Nikt nie położył chleba na mej piersi, ponieważ nie znalazłby się nikt na tyle głupi, by nieść mój ciężar. Długo błąkałem się na pustyni, nie mogąc zaznać spokoju. Tam, gdzie straszylem, opętałem mnicha i rozkazałem mu zedrzeć z mojego ciała skórę, by zrobić z niej oprawę dla księgi. Ja, Martwy Chłopiec, spłaciłem swój dług i mogłem iść dalej. I być przewodnikiem dla was, zagubionych.

Nie rozumiem. Chcę zasnąć. Zasnąć pod czerwonym szkłem.

– To szkło nie jest czerwone. – Uśmiechnął się. – To bariera, przez którą widać pustynię.

Nie.

– Dlaczego nie chcesz przejść?

Nie.

– Będziesz wolna. Musisz tylko odrzucić przeszłość. Zostawić stary dom.

Sama.

– Limbo wita wszystkich. Także samotnych.

Sama.

Przez ten czas ani na chwilę nie pomyślała, by wypuścić jego ciepłą dłoń. Czuła, jak jej nogi zapadają się w piachu. Zjechała nieco w dół wydmy. Teraz mieli głowy na tej samej wysokości. Chłopiec podniósł rękę i ostrożnie położył ją na głowie.

Zrobię ci krzywdę.

Jeśli się zbliżysz.

Zaczął ją powoli głaskać. W upokarzający sposób, jak jakiegoś kota. Nie uśmiechał się. Wpatrywał się tylko w nią uważnie.

Przestań.

On jednak nie przestawał.

Szkło pękło. Pękły jej ściśnięte powieki. Łzy, które wypłynęły z jej oczu, były gorące i piekły. Wydawało się jej, że płacze krwią. Zaczęła wrzeszczeć. Zagłuszyła burzę. Zagłuszyła cały świat. Robiła to tak długo, aż tylko na dnie serce chlupotało odrobinę goręczy.

Oczyścił ją. Pobłogosławił. Martwy Chłopiec. Najwyższy z Kapłanów Miasta Limbo.

Jej emocje nie zabiły go ani nie przeraziły.

– Podczas swej wędrówki zrozumiałem jedno. Serce, które raz pękło, nigdy nie będzie szczelne. Pustka rodzi tylko czern. Będziesz musiała stale je wypełniać, przeklęta.

Tak.

– Szkoda mi ciebie.

Więc mi pozwól...

Pozwolił.

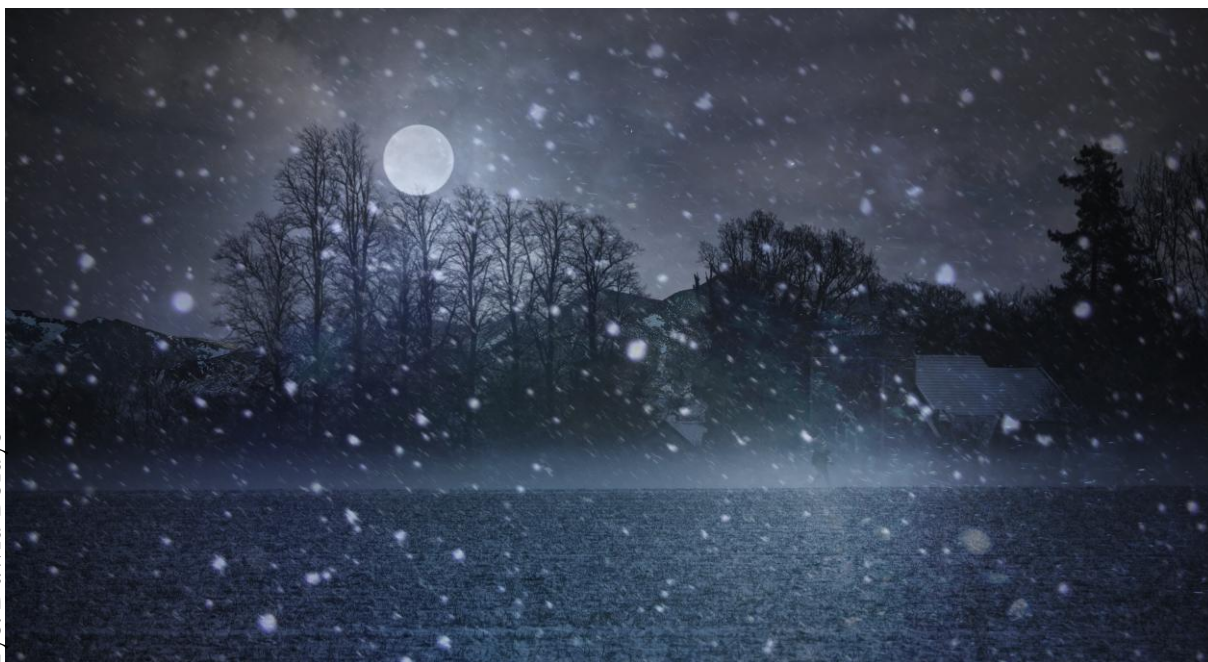
Szkło pękło już ostatni raz.

W wybebeszonym telewizorze leżała odcięta, kobieca głowa. Jelita kobiety posłużyły jako lina. Powiesiła pozbawione głowy, pocięte ciało nogami do góry, na żyrandolu.

Utopiła mężczyznę w wannie i wyciągnęła mu z rąk żyły. Odkręciła gorącą wodę. Niech się ugotuje...

Chodziła jeszcze długo po parterze, żegnając się z domem. Potem wzięła nóż kuchenny i powoli ruszyła na górę.

Został już tylko jeden potwór...



PRZEŁĘCZ

Tomasz Krzywik

Piątek, 22 stycznia 2016 roku, godz. 18:44

Z ulgą stwierdzam, że najpewniej od dawna opuszczone schronisko pozwoli mi przetrwać noc.

Jest duże i bez wątpienia stare. W swej architekturze nie odstaje od innych budynków tego typu – zwłaszcza wiele detali wykończenia koresponduje z podobnym obiektem, ulokowanym bodajże nad Morskim Okiem. Zdążyłem już obejrzeć większą część mojego tymczasowego schronu, wszelako wciąż nie zapoznałem się z: piwnicą (nie ma klucza, więc drzwiczki trzeba będzie wyłamać), częścią pokoi na poddaszu i łazienkami po drugiej stronie korytarza.

Nie wiem, dlaczego ludzie pozostawili to schronisko na pastwę losu, niemniej ilość pozostawionego sprzętu – sprzętu, trzeba dodać, naprawdę pierwszorzędnej jakości – jest

zaskakująca. Rzecz jasna zdążył nieco sparszywieć, lecz wciąż wiele przedmiotów nadaje się do użytku. Nawet w takiej kuchni turystycznej nadal jest nieco gazu. Być może potem podgrzeję którąś z konserw albo rozpuszczę śnieg, jeśli najdzie mnie pragnienie. Na razie jednak zostawiłem kuchnię w spokoju, nie jestem głodny. Spróbuję rozpalić ogień w kominku, chociaż jeszcze nie wiem, co posłuży za opał. Coś się znajdzie. Może meble? Muszę tylko pilnować ilości benzyny w zapalniczce, bez niej miałbym ciężko.

Pogoda na zewnątrz paskudna. Temperatura około dwudziestu stopni poniżej zera, na wietrze pewnie jeszcze mniej. Śnieg wali mocno, wicher zawodzi upiornie między szczytami. Parę razy słyszałem też grzmoty, a niebo co i rusz rozjaśnia się – chyba po raz pierwszy jestem świadkiem autentycznej burzy śnieżnej. Zachodzę w głowę, jak mogłem dać się jej zaskoczyć w równie idiotyczny sposób? Wszak już od wczoraj dostawałem informacje o kotłujących się nad przełęczą Krzyżne cumulonimbusach, wzrastających gradientach temperatury i o chwiejnym pionowym profilu atmosfery. Dlaczego więc tutaj trafiłem? Cóż, wszystko wskazuje na moje zerowe doświadczenie w chodzeniu po górach i najzwyczajniejszy w świecie brak rozsądku.

Aura stanowi zresztą niełichy problem: parę schroniskowych okien jest pozbawionych szyb, przez co wiatr hula po korytarzach niczym nieskrępowany. Próbowałem sobie z tym poradzić, ale ostatecznie zabarykadowałem się w głównej sali. Wcześniej zgromadziłem tu najpotrzebniejsze przedmioty, a także pozamykałem drzwi, które uszczelniłem na tyle, ile mogłem. Jediną pozbawioną szkła framugę okna zabiłem deskami, których komplet leżał w komórce za recepcją. Dopust Boże sprawił, że znalazłem również gwoździe; niestety zamiast młotka musiał wystarczyć mi spłaszczony kamień.

Piszę przy świecy; telefon prawie całkiem rozładowany. Zasięgu brak. Jestem nieco zestresowany, ale wydaje mi się, że sytuacja jest już opanowana. Boję się tylko lawiny śnieżnej, która mogłaby zmieść to schronisko z powierzchni ziemi; oddalam jednak od siebie tę myśl za każdym razem, kiedy tylko się pojawia.

Dość pisania. Czas rozpalić w kominku, inaczej zamarznę.

Piątek, 22 stycznia 2016 roku, godz. 19:36

Wydaje mi się, że jest już trochę lepiej.

Znalazłem jakieś stare gazety, połamałem trochę krzeseł i innych mebli. Chyba najgorsze było oczekiwanie, aż podpałka ze zrulowanych brukowców zajmie się ogniem, wszak bez solidnego płomienia nie miałem co liczyć na podniesienie temperatury

pomieszczenia, a wtedy równie dobrze mógłbym wyjść na zewnątrz i oddać się szponom śmierci. Nic takiego jednak nie nastąpi – ogień trzaska w kominku aż miło, potencjalnego opału jest jeszcze całkiem sporo, a ja wreszcie mogę odetchnąć z ulgą... Na razie.

Siedzę tuż przy palenisku i piszę. Muszę pisać, żeby odegnąć coraz bardziej odczuwalne zmęczenie. Już nawet małe dzieci, od najmłodszych lat wystawione na oddziaływanie wszelkich mediów wiedzą, że spanie na mrozie oznacza śmierć.

Chce mi się śmiać z samego siebie. Któż bowiem zdrowy na umyśle wychodzi w góry, nie mając przy tym adekwatnego doświadczenia? Raki na nogach i czekan w dłoni nie zrobią ze mnie taternika. Nic mi jednak po tej wiedzy; nauka jak zwykle przyszła już po szkodzie. Kiedy rano opuszczałem wygodne zacisze hotelu mamiałem siebie wizją ośnieżonych szczytów, bajecznych widoków, a nawet snulem marzenia o mirażach, jakie rzekomo można czasem zaobserwować w górach.

A przecież kierowca tego niewielkiego rozklekotanego busa, którym dojechałem do Kuźnic, uprzedzał mnie, że wiele ryzykuję. Przytoczył nawet historię sprzed ponad roku, kiedy to grupę turystów zaskoczyła burza śnieżna. Wówczas zaginęli i – jak podejrzewano – niedługo potem zginęli; śnieg odsłonił ich ciała dopiero przy okazji roztopów, które przecież przychodzą w górach wyjątkowo późno, zwłaszcza w porównaniu z cieplejszymi regionami kraju. Podobno zwłoki znajdowały się w strasznym stanie nie tylko ze względu na stopień rozkładu, ale i obrażenia, jakie mieli ponieść jeszcze przed zgonem. Sekcja zwłok od razu wykluczyła atak niedźwiedzia czy wilka, choć szarpane rany i ślady ugryzień przemawiały jednak za podejrzeniem ataku jakiegoś zwierzęcia. Najśmielsi z lekarzy posunęli się do tezy, iż może za atakiem stoi jakiś nieznany gatunek, wszelako teza ta jednak nie wytrzymała krytyki. Ostatecznie sprawa ucichła – w końcu co roku w Tatrach ginie przynajmniej kilka nieostrożnych osób, toteż nie czyniono z tego jakiejś wielkiej sensacji...

Tak więc cóż, skoro tu jestem, oznacza to, że nie dałem wiary tej dziwnej opowieści. Za bardzo wydała mi się nasycona miejscowymi wierzeniami i folklorem, a także popularną kreacją naiwnych turystów-przyjezdnych. Górale często uciekają się do tych schematów, żeby nastraszyć napuszonych ich zdaniem gości z innych części kraju. Nigdy nie zrozumieć niechęci do obcych, tej całej lokalnej ksenofobii. Chociaż może jest ona w jakiś sposób racjonalnie umotywowana?

Boże, jakież to huragan szaleje na zewnątrz! Chyba pokuszę się o nagranie tych dźwięków, bo trzeba by mistrza pióra do opisanie tej piekielnej kakofonii! Mój znajomy profesor z Uniwersytetu Warszawskiego, niejaki Poławski, wspominał kiedyś o starej mitologii, jeszcze sprzed czasów Rzymu, kiedy to ludzie wierzyli w istnienie „starszych

istot”, jak to określił. Nie pamiętam nazw tych „bogów”: najczęściej składały się one z dziwnych galimatiasów liter, nasuwających skojarzenia z językiem arabskim i odznaczały niepokojącym zapisem. Dlaczego o tym wspominam? Otóż jednemu z tych tak zwanych bogów miał towarzyszyć upiorny orszak z jakiejś innej planety, nazywała się chyba... Jugo? Jakoś tak; w każdym razie orszak ów miał grać na straszliwych rogach, zwiastujących koniec kolejnej epoki. Co oczywiste, żadne podania nie zachowały, jak miały by brzmieć te przyprawiające o obłąd instrumenty, ale myślę, że żywioł na zewnątrz świetnie wpisałby się w ich klimat.

Odnutowuję: znaleziony koło recepcji termometr wskazuje nieco ponad 10 stopni Celsjusza. Sukces! Wychodzi na to, że jednak zaniósę to nagranie Poławskiemu osobiście.

Chyba zajrzę do którejś z tych konserw.

Piątek, 22 stycznia 2016 roku, godz. 21:24, temp. 12 °C

W życiu bym nie przypuszczał, że prosta konserwa turystyczna będzie dla mnie taką delcją. Najwyraźniej głód czyni cuda.

Podtrzymuję ogień w kominku. Myślę, że za jakiś czas rozpuszczę trochę śniegu, żeby się napić, choć z tego, co pamiętam, nie wolno pić takiej wody za dużo; brakuje w niej składników mineralnych i soli, co czyni ją de facto destylowaną. Większe ilości mogłyby mnie odwodnić. Ale dobrze będzie choć trochę zwilżyć język.

Burza nadal szaleje. Grzmoty przetaczają się nad przełęczą, a wicher zdaje się poruszać całym schroniskiem. Ile w ogóle ono może mieć lat? Na belce nad frontowymi drzwiami widniała tabliczka z napisem „1863”. Jeśli uznać to za datę otwarcia obiektu, to jest on już w gruncie rzeczy zabytkiem. Ale ludzie musieli się stąd wynieść najdalej parę lat temu – oświetlenie i umeblowanie są raczej współczesne, poza tym mielonka wciąż nadaje się do spożycia.

Sam budynek wydaje mi się ładny. Wykonany jest z kamienia, choć z drewnianym wykończeniem i charakterystycznym spadzistym dachem. Nie liczyłem pokoi, lecz to relatywnie duży obiekt, w każdym razie w porównaniu z dotychczasowymi schroniskami, które odwiedziłem. Przed wejściem przybudowano rozległy kryty taras, najpewniej dla gości, by latem mogli tam zażywać ciszy i spokoju.

Do przełęczy Krzyżne jest stąd niedaleko. Szlak biegnący w pobliżu, choć popularny, leży zdecydowanie na odludziu. Być może właśnie ze względu na niewielką liczbę gości zamknęto ten obiekt? Postanawiam uznać tę wersję za najbardziej racjonalne wyjaśnienie.

Jednocześnie staram się nie myśleć o strasznej legendzie, którą usłyszałem w drodze do Kuźnic.

Piątek, 22 stycznia 2016 roku, godz. 22:22 temp. 14 °C

Godzina dwudziesta druga dwadzieścia dwa. Pomyśl życzenie, Daniel!

Uśmiecham się do siebie. Od prawie godziny siedzę plecami do kominka i gapię w szalejącą za oknem burzę. Nie żebym wiele widział: śnieg zalepia okna coraz grubszymi płatami, wszelako rozbłyśki na niebie swoją świetlistością przebijają się nawet przez taką zasłonę.

Jestem spragniony, ale wciąż powstrzymuję się przed wyjściem na zewnątrz i zebraniem opadu. Wolę poczekać i mieć pewność, że nie „przetopię” śniegu starszego niż jeden dzień; w przeciwnym razie napoiłbym się breją pełną mikrobów... Zresztą i tak do pewnego stopnia pewnie się przytruję, niemniej mam nadzieję, że skutki będą raczej delikatne.

Nie będę ukrywał – wciąż chodzi mi po głowie tamta straszna opowieść o turystach i losie, który ich spotkał. Tam, na dole wydawała mi się śmieszna. Teraz jednak, kiedy jestem uwięziony w tym przeklętym schronisku, wydaje się równie prawdziwa jak szalejąca na zewnątrz burza. Ciągłe ulegam złudzeniu, że grzmoty zagłuszają w istocie czyjś okrzyk, a wiatr zaciera właśnie wszelkie ślady mojej obecności w okolicy. Co ja piszę: jakie „zaciera”! Przecież już dawno zatarł i z nawiązką zakrył ścieżkę, którą się tu przybłąkałem. Jestem sam na tym odludziu i sam będę musiał sobie poradzić.

Zgasilem świecę. Światło z kominka wystarcza mi w zupełności, a nie wiem, czy nie będę chciał jej potem użyć w innym pomieszczeniu. Przyznaję również ze wstydem, że zaczynam odczuwać pewien dyskomfort psychiczny, zdaję sobie bowiem aż nadto sprawę z tego, iż opuszczone pokoje ciągną się przez całe schronisko, tworząc prawdziwie minojski labirynt. Także wciąż niespenetrowana piwnica nasuwa przykre skojarzenia z jaskinią, wywołując w mojej wyobraźni ohydne wizje podziemnego, ociekającego szlamem świata, zamieszkałego przez plugawe żyjące grzyby. Niemal widzę ich fosforyzujące trzony, pulsujące kapelusze...

STOP

Zmęczenie daje o sobie znać, zaczynam pisać głupoty. No, Daniel, nie popadaj teraz w paranoję. Chyba muszę się rozruszać. Przejdę się po schronisku, rozejrzę za czymś przydatnym, a potem może wreszcie zabiorę za tę całą piwnicę. Napawa mnie jakimś

niezrozumiałym lękiem. Dobrze byłoby przełamać się i wreszcie zajrzeć do środka. A może najpierw pokoje? Tak, chyba lepiej będzie odwiedzić te cholerne sypialnie.

Dorzuć jeszcze tylko do kominka i można iść.

Piątek, 22 stycznia 2016 roku, godz. 23:45 temp. 14 °C

Powoli dochodzę do siebie.

Umieszczona w blaszanym garnku kula śniegu rozpuszcza się, zaraz będę mógł się napić. Mogłbym też coś zjeść, ale przed chwilą wymiotowałem na podłogę całe jedzenie i nie sądzę, żebym był w stanie prędko cokolwiek przełknąć.

Zwłoki.

Natknąłem się na zwłoki. Kiedy wyłamywałem zabarykadowane drzwi do jednego z pokoi sypialnych, miałem już pewne przecucia, niemniej nijak nie mogłem się przygotować na to, co zastałem w środku. Zaraz po otwarciu drzwi uderzył mnie w twarz porażający wapor i smród rozkładu. Podejrzewam, że pewnie był nieco przytłumiony przez siarczasty mróz panujący w reszcie budynku, wszelako i tak zgiąłem się w pół, by zwrócić jedzenie z całego dnia.

Nie jestem lekarzem, więc nie wiem, ile czasu mogły tam leżeć. Sądząc jednak po zaawansowaniu rozkładu: długo. Należały raczej do mężczyzny, choć wnioskuje to tylko i wyłącznie po włosach, bowiem twarz przypomina miazgę. Przypuszczałem, że być może człowiek ten został zaatakowany, lecz po chwili zauważyłem, iż dłoń nieszczęśnika zaciska się agonalnie na pokrytym ciemnymi plamami kamieniu, wywołującym we mnie straszliwe przecucie. Wyglądało to tak, jak gdyby postanowił sam sobie zadać taką straszną śmierć. Jakby z premedytacją uderzał się w twarz tak długo, aż wreszcie wyzionął ducha.

Ale dlaczego?

Sobota, 23 stycznia 2016 r, godz. 00:30, temp. 12 °C

Już po godzinie duchów. Wciąż nie doszedłem do siebie. Wcześniej dla zajęcia się czymś konkretnym uprzątnąłem nieco salę. W myślach nazywam ją, z oczywistych względów, „kominkową”. Zastawiłem wyjście na korytarz, barykadując się w moim schronie od środka.

Przypomniałem sobie, że w plecaku – poza pustym już termosem i kilkoma innymi przydatnymi rzeczami – mam także paczkę papierosów. Wygrzebałem jednego i zapaliłem. Czuję się trochę lepiej.

Wciąż mam przed oczyma tego nieszczęśnika i nie wiem, jak pozbyć się go z głowy. Próbowałem odgadnąć tajemnicę jego śmierci, ale do tego musiałbym dokonać stosownych oględzin, na co nie miałem i wciąż nie mam najmniejszej ochoty. Snuję nieprzyjemne rozmyślenia o ewentualnym maniakalnym zabójcy krążącym po okolicy, jednak z jakiegoś powodu nie traktuję tej perspektywy poważnie. Mimo to trzymam czekan w pobliżu, mam także kuchenny nóż. Nie wiem, czy potrafiłbym zabić czy choćby zranić drugiego człowieka. Mam nadzieję, że nie będę musiał się przekonać.

Budynek żyje. Trzszczą drewniane ściany i sufit, a całość wydaje się drzeć w posadach. Konstrukcją targa wściekły żywioł. Mam nadzieję, że nic się nie zawali; że nie zejdzie żadna lawina.

Parę razy wydawało mi się, że słyszę dźwięki inne niż grzmoty czy wycie wiatru, lecz mogłem ulec złudzeniu fonetycznemu. To się zdarza w górach, a teraz mogę być na to dodatkowo podatny. W końcu jestem zestresowany. Chyba rozejrzę się za jakimś alkoholem, choć pewnie jacyś turyści lub poszukiwacze mocnych wrażeń zdążyli już zabrać wszystkie wysokoprocentowe trunki.

Nie, nie mogę pić alkoholu. Przecież to jak podpisanie na siebie wyroku śmierci. Lepiej zabiorę się za tą piwniczkę. Zwróciłem na nią uwagę, gdy tylko tutaj trafiłem, a wciąż się za nią nie zabrałem. Kto wie, co mógłbym znaleźć w środku?

Zobaczmy, jak długo zajmie mi dostanie się do środka przy pomocy czekana.

Sobota, 23 stycznia 2016 r, godz. 00:50, temp. 14 °C

Właściwie, nie wiem, co znalazłem.

Brakuje mi słów i wiedzy, żeby to opisać, dlatego muszę posłużyć się takim zasobem słownictwa, jaki posiadam.

Otóż piwniczka okazała się, zgodnie z moimi przewidywaniami, raczej niewielka. Biegnie pod całą salą kominkową, wszelako ma nisko zawieszony sufit, a podłogę jest wykonane... Nie, nie jest wykonane. To po prostu gleba utwardzona czymś przypominającym żwir. Pod najdalszą od wejścia ścianą stoi kilka zadekowanych beczek, ale do nich zajrzę później. Na razie wciąż najtrudniejsze zagadnienie stanowi dla mnie owa kolonia stułbiokształtów, jaka rozwinęła się pod ziemią.

Piszę „stułbiokształtów” bo i brakuje mi lepszego określenia na moje znalezisko. Wyglądają na rośliny, wszelako pewne cechy wskazują raczej na przynależność do animalii. Kształt mają zbliżony do tuby, choć niektóre przybrały też formę cylindra czy cylindrycznego worka, wszystkie jednak odznaczają się promienistą symetrią. Po dokładniejszych oględzinach stwierdziłem, że do gleby przytwierdzone są biegunem aboralnym zakończonym tarczą czepną, nie mam jednak pewności, czy przypadkiem od owej stopy nie ciągnie się jeszcze sieć korzeni. Po stronie oralnej mają szczątkowy otwór gębowy z okazałym garniturem kolców, czy też zdeformowanych kłów. Ramiona u większości są zredukowane.

Ostatecznie uznałem, że mam przed sobą jakąś niezwykle odmianę parzydełkowca, przystosowaną do życia w iście ekstremalnych warunkach. Nie posiadam dostatecznej wiedzy z zakresu biologii czy nauk pokrewnych, żeby jednoznacznie przyporządkować gatunkowo owe dziwy, niemniej warto zaznaczyć, że są to byty względnie autonomiczne. Choć w piwniczce nie było przeciągu zaobserwowałem u stułbiokształtów nieznaczny ruch.

Zwłaszcza zwróciłem uwagę na niezwykle intensywny odór, jaki od nich bije: nawet, będąc w jednym pomieszczeniu z nieboszczykiem, nie czułem się równie źle i tylko fakt, iż już wcześniej doznałem spazmów i zwróciłem jedzenie sprawił, że teraz zachowałem względną trzeźwość umysłu. Było jednak coś złowrogiego w tych parzydełkowcach. Odniosłem wrażenie, że radzą sobie tutaj zbyt dobrze jak na tak fatalne warunki. Rośliny w okolicy były albo iglakami, albo skarłały, przystosowując się do panujących w okolicy warunków. Nie wiem, nie umiem rozwikłać tej zagadki.

Na razie zamknąłem piwniczkę, żeby powstrzymać odór przed rozprzestrzenieniem się do kominkowej.

Niedługo rozładuje mi się telefon. Co jakiś czas zerkam na ekran, ale ciągle znajduję się poza zasięgiem. Czuję, że dzisiejszej nocy nie będzie z niego wielkiego pożytku.

Jestem coraz bardziej śpiący. Wstałem wcześniej rano. Nie przywykłem do takich warunków, a wygodne życie w mieście zmięczyło mnie.

Źle się czuję.

Sobota, 23 stycznia 2016 r, godz. 02:13, temp. 8 °C

Musiałem przysnąć.

Ogień w kominku osłabł, więc dorzucam do paleniska. Jest mi na wskroś zimno, nawet porządna kurtka zimowa i spodnie narciarskie niewiele pomagają. Poza tym: febra.

Wydało mi się, że miałem sen, lecz nie pamiętam z niego nic, poza bezkresnymi otchłaniami pełnymi fosforyzujących grzybów. Czy to zmęczenie, czy być może zaczynam chorować. Albo ulegam halucynacjom...?

Pilnuję ciepła, nie mogę pozwolić sobie na wychłodzenie organizmu. Jeden trup w schronisku wystarczy. Wydało mi się, że błyskawice za oknem rozświetlają niebo w jakiś dziwny sposób: światło, jakie wydzielają, zdaje się wisieć jeszcze długo po tym, gdy ucichnie dźwięk gromu. Nasuwa to irracjonalne skojarzenia z mieszaniem się dnia i nocy, co jest absurdem.

Źle się czuję. Muszę spróbować coś zjeść, zebrać trochę kalorii. Wody.

Sobota, 23 stycznia 2016 r, godz. 02:38, temp. 12 °C

Ciągle palę w kominku. Staram się też pisać jak najwięcej, ale przygniata mnie atmosfera tego miejsca. Jest bowiem w tym cichym budynku coś, co sprawia, że wolałbym jednak wyjść na zewnątrz i być może nawet zrobiłbym to, gdyby nie szalejący na zewnątrz żywioł. Dlatego też mimo najczarniejszych myśli jestem zmuszony siedzieć w moim schronie i starać się przegonić niepokojące wizje, jakie mnie dręczą.

Od jakiegoś czasu wydaje mi się, że dźwięki na zewnątrz zmieniły swoje źródło. Potężne grzmoty zaczynają coraz bardziej przypominać ryk tytanów, a wycie wiatru – skowyt składanych im ofiar. Oczami wyobraźni widzę dantejskie sceny rozgrywające się na przełęczy: orszaki ohydnych, uciekających prostym opisom istot, odbywających swe plugawe rytuały. Niemal widzę jak krzyczą: „Ia! Ikka’zhao! Ia!”.

Nie mam pojęcia, skąd do głowy przychodzą mi równie odrażające wizje, wszelako nie wykluczam tego, iż ulegam jakimś halucynacjom wywołanym stanem zapalnym bądź czymś pokrewnym. Muszę zachować ostrożność, żeby w gorączce nie popełnić jakiegoś głupstwa. Słyszałem już o podobnych nieszczęśnikach.

Swoją drogą zaczyna w mojej głowie kiełkować przekonanie, że wiem, jaki los spotkał tamtych turystów, o których opowiadał mi kierowca. Wręcz widzę, jak biegną przez las, potykają się i oglądają w przerażeniu przez ramię. Jak brną w coraz głębszym śniegu, a istoty z innego wymiaru ścigają ich, bełkocząc złowrogo pod nosem imiona swoich nieświętych stwórców sprzed mileniów. Widzę wysokie, niewyraźne kształty sunące między ośnieżonymi sosnami i świerkami.

Odkładam na razie długopis. Muszę się chociaż przez chwilę zdrzemnąć. Mało siły. Ogień zakładam, że będzie się palił przynajmniej przez godzinę, może dłużej.

Sobota, 23 stycznia 2016 r, godz. ??? , temp. 13 °C

Nie mogę odnotować godziny ze względu na ostatecznie rozładowany telefon. Zwykłego zegarka brak, takie czasy. Ale sędzę, że nie drzemałem za długo – ogień wciąż hula w kominku. Odnotowuję również silne nudności i bóle głowy, niemniej mam nadzieję, że tylko przejściowe.

Ciekawostka: mam ze sobą kompas. Nie wiem jak mogłem o nim zapomnieć, ale zaraz po przebudzeniu zerknąłem do plecaka i okazało się, że urządzenie dalej spoczywa tam, gdzie cisnąłem je poprzedniego ranka. Jednak musiało dojść do jakiejś dziwnej anomalii, bowiem igła kręci się ciągle wokół własnej osi jak szalona. Może to przez tę burzę? Śnieg zalepił okna niemalże szczelną pokrywą, lecz wciąż jego biel rozjaśniają nadzwyczajnie częste błyskawice. Zaczynam poważnie zastanawiać się nad prawdopodobieństwem zejścia lawiny, a także nad tym, czy przypadkiem jej potencjalny tor nie biegłby akurat przez moje schronisko. Nie myśleć, nie wolno mi o tym myśleć! Nie mogę się poddać beznadziei!

Próżne gadanie: z przykrością odnotowuję, że jeżeli nie myślę o burzy i zimnie, to przypominam sobie o zwłokach. Wypadałoby dowiedzieć się, do kogo one należą, pewnie rodzina tego nieszczęśnika wciąż trwa w tym strasznym stanie zawieszenia, jakim jest niepewność co do losu bliskiej osoby. Pozostaje mi mieć... Czekać, aż się stąd wydostanę.

Muszę również wspomnieć o tym, iż ciągle odnajduję na marginesach dziennika notatki, czy raczej adnotacje. Nie wiem, może podświadomie układam je z nudów, wszelako cały ten galimatias liter wydaje się układać w sensowną całość – choć tylko pod względem fonetycznym. Nasuwają mi się skojarzenia z jakąś odmianą języka arabskiego, tyle że są zapisane w alfabecie łacińskim. Pozwalam sobie zostawić jedną z takich notatek; resztę konsekwentnie zamazuję: „OGTHROD AI’F GEB’L – EEH IKKA-ZHAO ‘NGAH’NG AI’Y ZHRO!”.

Dziwnie się czuję.

Sobota, 23 stycznia 2016 r, godz. ??? , temp. 12 °C

Odnotowuję: przed chwilą wyjrzałem na korytarz i schody prowadzące do pomieszczeń sypialnych. Wcześniej wydawało mi się, że słyszałem dobiegający stamtąd hałas, wszelako zaobserwowawszy u siebie problemy z percepcją, stwierdziłem, iż to po prostu kolejne złudzenie fonetyczne. Dopiero później, gdy w całym budynku rozniósł się

nienawistny odór, stwierdziłem, że zasłyszane przeze mnie dźwięki różnią się od tych rozlegających się na zewnątrz. Na początku bowiem usłyszałem trzask, po którym nastąpiła seria jednostajnych odgłosów, nasuwających skojarzenia ze stąpaniem jakiegoś parzystokopytnego stworzenia. Kroki zbliżyły się niebezpiecznie do mego schronu. W tamtej strasznej chwili wstrzymałem oddech i w napięciu oczekiwałem nadejścia horroru, jednakże zaraz potem usłyszałem skrzypienie schodów prowadzących na piętro. Nie wiedziałem, po cóż cokolwiek miało się tam kierować, wszak nie było tam nic poza zwłokami.

Odpowiedź przyszła bardzo szybko i wciąż żałuję, że ją poznałem.

Wysłuchawszy się w ogarniającą schronisko ciszę, usłyszałem okropne odgłosy ssania, przywodzące na myśl ogromnego pajęczaka, który jadłem rozpuścił wnętrzności ofiary, a który teraz zanurza w niej swój ohydny aparat gębowy i zaczyna spożywać pokarm. Wizja ta nadal wywołuje dreszcze.

Długo siedziałem w milczeniu i nasłuchiwałem. Ktoś inny może by się modlił; ja jednak słysząc te bezbożne, wstrętne odgłosy zaniechałem jakichkolwiek prób wzywania Boga. Tutaj go bowiem najwyraźniej nie ma.

Nie wiem, jak długo trwał ten koszmar. Dopiero po czasie, wydającym mi się wiecznością, usłyszałem, że stwór oddala się i znów słychać tylko szalejącą na zewnątrz burzę śnieżną. Wydaje się, iż odszedł ze schroniska bez zbędnej zwłoki, wszelako i tak czekałem jeszcze długo, zanim wreszcie odważyłem się wyrzeć na korytarz.

Uczyniłem to – jak już pisałem na wstępie – przed chwilą. Dobry Boże! Wszędzie pełno śniegu, co jest o tyle przerażające, że wszystkie okna wcześniej były zamknięte, również i drzwi dopilnowałem, by nie otwierały się na mróz. Tymczasem te prowadzące na podwórze zastałem szeroko otwarte i dopiero po chwili zauważyłem, że zamek w nich wyłamała jakaś ogromna siła. Jakież to stworzenie miało w sobie tyle determinacji i złośliwości, by próbować dostać się do środka zabarykadowanego budynku? I jakież w tym miało cel? Muszę sprawdzić, co ze zwłokami, choć jestem pełen najgorszych przeczuc.

Adnotacja: zwłok nie ma; został tylko zakrwawiony i pokryty dziwnym śluzem ochłap. Ciało w dziwnym stanie: sflaczałe, częściowo zdeformowane. Po co?

Dziwne przeczucie; sprawdzić stułbiokształty w piwnicy.

Sobota, 23 stycznia 2016 r, godz. ??? , temp. 12 °C

Muszę się stąd wynosić.

Wydają się całkiem ożywione: falują delikatnie i pulsują, choć – jak zaznaczałem wcześniej – nie ma tu żadnego przeciągu. Kolonia tych dziwnych organizmów sprawia wrażenie jedności, niemniej każdy z nich cieszy się pewną autonomią ruchu. Dopiero teraz jednak odważyłem się przyjrzeć dokładnie ich dziwnym otworom gębowym...

Otóż nie są to wcale otwory gębowe, ale pewnego rodzaju inkubatory. Przyświecając sobie świecą ujrzałem wewnątrz ohydne kłębowisko kosmicznych kształtów, przywodzących na myśl skojarzenia z najwstrętniejszymi z pajęczaków. Wiją się tam w środku i pożerają nawzajem – choć są raczej niewielkie, to już teraz budzą we mnie obrzydzenie.

Legowisko... Musiałem trafić do legowiska czegoś strasznego, czegoś co było prawdziwą przyczyną opuszczenia tego schronu, jak i również źródłem tych dziwnych górskich legend, które nieraz można usłyszeć. Na Boga, muszę jak najszybciej opuścić to miejsce

Sobota, 23 stycznia 2016 r, godz. ??? , temp. ???

Burza na zewnątrz ustała. W budynku coraz ciemniej: rozgrzebałem palenisko w kominku, a część wciąż gorzejących szczap cisnąłem do piwnicy, którą wcześniej wyłożyłem starannie chrustem. Liczę, że pożar pochłonie to całe plugawe siedlisko. Pozostaje mi tylko modlić się do Boga, żebym nie spotkał owej strasznej istoty, która tutaj zamieszkała.

Adnotacja: wyjrzałem na zewnątrz. Brakuje mi słów, żeby opisać mi to, co widzę: firmament i chmury zniknęły, zastąpione bezgraniczną otchłanią kosmosu, pełną fantastycznych kolorów oraz gwiazd i planet. Nigdy w życiu czegoś podobnego nie widziałem. Nie dostrzegam jednak żadnych znanych mi ciał niebieskich. Na przełęcz jasno, choć brak księżyca. Czyżbym całkiem stracił orientację? Kompas wariuje; okolica wydaje się nieco odmieniona w jakiś dziwny sposób, choć nie potrafię opisać dokładnie, w jaki konkretne. Wszędzie pełno koszmarnych śladów. Jakież to ohydne bachanalia miały tutaj miejsce? Ile podobnych, pajęczakowatych istot sprzed wieków wypasało się na tej przeklętej przełęczy? Ileż te góry nosiły w swoich trzewiach legowisk wszelkiego ohydztwa? Profesor Poławski opowiadał mi kiedyś o istotach zwanych przedwiecznymi, o innych wymiarach. Gdyby teraz tu był!

Zimno. Nie wiem, którędy do domu. Wydaje mi się, że tracę zmysły. Tamta straszna burza śnieżna nie była burzą. Podejrzewam jakąś przerażającą koniunkcję różnych wymiarów, zaistnienie pewnych krzywych czasoprzestrzeni.

Co ja bredzę? Marznę na śniegu. Niniejszym kończę pisać, inaczej stracę palce z odmrożenia. Ruszam na poszukiwanie innych ludzi, przecież muszę być gdzieś tutaj.

To pisałem ja, Daniel Zabracki.

Adnotacja: Zimno. Gdzie jestem? Przełącz taka sama, ale góry inne. I te kolory!

Adnotacja: Jakie piękne rzeczy widzę!

Adnotacja: Ia! Ia! Ikka'zhao! Dha'fhrara Yuggoth bh'tang! Ia Ikka'zhao y'ma bh'tang!

Niedziela, 24 stycznia 2016 r, godz. 13:45, temp. -14 °C

- Jest! Mamy go!

Jacek Lipiec, młody ratownik TOPR-u zaczął energicznie machać rękoma. To była jego pierwsza prawdziwa akcja i jak każdy nowicjusz chciał wykazać się przed innymi. Poszukiwania prowadzili od rana. Wtedy bowiem zadzwonił do nich recepcjonista z hotelu, gdzie wynajmował pokój niejaki Daniel Zabracki. Mężczyzna miał wyjść na szlak przy wyjątkowo niesprzyjającej aurze i zapowiadał, że wróci jeszcze tego samego dnia. Kiedy jednak tak się nie stało, obsługa hotelu zaczęła prowadzić rozeznanie po okolicznych schroniskach i hotelach celem sprawdzenia, czy mężczyzna nie zameldował się gdzie indziej. Dopiero w schronisku ulokowanym na Kasprowym Wierchu poinformowano poszukujących, że w istocie, jakiś mężczyzna był tutaj w sobotę, niemniej nie zatrzymał na miejscu. Zamiast tego – wbrew zdrowemu rozsądkowi i namowom obsługi – udał się w dalszą podróż na przełęcz, zdradzając przy tym wielkie podekscytowanie. Nie, nie widziano, żeby wracał. Nie, nie było z nim nikogo, w dodatku wyszedł na niedługo przed burzą śnieżną.

Lipiec opadł na kolana i zaczął rozkopywać śnieg, spod którego wystawała skostniała ręka. Młody ratownik nie liczył na zbyt wiele – miał już dość lat, żeby wiedzieć, iż nie da się tak po prostu przeżyć burzy śnieżnej w górach, bez dachu nad głową.

Nie mógł być jednak przygotowany na to, co odkrył, kiedy już przekopał się do ciała mężczyzny.

Właściwie, nie było żadnego ciała, lecz tylko zdeformowany ochłap mięsa, ubrany w kurtkę narciarską, spodnie i buty uzbrojone w raki. Skóra opinała ciasno szkielet, a pod nią

wydawało się, że nic nie ma. I twarz, Boże, ta twarz! Skrzywiona w przerażeniu, z pustymi oczodołami i odsłoniętymi w agonicznym wrzasku zębami.

Lipiec odwrócił się od zwłok i z wymiotował, barwiąc wszechobecny śnieg dzisiejszym śniadaniem.

Stary Nowocień, przewodzący grupą, dobiegł do chłopaka i widząc znalezisko, zmarszczył brwi. Podobnie zareagowała reszta grupy, składająca się – poza Lipcem – z samych doświadczonych górali. Wszyscy oni zachowali zimną krew, kiedy Nowocień wyjmował z zaciśniętej dłoni pokryty białym puchem dziennik. Otrzepał zeszyt i próbował otworzyć, jednak bez efektu: śnieg zlepił strony, rozmazał pismo, czyniąc notatki kompletnie nieczytelne.

– Jest jakaś szansa, że... – zaczął jeden z ratowników, ale Nowocień pokręcił głową.

– Nie, nic z niego nie wyczytamy – mruknął. – A zresztą, co by to zmieniło? Wiecie, co teraz należy uczynić.

Kiwnął na Gacka. Ten pojawił w lot, o co chodzi. To nie była jego pierwsza taka akcja. Wyjął z plecaka łatwopalny płyn, podszedł do zwłok i przechylił nad nimi butelkę, a kiedy już ją opróżnił, sięgnął po zapalki. Wykrzesanie ognia na tym siarczystym mrozie zajęło mu chwilę, wszelako brak wiatru ułatwiał nieco sprawę. Dlatego już po chwili kurtka nieszczęśnika zajęła się ogniem.

Wkrótce potem zwłoki zaczęły zmieniać się w czarny, poskręcany kształt.

Górale w milczeniu otoczyli skwierczący płomień kołem. Młody ratownik patrzył na to wszystko w przerażeniu, nic nie pojmując. Zauważył to Nowocień; zaprosił wtedy chłopaka do kręgu.

– Widzisz, młody, nawet i my mamy swoje rytuały – powiedział, uśmiechając się niewesoło. – Czasem uratujesz komuś życie... A czasem trzeba ocalić tych żyć trochę więcej.

– Ale...

– Potem. Podaj mi rękę, drugą Gackowi. Jest zimno, nie chcę tracić czasu na mrozie więcej niż to konieczne.

– Przecież my... Przecież my palimy zwłoki!

– Trafne spostrzeżenie. – Nowocień wyszczerzył zęby w jakiś dziwny, niepokojący sposób. – Chyba nie chciałbyś, żeby ludzie na dole dowiedzieli się, jakie to dziwne zachodzą na tej przełęczy? To ciało budziłoby za wiele pytań. Lepiej uznać go za bezpowrotnie zaginionego.

– Ja...

– A co byś im powiedział, gdyby zobaczyli te szczątki? Powiedziałbyś im o Ikka'zhao? Koniunkcji światów? Powiedziałbyś o złowrogich istotach, uśpionych na zapomnianych przełęczach? W nieznanych jaskiniach? Tak myślałem. Podaj mi rękę, czas odegnąć stąd Złe.

Chłopak, choć wciąż przerażony podał dłonie pozostałym ratownikom. A kiedy zamknęli w ten sposób krąg, zaczęli powtarzać jak mantrę:

– OGTHROD AI'F GEB'L – EEH IKKA-ZHAO 'NGAH'NG AI'Y ZHRO!

Ogień płonął jeszcze długo, trawiąc zwłoki i resztki zniszczonego śniegiem dziennika. Nad przełęczą chmury rozstały się, przepuszczając pierwsze od długiego czasu promienie zimowego słońca.

**PIERWSZA POLSKA
ANTOLOGIA
SŁOWIAŃSKIEJ GROZY!**

**KREW
ZAPOMNIANYCH
BOGÓW**

JUŻ W SPRZEDAŻY!

Więcej informacji na:

<https://www.facebook.com/1slowianskhorror>

PRZEDZIWNĄ – ZASKAKUJĄCĄ – INTRYGUJĄCĄ – PRZERAŻAJĄCĄ

Książka inna niż wszystkie dotąd przeze mnie czytane. Thriller, którego akcja rozgrywa się na baśniowych terenach Suwalszczyzny. **Musicie ją przeczytać, musicie ją przeżyć, musicie się jej bać.**

Są takie miejsca, w których przenigdy nie chcielibyśmy się zgubić, historie, których nie chcielibyśmy przeżyć. I oni - młodzi zakochani, których opowieść mrozi krew w żyłach.

Studenci z Warszawy - Karolina Górka i Tomek Wawrentowicz to para, której kilkuletni związek przeżywa kryzys. Kochają się, ale ostatnio więcej ich dzieli niż łączy. Ona - spokojna katoliczka, on - nerwowo ateista. Wielkanocny wypadek na Suwalszczyźnie ma pomóc uzdrowić ich związek, zbliżyć do siebie. Chcą nie tylko zwiedzić ciekawe miejsca regionu, ale też spędzić ze sobą jak najwięcej czasu.

Rankiem młodzi wyruszają na zwiedzanie okolicy. Suwalszczyzna kusi starymi zabytkami, jeziorami, mostami. Zamkowa Góra, Sokolniki, Gałęziste... No i ten las... tutaj wyjątkowy, demoniczny. Wydawałoby się, że żyje, wyciąga ku nim ręce, kieruje ich myślami i czynami. Gubią się, nie potrafią odnaleźć drogi. To coś zagraża ich życiu. I wszędzie ten trupi odór. Czy to tylko wyobraźnia? Czy spacer po lesie może tak zmienić ludzkie życie?

Zamiast najczystszej obcowania z Bogiem... Mieli spotkanie z totalnym jego przeciwieństwem. Spotkanie z tą piekielną siłą, która bawiła się z nimi jak dzieci przypalające mrówki skupionym przez lampę światłem słonecznym. Zamiast czasu w gronie najbliższej rodziny, ciepła, radości, wyciszenia od codzienności, mieli strach, smutek, beznadzieję i bezsilny gniew.

Słowem - nic tego dnia nie było tak, jak powinno.

Jak zakończy się ten koszmar? Gdzie jest Bóg, w którego tak bardzo wierzy Karolina? Dlaczego nie obroni ich przed nadchodzącym złem? Komu zależy na życiu tych dwojga?

Książka jest tak pełna realizmu, że nie sposób się od niej oderwać. **Autor potrafi oddać perfekcyjnie atmosferę grozy, tajemniczości.** Trzymająca w napięciu akcja, emocjonujące opisy, demoniczność. Przyznam, że czasami miałam gęsią skórę. I ten przedziwny czarny humor. To sprawia, że się ją po prostu chłonie...

Nie mogę nie wspomnieć o przepięknych opisach Suwalszczyzny, jej walorach turystycznych, zabytkach, wierzeniach. Do tego jeszcze nasze swojskie klimaty: sceny pijaństwa i niedoleczonego kaca, typowe polskie wulgaryzmy, zewsząd bijący erotyzm. I wiele pytań o to, co w życiu ważne, a może nawet najważniejsze: czym jest wiara, ile jest w stanie człowiek poświęcić dla miłości, czy można uciec przeznaczeniu?

Książka zrobiła na mnie ogromne wrażenie. **Niebanalny pomysł, zaskakujące zakończenie, pytania oczekujące odpowiedzi.** Autor naprawdę zasłużył na szczere słowa uznania. **Mam nadzieję, że chcecie poznać historię, której nie chcielibyście przeżyć.** Odważcie się odbyć podróż po Suwalszczyźnie, która was nie tylko zaintryguje, ale przerazi do szpiku kości.

Izabela Nestioruk
ksiazkomaniacyrecenzje.blogspot.com



ZWIERZYNA – upoluj ją! Ale najpierw odwróć się i sprawdź, czy to za tobą nikt nie idzie.

„Debiutnacki tom opowiadań
Macieja Kaźmierczaka to proza
wysokiej próby.”

– Adam Mazurkiewicz
Grabarz Polski

*

„To prawdopodobnie jedna
z lepszych książek napisanych
i wydanych w Polsce
w ubiegłym roku.”

– Krzysztof Maciejewski
Art of Reading

*

„Z pewnością jest to
najmocniejszy debiut
2015 roku.”

– Krzysztof „Korsarz” Biliński
Okiem na Horror



Zamów książkę na: zwierzyna.kasprowicz.edu.pl

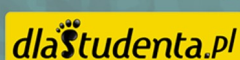
Patroni medialni:

FANBOOK MISTERIUM GROZY  **granice.pl**
wszystko o literaturze

NERD  **KOBIETA**  **GameExe.pl**

 **OKIEM
NA HORROR**

 **HORROR
MASAKRA**

 **dla studenta.pl**

 **UNIVERSITAS
ŁÓDZENSIS**

Uniwersytet
ŁÓDZKI

rys. Roman Panasiuk



SUFLER

Kamil Adrian Kornatowski

Nie wiem, jak nazwać ten tekst. Już od dłuższej chwili siedzę przy biurku ze starym piórem w dłoni. Choć wypisałem nim encyklopedie recept, nie zaniedbując, dla wygody pacjentów i aptekarzy, właściwej kaligrafii, dziś stalówka nieprzyjemnie szarpie papier, a palce odmawiają posłuszeństwa. Nie jest to list, ponieważ jedyna osoba, której mógłbym go wysłać, nie żyje. Trudno też nazwać go sprawozdaniem, gdyż emocje mącą mi pamięć

i rozmywają szczegóły. Oczywiście nie nazwałbym go opowiadaniem, ponieważ siłą rzeczy musiałoby zawierać element fikcji. Fikcji, niestety, nie zamierzam zawrzeć w tym brulionie. Obawiam się, że gdybym zasadził go w ogrodzie, wyrosłe nad nim wrzosa szeptałyby historię, którą próbuję uporządkować w głowie, przelewając rozbiegane myśli na papier.

Tego dnia nie spałem jeszcze, gdy rozległo się głośnie pukanie. Uspokoilem Mary, samemu wychodząc z łóżka. Tego dnia nasz pokojowiec wykorzystywał skromny urlop, w związku z czym, ubrawszy spodnie i koszulę, sam podszedłem do drzwi, ostrożnie wyglądając przez wizjer. Choć minęło wiele lat, bez trudu rozpoznałem szczurzą fizjonomię czającego się na progu człowieka. Natychmiast otworzyłem drzwi i zaprosiłem go gestem do środka.

– Dobry wieczór. Czy to pora na odwiedziny? – zapytałem, czym prędzej zamykając drzwi, by zatrzymać lodowaty oddech nocy.

– Dobry wieczór. Oczywiście, że nie. Nie jestem tu w celach towarzyskich – odburknął inspektor Lestrade, zdejmując kapelusz. Od czasu naszego ostatniego spotkania nabrał odrobinę ciała i utracił znaczną część włosów, lecz w czarnych oczach policjanta nie zgasły iskry energii i inteligencji. Coś w tym spojrzeniu i tonie nocnego gościa wzbudziło mój niepokój.

– Czy coś się stało? Proszę, tutaj, do gabinetu. Nie chciałbym niepokoić żony. – Zapaliłem światła i odstawiłem nieprzydatną lampę na mahoniowy stolik. – Napije się pan czegoś?

– Nie piję na służbie. Pan też powinien sobie dzisiaj oszczędzić. Chciałbym powołać pana i właśnie pana na bieglego przy oględzinach zwłok.

– Dobry Boże, czy ktoś z naszych wspólnych znajomych...

– Można tak rzec – przerwał obcesowo Lestrade. – Stąd moja propozycja i to nocne najście. Proszę decydować szybko, ponieważ mamy lekką mżawkę i zależy mi na czasie.

– Oczywiście, pozwoli pan tylko, że porozmawiam z żoną – odparłem, otwierając drzwi na korytarz.

Wy tłumaczyłem wszystko Mary i ubrałem się w pośpiechu, nie zapominając o ciepłym płaszczu. Przed wyjściem chwyciłem jeszcze starą, skórzaną torbę – atrybut każdego lekarza i jego najwierniejszą przyjaciółkę. Tak wyposażony zszedłem na dół, jak uważałem, gotowy na wszystko. Jak bardzo się myliłem!

Wóz policyjny wiózł nas ulicami nocnego Londynu. Drobiną wody co i rusz zamazywały mi okulary. Kątem oka i w krzywym zwierciadle deszczu miasto wydało mi się przykre i ponure. Jak zmokły, bardzo chory pies łańcuchowy. Rozpędzaliśmy podmuchy

stęchlizny i mijaliśmy ciemne uliczki, brudne i zaśmiecone, z których błyskały złe oczy nożowników. Hałaśliwe mordownie ścigały nas śpiewem zachrypłych gardel opojów, którzy dla chwili zapomnienia oddawali nałogowi pieniądze, wątroby i życie. Przez chwilę zdawało nam się, że mżawka zelżała zupełnie, w tej jednak chwili od Whitechapel po kamienicach Londynu i gładkich wodach Tamizy przetoczył się donośny grzmot.

Byłem zaskoczony, że wóz zatrzymał się pod komisariatem. Spodziewałem się, że chodzi o jakieś formalności związane z moją funkcją w oględzinach, co zdumiało mnie trochę, ponieważ papiery podpisywałem jeszcze w wozie. Naraz ujrzałem ciało.

Mężczyzna w błękitnym surducie leżał twarzą w krwawym błocie na zmasakrowanym przez buty interesantów trawniku przed komisariatem policji. Dłonie, wykrzywione jak szpony, wryły się w ziemię połamanymi paznokciami, prawdopodobnie w przedśmiertnych drgawkach. W potylicy mężczyzny jaśniał różowo otwór po pocisku. Lestrade i ja stanęliśmy nad ciałem. Pochyliłem się, by przyjrzeć się bliżej obrażeniom. Delikatnie ująłem głowę denata, by przyjrzeć się jego twarzy. Mimo jej oplakanego stanu (wylatujący pocisk strzaskał oczodół i kawałek policzka) rozpoznałem go bez trudu.

– Peterson! – wykrzyknąłem, opuszczając głowę zabitego.

– Tak też myślałem, doktorze. Pamiętałem tego człowieka z domu przy Baker Street, lecz nie byłem pewien.

– Skąd on tu się wziął? – spytałem głośno, wciąż wstrząśnięty. – Powinien być razem z Sherlockiem na południu Francji!

– Pan Holmes wyjechał? – spytał inspektor, lustrując okoliczne zaułki.

– Tak, miesiąc temu. Miał odwiedzić krewnych i odpocząć w cieplejszym klimacie. Pojechałbym z nim, ale jest sezon zachorowań i nie mogę zostawić pacjentów. – Zamyśliłem się na chwilę.

– Dyżurny zeznał – mówił cicho Lestrade, podczas gdy ja zacząłem obchodzić miejsce zbrodni, schylając się od czasu do czasu dla sprawdzenia śladów – że denat wybiegł z alejki na ulicę przed komisariatem, krzycząc o pomoc. Zanim zdążył zareagować, z tej samej alejki padł strzał.

– Zabijając biedaka na miejscu – wtrąciłem.

– Zanim dyżurny wyszedł z bronią i dwoma konstablami, minęło kilka chwil – podjął inspektor. – Nad ciałem zabitego stała jakaś osoba. Wezwana do poddania oddała w stronę komisariatu dwa strzały i rzuciła się do ucieczki. Nie udało się jej zatrzymać.

Zebraliśmy ślady. Lestrade przywołał jednego z policjantów, którzy do tej pory asystowali nam z daleka i zaczął dyktować mu protokół oględzin. Przy ciele nie brakowało

zegarka, spinek ani pugilaesu, w którym podzwaniał batalion jednopensówek. Biedny Peterson został załadowany na wóz i odwieziony do miejskiej kostnicy, a ja wróciłem do domu, zastanawiając się, jak i kogo powiadomić o śmierci sługi mojego przyjaciela. Wiedziałem, że pochodził z Leeds, ale nie pamiętałem, by mówił coś o swojej rodzinie, choćby dalszej.

Lestrade uparł się mnie odprowadzić z jednym ze swoich ludzi. Gdy się żegnaliśmy, dodał:

– Proszę koniecznie zjawić się jutro na komisariacie. Podejrzewam, że pan Holmes może być w niebezpieczeństwie!

– Też tak uważam – odparłem skwapliwie, chcąc jak najszybciej znaleźć się w środku. Znów zaczynało padać, choć burza przeszła bokiem.

– Dobranoc zatem, doktorze Watson.

– Dobranoc.

Gdy tylko znalazłem się w korytarzu, zamknąłem drzwi i sięgnąłem do kieszeni płaszcza. Powoli wyciągnąłem z niego przedmiot, który cudem zauważyłem wcisnięty w błoto obok prawej dłoni Petersona i niepostrzeżenie zabrałem z miejsca zbrodni.

Elegancką fajkę.

Nie potrafię powiedzieć, czemu ukryłem ten przedmiot przed wzrokiem policjantów. Sam nie potrafię tego zrozumieć, zwłaszcza z perspektywy czasu. Było coś znajomego w fajce, w złotej obręczy wieńczącej główkę i sposobie, w jaki drewno odbijało nikiel światła ulicy.

Nie miałem ochoty na sen, więc usiadłem w gabinecie, nalewając sobie wcześniej brandy. Rozparłem się w fotelu, myśląc o makabrycznym wezwaniu i moim przyjacielu, który gdzieś radzi sobie bez swojego wiernego sługi. Samotny Sherlock był narażony na niebezpieczeństwo, a ja nie wiedziałem, gdzie go szukać, by przesłać ostrzeżenie. Ale skąd biedny Peterson wziął się w Londynie, gdy jego pryncypał wygrzewał kości w południowym słońcu?

Myśląc, przyglądałem się fajce leżącej przede mną na biurku. Poza złoconą główką wykonaną z czarnego dębu zwróciłem uwagę na drobne wyszczerbienie przy ustniku i zadrapanie na zgięciu szyjki. Znałem ten przedmiot dobrze, *musiała* to być fajka Sherlocka!

W najwyższym wzburzeniu zacząłem chodzić po pokoju. Za oknem rozpadało się na dobre, a stukot ogromnych kropel nieodmiennie kojarzył mi się ze stadem wielkich, tłustych much, które z wilgotnym plaśnięciem odbijają się od szyby. Postanowiłem zapalić.

Do dziś nie rozumiem, jak do tego doszło, jednak w wyniku pomyłki lub zamyślenia

zapaliłem fajkę mojego przyjaciela, którą wyciągnąłem ze skrwawionego błota. Nie zwróciłem na to uwagi także podczas jej wcześniejszego czyszczenia, choć czułem i pamiętam dokładnie, że przebieg cybucha wewnątrz szyjki był w niej niestandardowy i wycior cały czas o coś zahaczał, utrudniając operację.

Nad biurkiem zaczął unosić się błękitny dym. Pociągnąłem kilka razy z fajki, zagryzając ustnik i słuchając padającego deszczu. Poczułem zmęczenie i z przyjemnością zamknąłem oczy. Powoli zapadłem w głęboki sen.

Na początku wydawało mi się, że tonę. Miewałem takie sny wcześniej, lecz kto we śnie tonął lub spadał wie, że nie jest to nic przyjemnego. Po chwili jednakże zdałem sobie sprawę, że wrażenie minęło – przebywałem w wodzie i nie dusiłem się. Niemal nic nie widziałem, poza pojedynczym, przytłumionym snopem światła gdzieś przede mną. Wyciągnąłem rękę przed siebie, lecz moje palce natrafiły na twardą i gładką powierzchnię, której faktura sprawiła mi dotkliwy ból. Nie ocknąłem się jednak. Chciałem krzyczeć, lecz w wodzie było słyhać tylko bulgot. Bolała mnie głowa, ciągle słyszałem szum i brzęczenie, jakby w środku mojej czaszki odbijał się mały, irytujący owad. Do tego nagle poczułem głód. Głód tak potworny, że aż osłupiałem, jakbym miał umrzeć z jego powodu. Obudziłem się i osunąłem na podłogę, fajka upadła obok, rozsypując tytoń. Powstrzymałem torsję. Jeszcze na wojnie afgańskiej zdarzyło mi się być naprawdę głodnym, gdy przecięto na tydzień nasze linie zaopatrzeniowe, ale to... to było o wiele, o wiele gorsze.

Nie zasnąłem już tej nocy.

Nad ranem stawilem się na komisariacie. Inspektor Lestrade podał mi papiery do podpisania i wypytał co do moich spostrzeżeń zeszłego wieczora. Sam nie wiedząc czemu, nie wspomniałem o fajce. Musiałem też rozczarować inspektora co do spraw Sherlocka.

– Nie wiem, gdzie dokładnie wyjechał. Przykro mi, inspektorze. Ostatnimi czasy stał się bardziej zamknięty w sobie.

– Doprawdy – mruknął Lestrade, przyglądając mi się bacznie. – A czy ma pan może zapasowe klucze do domu przy Baker Street?

– Owszem.

– Sherlock Holmes jest w niebezpieczeństwie, tego jestem pewien. Może któryś ze starych wrogów się mści. W jakiś sposób ich rozdzielił i opłacił mordercę, by Peterson nie mógł udać się po pomoc. Z pewnością wiedziałby też, gdzie pojechał jego pan.

– Możliwe, ale nie do końca przekonuje mnie taka teoria – mruknąłem bez entuzjazmu.

– Mnie też, doktorze. Dlatego proszę pana, jako powiernika pana Holmesa i jego najbliższego przyjaciela, by wraz ze mną wszedł pan do jego domu i poszukał czegoś, co

powie nam, gdzie może przebywać. Korespondencja, depesze, przeglądane bedekery...

– Oczywiście – zgodziłem się. – W takim razie proszę zaczekać, udam się po klucze.

Niedługo potem stanęliśmy pod domem przy Baker Street 221b. Przyglądając się lekko popękanej elewacji i drobnym, starannie odmalowanym oknom, poczułem przypływ melancholii. Jak wielka część mojego serca została w murach tego domu? Gwałtowniej niż wcześniej poczułem też tęsknotę za przyjacielem. Podejrzywałem, że przeczuwał niebezpieczeństwo, dlatego mnie oddalił, a sam udał się za granicę. Bez zwłoki otworzyłem drzwi i weszliśmy do domu Sherlocka Holmesa.

Pokoje były wysprzątane, choć wszystko przykrywała cienka warstwa kurzu. Krążyliśmy między meblami i pomieszczeniami, szukając możliwych śladów. Bardziej aktywny był inspektor Lestrade, ale chętnie oddawałem mu pola w poszukiwaniach, mając przeświadczenie, że lepiej by przeszukania dokonał funkcjonariusz policji. Zwłaszcza że przygnoił mnie gargantuiczny gmach melancholii. Usiadłem w fotelu obok zimnego kominka i słuchałem szelestu dokumentów, które przeglądał inspektor. Potem wszedł do pokoju Sherlocka, gdzie zabawił dłuższą chwilę.

– Dziwne – powiedział, siadając na sofie naprzeciw mnie. – Znalazłem tylko list od stróża z miejscowości Baxton na północ od Londynu, który informuje pana Holmesa o potrzebie jego natychmiastowego przyjazdu. List jest sprzed miesiąca. Ponadto w szafie pana Holmesa pozostawione są lekkie ubrania, nadające się na podróż do cieplejszego kraju.

– Czy więc Sherlock mnie okłamał?! – wykrzyknąłem w najwyższym wzburzeniu. Nie mieściło mi się to w głowie. Od razu pomyślałem, że musi być to element jego planu, lecz dlaczego nic mi nie powiedział? Czyżby uważał mnie za jakiegoś szpiega bądź zdrajcę?

– Najprawdopodobniej. To pasowałoby do faktu, że w pugliaresie Petersona nie było ani jednego francuskiego miedziaka. Doktorze Watson – dodał łagodniejszym tonem. – Widząc na ulicy zabitego Petersona, wystarałem się o to, żeby przełożeni mi przydzielili tę sprawę. Przez wzgląd na naszego wspólnego znajomego. Jeszcze dziś wyślę depeszę do funkcjonariuszy w Baxton, by udzielili nam potrzebnego wsparcia. Uważam, że jako przyjaciel i dżentelmen ma pan prawo brać udział w śledztwie, zwłaszcza że jest pan lekarzem, którego wiedza może okazać się przydatna. Wiem, że ma pan swoje obowiązki, lecz Baxton jest dość blisko i chyba pańskim pacjentom nie stanie się krzywda, jeśli poświęci pan jutrzejszy dzień na pomoc przyjacielowi?

Zgodziłem się i umówiliśmy się na stacji Kings Cross, następnego dnia z rana.

Pociąg do Baxton wyruszył o czasie, przebijając się jak strzała przez gęstą mgłę. Aura sprawiała, że widok za oknem był wyjątkowo ograniczony, a miarowy stukot kół ukołysał nas

obu i wprowadził w refleksyjny nastrój. Może dlatego zaczęliśmy rozmawiać, z początku o zupełnych imponderabiliach, z czasem schodząc na nasze obecne dochodzenie i miasteczko, które przyjdzie nam odwiedzić.

– Baxton... – mruczał Lestrade, nabijając fajkę. Wzdrygnąłem się i odsunąłem od chłodnego okna. – Coś mówi mi ta nazwa. Mój wuj tam służył, o ile nie myli mnie pamięć. Wie pan, doktorze, że lwia część mojej rodziny służy w policji, i to od trzech pokoleń co najmniej. – Zauważyłem na twarzy inspektora jakąś zmianę, świadczącą o nagłym przypiływie melancholii.

– Pamiętam – podjął po chwili – jak będąc dzieckiem widywałem go w naszym domu. Jego i resztę mężczyzn z rodziny. Pozwalali mi przysłuchiwać się rozmowom o policyjnych sprawach, lecz zawsze około szóstej ojciec posyłał mnie do łóżka i surowo przykazywał nie podsłuchiwać. Trwało to przez lata i w mojej głowie roilo się, że pod nieobecność kobiet i dzieci opowiadają sobie najstraszniejsze, najbardziej makabryczne przypadki ze swojej służby. Kilkukrotnie podkładałem się po schodach do salonu, żeby podsłuchiwać – policjant uśmiechnął się do wspomnień i puścił mi oko – Oczywiście prawie nic nie rozumiałem, problemy dorosłych były mi obce, a matka dbała, żebym nie poznał ich zbyt szybko. Jednak jedną z opowieści zapamiętałem i mam wrażenie, że dotyczyła właśnie Baxton.

– Ciekawy przypadek – powiedziałem, dodając zaraz – po takim wstępie musi mi ją pan opowiedzieć.

Byliśmy sami w przedziale, lecz Lestrade rozejrzał się, jakby chciał mi się zwierzyć z jakiejś tajemnicy.

– Sprawa oczywiście nie jest przyjemna, ale między lekarzem i policjantem nie ma żadnych tabu, prawda? Rzecz musiała się dziać gdzieś w okolicach końca siódmej dekady zeszłego wieku. W tamtym czasie w Baxter działał bardzo prężnie dom publiczny. Ludzie stronili od właściciela lokalu i jego kobiet a wuj zarzekał się, że nikt z miasteczka nigdy tam nie chodził. Korzystało z niego za to mnóstwo przyjezdnych. Miejscowi oczywiście spuścili na temat zasłonę wyniosłego milczenia. Nie na długo. Pod koniec marca pewna kobieta odnalazła niemowlę w kupie odpadków. Wybuchł skandal i niewiele było trzeba, by miejscowi powiązali dziecko z procederem odbywającym się w mieście. Zwłaszcza że dzieci odnaleziono więcej. Wszczęto dochodzenie, lecz nic nikomu nie udowodniono. Niektóre ciała, te najmłodsze i najbardziej zmasakrowane, nosiły ślady narzędzi.

– Chirurgicznych? – zdziwiłem się. Nie potrafiłem zrozumieć, czemu niechciana ciąża była noszona tak długo.

– A jakże? W związku ze złą sławą publiczną i nierzędem burdel zamknięto. Moim

zdaniem dopiero to zmusiło kilku notabli do działania. Jednak sama ta historia nie wbiłaby mi się tak dobrze w pamięć, gdyby nie to, co opowiedział na koniec. Pamiętam to jak dziś. Wuj Henry ściszył głos, słyszałem tylko oddechy kilku twardych mężczyzn i bicie własnego serca. Wuj pełnił tego dnia służbę. Było to późnej jesieni. Przechadzał się wzdłuż rzeczki biegnącej przez Baxton. Godzina nie była późna, lecz panował już półmrok. Nagle wuj usłyszał jakiś pisk od strony wody. Zobaczył jasny kształt płynący z nurtem obok starego, dziurawego wiadra. Wuj podszedł bliżej i zobaczył dziecko. Nie czekając ani chwili, wyłowił malca. I mało nie zemdłał. Dziecko było wyjątkowo grube, o czerwonej od lodowatej wody skórze. Ponadto miało ogromną, mięsistą głowę. Wuj mówił, że nie potrafi tego do końca opisać, ale chętnie odrzuciłby je od siebie ze wstrętem. Lekarzom z kliniki nie udało się go uratować.

– Wuj sądził, że te sprawy są połączone? Spóźniony efekt nierządu? – zapytałem, patrząc w okno.

– Nie wiem. Może po prostu dziecko porzuciła wyrodna matka?

– Możliwe, tak daleko posunięte wodogłowie i silne wzburzenie, jakie towarzyszy porodowi...

Urwałem, gdyż do przedziału weszła jakaś dama i bardzo grzecznie zapewniliśmy ją, że wszystkie miejsca są wolne. Nie odzywaliśmy się prawie aż do przyjazdu na miejsce, nie licząc drobnej wymiany uwag na temat podnoszącej się mgły.

Na miejscu byliśmy koło dwunastej w południe. Z małego, brudnego dworca łatwo trafiliśmy na miejscowy posterunek, gdzie musiał zameldować się inspektor Lestrade. Chciał wykorzystać do pomocy miejscowych policjantów, lecz okazało się, że nie mogą odstąpić ani jednego człowieka. Chętnie podzielili się za to wiedzą o nieruchomości, której adres inspektor przepisał z listu stróża. Miał to być niewielki dom na uboczu, który od lat ktoś wynajmuje, lecz prawie w nim nie bywa. Właściciel wynajął stróża, który był znanym w okolicy włóczęgą i pijakiem. Dawno go nie widziano, więc pewnie zapił się lub został zwolniony. Podziękowaliśmy uprzejmie i ruszyliśmy na poszukiwania odpowiedniego adresu.

Dom okazał się stać na uboczu, nieopodal strumienia. Obeszliśmy porzewiałe ogrodzenie, poprzetykane gdzieśgdzie suchymi badyłami żalosnych resztek żywopłotu. Ogród był niewielki i zaniedbany. Cały budynek wyglądał jak przycupnięty w kącie czarny kot, który obnaża zęby kolumnienek werandy, ostrzegawczo celując w niebo wyprężonym ogonem wieżyczki.

Lestrade pchnął furtkę i przeszliśmy przez ogród po wysypanej żwirem ścieżce. Pod drzwiami domu inspektor wyciągnął dwa rewolwery, oba przeładował i wręczył mi jeden z nich.

– Na wszelki wypadek – mruknął i nacisnął delikatnie klamkę drzwi wejściowych. Ku naszemu zdumieniu, ustąpiły. Owionął nas zapach stęchlizny i powietrze o niezwykle przenikliwym bukiecie zgniłego mięsa i jaj, w którym ukrywała się nikła nuta gorszego jeszcze odoru, która nappełniła moje serce niepokojem. Lestrade odważnie, lecz ostrożnie przestąpił próg domostwa i zagłębił się w jego trzewia. Ruszyłem za nim z rewolwerem w dłoni.

Wnętrze było przygnębiające i wyglądało na opuszczone. Stare, poprute sofy i fotele stały na wyleniałych dywanach, ku którym zwieszały się wiotkie ramiona odłóżającej od ścian tapety. Nad kominkiem w salonie bieгло wyraźne pęknięcie, ukryte częściowo za potężnym cielskiem nienakręconego zegara, a w kuchni gniła cała masa jedzenia.

– Gdzie stróż? – szepnął do mnie Lestrade, gdy obeszliśmy pierwsze piętro. Poza salonem, kuchnią i umywalnią nie było na nim więcej pomieszczeń.

– Nie widziałem żadnego innego budynku, musi mieszkać tutaj.

Stanęliśmy pod schodami na piętro. Lestrade przykazał mi czekać i pilnować tyłów, sam zaś zniknął w pokojach na górze. Czułem niepokój. Nuta zapachu, o którym wspomniałem, wyżej nie ustępowała. Poczułem gwałtowną chęć, by zapalić, lecz stłumiłem ją w sobie. Zamiast tego przeszedłem się po pokoju, zaglądając pod dywan i meble. Nad sobą słyszałem cichy odgłos stóp inspektora, który metodycznie sprawdzał każdy z trzech pokoi. Naraz usłyszałem, że wzywa mnie do siebie. Zaraz wspiałem się po schodach, minąłem otwarte drzwi trzech pokoi (z których jeden musiał być kryjówką stróża ze względu na wszystkie butelki i ohydny barłóg pod ścianą) i stanąłem obok Lestrade'a, który zakrzywionym wytrychem grzebał w zamku drzwi na końcu korytarza.

– To drzwi do wieżyczki. Musimy sumiennie przeszukać budynek. Coraz bardziej mi się to nie podoba.

– Zaczynam podejrzewać, że się spóźniliśmy – szepnąłem, zaciskając dłoń na rewolwerze.

– Albo pomyliliśmy. Kilka śladów i popędziliśmy do tego miasteczka jak stado szakali za... o, proszę, gotowe!

Wieżyczka była pusta, jeśli nie liczyć schodów na dół. Zmarszczyłem nos. Dziwna nuta stała się wyraźniejsza i mogłem ją zidentyfikować. Popatrzeliliśmy sobie w oczy – obaj znaleźliśmy zapach trupa.

Zeszliśmy na dół, jak nam się zdawało, gotowi na wszystko, z bronią i błyskiem w oku. Na poziomie piwnicy napotkaliśmy kolejne drzwi, które były otwarte na oścież. Wpadliśmy do piwnicy, szukając zagrożenia, lecz zamiast tego Lestrade jęknął, a ja poczułem, jak serce

zatrzymuje mi się w piersi.

Byliśmy w dużym pokoju, na środku którego leżał stary, zepsuty trup, z resztkami niechlujnego ubrania i kępkami brody. Wokół nas wznosiły się ściany dziwnej aparatury, pełnej kół zębatych i pasów napędzających mniejsze mechanizmy, lecz nie wydawały one ani jednego skrzypnięcia. Ociekały od smaru. Cała piwnica była jedną wielką maszyną podłączoną... podłączoną do... ręka mi drży.

Podłączoną do akwariów z nabrzmiałym niemowlakiem.

Jego głowa była ogromna i pulsowała od żyłek, które dostarczały krew do jego wielkiego mózgu, widocznego przez pergaminową skórę, jakby brakowało pod nią kości czaszki. Z głowy sterczały dziwne druty, które ciągnęły się przez wieko akwariów do okrągłego talerza z błyszczącego metalu, który mieścił się pod sufitem pomieszczenia. Było dość ciemno, a jedynym źródłem światła był snop promieni słonecznych wpadających przez świetlik. Pamiętam, że chwyciłem fajkę Holmesa i cisnąłem nią o podłogę. Z rozbitego cybucha wypadło urządzenie upiornie podobne w wykonaniu do maszyn dookoła. To ono przeszkadzało w czyszczeniu!

– Co to jest? – sapnął Lestrade, podchodząc do akwariów z obrzydzeniem na twarzy. – Chyba nie żyje, Boże miłosierny! I to od dłuższego czasu! Czemu to ma służyć?!

– Homunkulus... – wyszeptałem nieswoim głosem. Musiałem być bliski omdlenia. – Sztuczny człowiek do myślenia... Jezu!

– Nie można stworzyć człowieka! – krzyknął Lestrade i spojrzał na mnie wielkimi oczami. Był blady jak ściana. – Czy medycyna...

Nie odpowiedziałem. Wiedziałem, że ten talerz i mechanizmy to coś w rodzaju nadajnika, może podobnego do radia, o którym pisano w gazetach. Już wiedziałem, że tamten koszmar *nie był snem*. To fajka. A mój przyjaciel nigdy się z nią nie rozstawał.

Nagle usłyszałem syk i moja potylica eksplodowała bólem. Padłem na ziemię zamroczony, widząc zeszklonymi oczami dwie szczepione w walce sylwetki. Jedna z nich, w kraciastym płaszczu wyprowadzała cios za ciosem niczym zawodowy pięściarz, krzycząc. Nie pamiętam dokładnie tych wrzasków, ale brzmiały jak okrzyk nienawiści troglodyty, agresywnego idioty. Pamiętam słowa i zwroty, „Mycroft i ojciec!” czy „Nie dowiedzą się, nikt się nie dowie!”.

Musiałem stracić przytomność, zanim wybuchła jedna z beczek mechanizmu, zalewając wszystko płynnym ogniem. Inspektor Lestrade chwycił wtedy wytrącony na początku walki pistolet i zastrzelił Sherlocka Holmesa, który upadł w płomienie.

Ocknąłem się na posterunku policji, gdy płomienie pożerały resztki szkieletu domu.

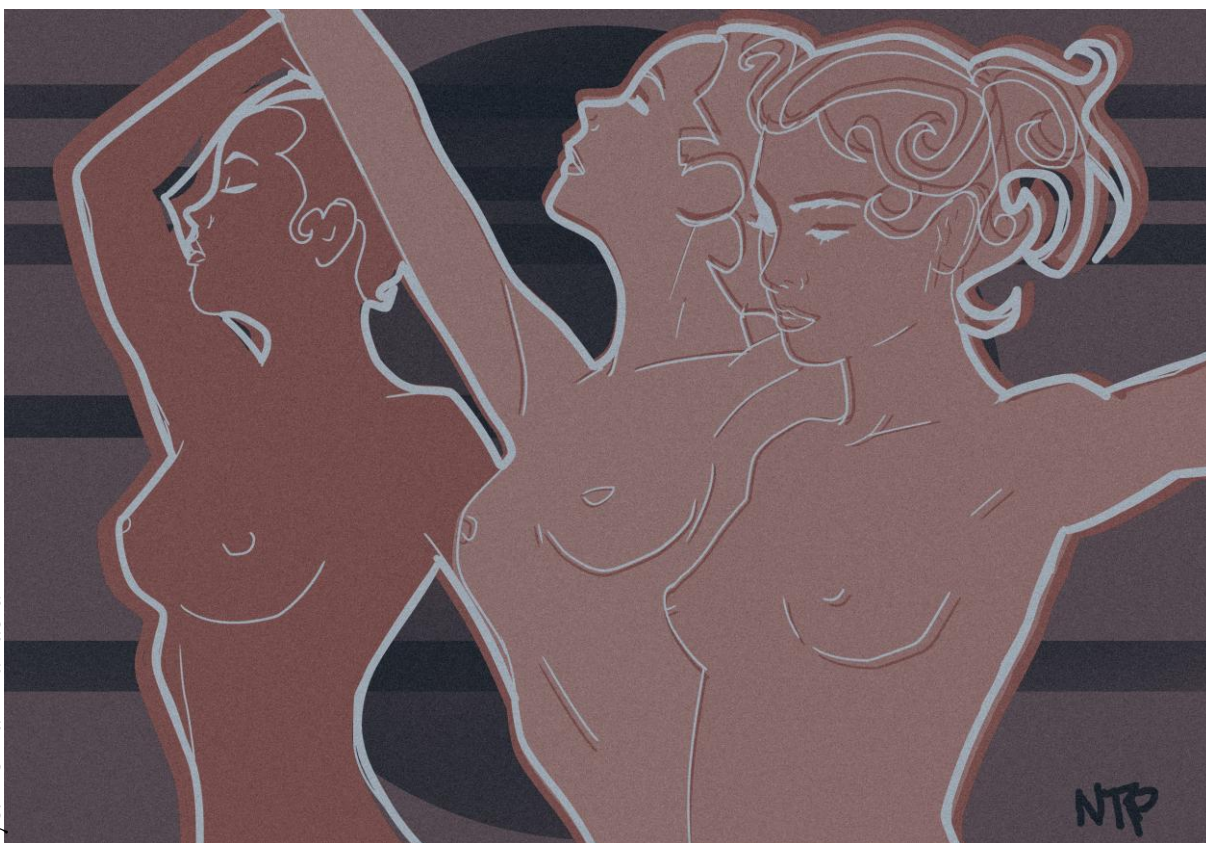
Straż nie potrafiła sobie poradzić z tym pożarem, więc pozwoliła wszystkiemu się wypalić.

To dobry moment, żeby to napisać i muszę to uczynić wielkimi literami – WSZYSTKO, O CZYM PISZĄ GAZETY w ZWIĄZKU ZE ŚMIERCIA HOLMESA TO KŁAMSTWO!!! Ukuliśmy je razem z inspektorem Lestrade, chcąc ukryć prawdę. Zmyśliśmy fałszywego Moriarty'ego, który miał nas jakoby zwabić w pułapkę i zabić Petersona, który uwolnił się z jego rąk i chciał wszystko wydać. Zwęglony stróż posłużył nam za ciało Moriarty'ego. To wszystko nasze, wielce udane, kłamstwa.

Próbowaliśmy potem zrozumieć, co dokładnie wydarzyło się miesiąc temu i jak przebiegały wydarzenia w Baxton. Stróż chyba poznał prawdę. A może znał ją od początku? Czy Holmes postradał zmysły po śmierci tej *istoty*? Czemu Peterson wypadł jak strzała z pociągu (porównaliśmy potem rozkład z godziną zabójstwa) i popędził na posterunek dopiero miesiąc po przyjeździe do Baxton? Czy Sherlock jechał do Baxton tym samym pociągami co my?

Od tamtych wydarzeń minęły dwa miesiące. Lestrade nie kontaktował się ze mną, nie wiem, czy dotrzymał przyrzeczenia, które sobie złożyliśmy. Obawiam się, że zdradził. Mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, a ostatnio odwiedzili mnie mężczyźni w czarnych surdutach informując, że Mycroft Holmes chętnie się ze mną spotka. Wręczyli mi wezwanie do siedziby Scotland Yardu. Nie wiem, co to znaczy, i nie podoba mi się to, lecz muszę milczeć jak grób oraz udawać głupca. Jedyńm moim powiernikiem, który poznał tajemnicę piwnicy w Baxton pozostanie ten zeszyt, który ukryję pod klepką podłogi. Jeżeli nie zapewni mi to chociaż odrobiny wytchnienia, spalę go. Nie mogę pozwolić, by ktoś dowiedział się o Sherlocku Holmesie i jego upiornym suflerze.

dr. James H. Watson



SYCHEM PRAWDZIWYCH

Maciej Kaźmierczak

1.

Problem w tym, że oddzielamy uczucia od seksu.

Kobieta jest smutna, źle się czuje? Nie będę jej dotykał, bo ma złe samopoczucie.
A może seks jest właśnie lekarstwem.

Czemu miałyby on być jedynie dodatkiem do związku? Nie twierdzę też, że ma być jego podstawą, ale jednym z głównych elementów. Jak rozmowa. Rozmawiać codziennie, kochać się codziennie, co w tym dziwnego i nienormalnego?

Źle się czuje? Pytasz, co się stało. Pytasz, czy ma ochotę na seks.

Chociaż zapewne odpowie, że nie, że cię pojechało, no bo jakże tak? U nas to łatwe – my się chcemy pieprzyć cały czas. To jak jedzenie, gdy jesteśmy głodni, rozmowa, gdy odczuwamy samotność. Ale kobiety powielają schemat tabu. No, chyba że są zupełnie bezpruderyjne.

Co za nonsens. Kto to w ogóle wymyślił?

Czyż płakać nie można w objęciach kochanka, czując go w sobie? Może jego dotyk pomoże, poprawi humor?

Słyszałem, jak szlocha w sypialni. Nawet nie miałem odwagi do niej pójść – oderwać się od laptopa, przestać pisać, co myślę na ten temat, i jej to po prostu powiedzieć. Usiąść obok, przytulić, ale... co dalej? Samo to nigdy nie pomagało. Wiele już razy tam szedłem, próbowałem rozmawiać, ale to zawsze kończyło się źle. Wychodziłem i bałem się wrócić. Spałem na fotelu w swoim gabinecie. Choć najczęściej zasnąć mogłem jedynie próbować – potem wracałem do pisania tego, czego bałem się powiedzieć na głos.

I czekałem, aż znów nadejdzie wiosna. Ta atmosferyczna – nie mówię o związku – gdy na zewnątrz robiło się ciepło i w końcu można było wyruszyć do miejsca, o którym myśleliśmy niemal codziennie.

My wszyscy.

– Tytuł ostatniej opowieści, taki sam jak tytuł całej powieści, istnieje wraz z odnośnikiem – Jozue, rozdział 20, werset 7. A rozdział tej Księgi głosi: – wzięłem do ręki Biblię i odszukałem zaznaczony kartką fragment – „«Powiesz Izraelitom: wyznaczcie sobie miasta ucieczki [...] aby tam mógł uciec zabójca, który by zabił człowieka przez nieuwagę, nierozmyślnie. Będą one dla was schronieniem przed mścicielem krwi». [...] Poświęcili w tym celu Kadesz w Galilei na górze Neftalego, Sychem na górze Efraima oraz Kiriath-Arba, czyli Hebron, na górze Judy. [...] Takie były miasta wyznaczone dla wszystkich Izraelitów i dla cudzoziemca mieszkającego wśród nich, aby tam mógł uciec każdy, ktokolwiek przez

nieuwagę zabije człowieka, aby nie poniósł śmierci z ręki mściciela krwi, dopóki nie stanie przed zgromadzeniem”¹.

Odłożyłem Biblię i z powrotem wziąłem do ręki powieść.

– Autor dał nam więc wskazówkę, jak mamy interpretować tytuł jego książki, jednak na zasadzie pewnego kontrapunktu – kontynuowałem, czując, jak na czoło występuje mi pot. – Przestępcy wzniesli swoje własne miasto ucieczki... – odchrząknąłem i obtarłem kroplę, która spłynęła mi po skroni. – Nie są oni niewinni, lecz znaleźli schronienie przed resztą świata, resztą... ludzi, którzy... nienawidzą ich. Być może. Za to, co zrobili... Znaleźli tam swój własny azyl.

Odłożyłem książkę, podszedłem do okna i otworzyłem je. Stałem przy nim chwilę, czując, jak chłodne powiewy muskają mi twarz.

– Idzie wiosna – powiedziałem do studentów.

– W końcu – odparł jeden z siedzących z tyłu chłopaków.

Na jego twarzy też pojawił się pot. Chłopak był niespokojny, nerwowo spoglądał co chwila na boki, lecz nie szukał niczego. Po prostu był zdenerwowany, zniecierpliwiony.

– W końcu – powtórzyłem po nim.

Każdy ma swoje miasto ucieczki. Kadesz, Sychem, Hebron, Beser, Ramot, Golan. Realne, nierealne. Materialne lub duchowe. Każdy znajduje w nim coś innego lub za każdym razem to samo, co wszyscy. Jesteś podobny do mnie? Nie wiem, ty też tego nie wiesz, ale może jesteśmy identyczni.

Czy chciałbym, aby tak było? Chyba tak, wtedy bylibyśmy jednością, a przecież tego właśnie chcemy. Sprawić, aby świat stał się spójny, był miejscem, w którym wiadomo, co jest dobre, a co jedynie za takie uchodzi. Gdzie jednak nie istnieje grzech, bo przecież wszystko jest dla ludzi. Wszystko jest poddane i oddane właśnie nam.

Prawda?

1 *Biblia Tysiąclecia*, wyd. 4, Poznań 2003, Joz. 20, 2-9.

Mijała szósta rano. Świeciło słońce, lecz w oddali zbierały się ciemne chmury. Robiło się gorąco, jak przed burzą, choć dziwne, że całą noc było spokojnie, a dopiero teraz pogoda zaczynała się tak radykalnie zmieniać.

Z sypialni nie dochodziły już żadne dźwięki. Kobieta zasnęła jakąś godzinę temu. Nawet nie wiedziałem, o co jej chodziło tym razem. Przed północą dostrzegłem jedynie, jak stoi w kuchni i patrzy przez okno na kołujące nad budynkami kruki – czarniejsze i większe niż zwykle. Zapewne kraczące na wszystkie strony o tym, czego nie chciała słuchać. Bo przecież żadna kobieta nie chce słuchać. Tylko rozumieć samą siebie, nic poza tym. Po co się wysilać i myśleć o czymkolwiek innym, o czymś, co mogłoby dotyczyć nas?

Może przestraszył ją ten, który siedział na środku placu i nawoływał kruki?

Sen.

Tak to widziała. To była jej prawda, choć przekłamana jak każde inne słowo. Nawet te kruki, które kotłowały się nad padliną, były zupełnie inne niż w rzeczywistości – opatrzone maskami, które tylko podjudzały jej wściekłość.

O to chodziło. Sama siebie okłamywała – swoje ciało, swoje uczucia, wzmagając emocje, które co najwyżej powinny się delikatnie tlić przez ten czas, na który miałem odejść, aby potem zgasnąć i dać o sobie zapomnieć do następnej wiosny.

Ale ona dokładała dREW, sprawiała, że ten mały płomyczek rozbuchiwał się do rozmiarów ogniska, płonącego teraz na środku placu, u boku którego stał nasz blok.

Dwa sępy rozgoniły stado kruków kilkanaście metrów nad ziemią. Zaczęły kołować, czekając na świeże mięso.

Ale one nie chciały tego, którego części spoczywały przy palenisku lub były opiekane przez Mędrca. Chciały stłoczonych opodał kobiet, podchodzących coraz bliżej.

Chciały mojej kobiety.

Na rożen nadziano mięso młodej dziewczyny, o czym świadczyła leżąca na bruku głowa – z opalonymi włosami, zakrwawionym kikutem szyi, ale dającymi się rozpoznać rysami twarzy. Jasne, niepomarszczone jeszcze mięso. Głowy i korpusu Mędrzec nie wykorzystał – opiekał jedynie nogi i ramiona. Stopy i dłonie schował. Ususzy, będą na później.

Będzie syty przez długi czas.

– Każdy chce być syty. Tak samo wy, jak i my. One. – Mędrzec wskazał na sępy. – Wiele jest sposobów, lecz każdy daje inny rodzaj zaspokojenia. Wielu szuka nowych, które być może będą wystarczać, lecz najczęściej wystarczają jedynie ich kobietom. Ich mięsu. Ale tak się nie da. Jest sposób dający ukojenie każdemu, kto nie znalazł jeszcze swojego własnego miasta ucieczki. Miasta zbudowanego przez samego siebie, ale wraz z milionami innych. Miasta, do którego może uciec w każdej chwili, gdzie nikt nie będzie nikogo szukał, osądzał, nie będzie przeszkadzał, aby mógł spokojnie oderwać się od tego wszystkiego, co zabijało go do tej pory. Gdy nadchodzi wiosna, należy roztopić wszelkie śniegi, zmiażdżyć każdą bryłę lodu. Rozmrozić ruchy i uczucia, aby dalej móc egzystować w świecie, który tak naprawdę jest jedynym prawdziwym.

Mędrzec popatrzył po otaczających go kobietach. Odkroił kawałek mięsa, które wyglądało już naprawdę smakowicie. Ale skrzywił się, jeszcze nie tego oczekiwał. W złości zaczął drapać się po ostrych rogach wyrastających mu z czoła, pociągał za okrągły kolczyk w nosie, przy czym sapał z bólu. Po kilku razach pojawiła się strużka krwi, którą oblizywał nerwowo.

Mógł mówić dalej.

– Ale wy tego nie rozumiecie, prawda? Nie potraficie ogarnąć problemu, gdyż same nie macie innych światów. Nie możecie mieć, miasta ucieczki dla was nie istnieją. Głupie, ograniczone istoty. – Pokręcił głową z rezygnacją. – Wam wystarczycie wy same – wasze problemy, które są nie większe od pisklaków. Możecie je rozdeptać w dowolnej chwili i cieszyć się swobodą. Ale na Goliata nie można pójść z obcasem w dłoni. O nie, na to potrzeba prawdziwego fortelu. Siły, z której my korzystamy przez cały czas.

Mędrzec wykonał jakiś nieznaczny gest ręką. Nad głowami zgromadzonych rozległo się wzmożone krakanie i syk sępów. Skrzydła zaczęły bić szybciej lub nieruchomieły, gdy ptaki pikowały w dół. Odrywały kawałki ciała, rwały mięso, skórę, łamały kości. Potem wzbijały się znów, jadły w locie lub siadały na gałęzi czy dachu któregoś z pobliskich budynków. Minuta, dwie, i wracały po więcej. Kobiety nie uciekały. Nie mogły. Były skazane na cierpienie.

– Każdy musi mieć swoje miasto ucieczki, inaczej jego prawdziwy Raj – jedyny realny – stanie się rajem utraconym – powiedział, gdy już do niewielu uszu docierał jego głos. – To jest prawdziwy Raj. – Okrężnym ruchem ramienia wskazał na otaczający go świat. – Inne... światy ucieczki...

Mędrzec uśmiechnął się szeroko.

– Ciii...

Widziałem, jak patrzę się na niego, nie rozumiejąc, w oczach mając zarówno histerię, jak i chęć mordy. Ale która odważyłaby się otwarcie sprzeciwić zachowaniom, dającym siłę mężczyznom, która natomiast napędzała same kobiety?

Świat należy do nas!

Nad miastem zaczęły zbierać się ciemne chmury. Kobiety rozbiegły się już do swoich domów, Mędrzec zniknął równie szybko, jak się pojawił. Pozostawił po sobie jedynie dogasające palenisko, z którego unosiła się cieniutka wstążka szarego dymu, wijąca się wysoko, nieblednąca nawet na wysokości ósmego piętra, gdzie się znajdowałem. Wzbijała się coraz wyżej, jakby dosięgając samego nieba, chmur, może wywołując też deszcz, który powoli zaczął znaczyć ciemny i rozgrzany przez dzień beton.

W szybę zastukały pojedyncze krople.

Otworzyłem okno, wyjąłem marlboro i zapaliłem, opierając się o parapet i wychylając delikatnie na zewnątrz. Czułem deszcz, czułem, jak Baal znów mnie wzywa. Nadchodziła wiosna, najszcześniejszy okres dla nas wszystkich. Czas ucieczki. Czas zasiewu szczęścia w samym sobie. We własnym umyśle, choć poprzez ciało. Dualizm życia człowieka: dwie ambiwalentne strefy – cielesna i duchowa – musiały ze sobą współgrać, aby wszystko było w porządku. Czyż to nie absurd? Kto wymyślił taką głupotę? Kto skazał nas na tę walkę, utrudniając normalny byt?

Jahwe odchodzi, Jezus odchodzi. Wszyscy odchodzą.

Dla mnie znów liczy się tylko Baal².

2 *Baal* – bóstwo kananejskie; bóg burzy i deszczu, w mitologii ugrydzkiej władca świata. Niekiedy u Izraelitów Jahwe nazywano Baalem, przez co Bóg Izraela nabierał cech kananejskiego boga. Bóg płodności – kochanek i dawca obfitości, bóg współzycia płciowego, jego kult obejmował akty erotyczne. W sztuce wyobrażano Baala jako wojownika w szpiczastym hełmie ozdobionym rogami. Zwierzęciem symbolizującym potęgę Baala jest byk, niekiedy ukazuje się go zapładniającego stada jałówek, co miało ilustrować jego niespożytą seksualną siłę. W starożytnym mieście izraelskim Sychem podczas wykopalisk w XX wieku odkopano ruiny świątyni Baal Perita, stąd połączenie tego bóstwa z Sychem (przyp. autora).

Minęliśmy wszelkie zabudowania, miasto zostało daleko w tyle, widoczne były tylko nieliczne wiejskie chaty, mające w świetle poranka tuż przy lesie, z którego niedawno wyszliśmy. Pomarańczowo-żółte promienie przesączały się między pniami, malując na ziemi jasne pasy, niemal docierające do Miejsca Pożegnania. Dotarliśmy tam całą grupą, w milczeniu i zamyśleniu. Nie chcieliśmy ze sobą rozmawiać, tak jak nie chcieliśmy mieć ze sobą nic wspólnego. Łączył nas jedynie cel wyprawy, do której nie musiałyby w ogóle dochodzić, gdybyśmy mogli współgrać ze sobą, żyć tak, jak chcieliśmy, w jednym mieście. Ale to było niemożliwe. To by było jak oddawanie moczu do miski, którą potem wsuwałoby się pod łóżko i nie tylko ją tam zostawiało, ale i dokładało następne. Każdego ranka i każdego wieczora. Po niedługim czasie zaczynałoby cuchnąć. Albo należałoby zaprzestać rytuału, albo się wynieść i robić chlew gdzie indziej. To nie miało sensu. Dlatego wybywaliśmy, potrzebowaliśmy innego miejsca, gdzie chwilowo tylko zaspokajaliśmy swoje żądze.

Kobiety już na nas czekały, całą noc spędziły w Miejscu Pożegnania. Nikt nie wie, co tam robią w tym czasie – nikt z nas nie chce się dowiedzieć, pytać, rozmawiać o tym. Wiosna to czas tajemnic – każdy ma wtedy swój własny świat, swoje potrzeby, na których się skupia.

One jednak najczęściej tego nie rozumieją. Dlatego po naszym powrocie wiele kobiet odchodzi, zostawia swoich mężczyzn, zostawia swój dom i wynosi się do pozornie nowego świata. Ucieka, bo nie potrafi zrozumieć, czym tak naprawdę jest ten okres, potrzeby, których nie można zostawić samym sobie. Dla nich jest to zbyt trudne. Są zupełnie inne, choć... kiedy nas nie ma, to jest pewne, same robią rzeczy, które nazwać niemoralnymi to mało.

Ale kogo to obchodzi. Na pewno Bóg też ma to w dupie. Każdy jest panem swojego losu, nawet one.

Płakały. Targała nimi histeria. Krzyczały, rwały świeżą trawę, zamykały ją w delikatnych pięściach i przytrzymywały na chwilę, aby potem wyrzucić i pozostawić na pastwę wiatru, pozwolić unieść się i odlecieć chociaż tych kilkadziesiąt centymetrów.

– Trawie pozwalacie odejść. Odrywacie ją od korzeni a potem jednak puszczacie, pozwalacie odejść swobodnie.

– Ale ona potem umiera.

– A czy my jesteśmy żywi?

– Nie rozumiecie...

W momencie, gdy przemierzaliśmy las, a słońce zaczęło wschodzić, porzuciliśmy swoje ubrania. Zostawiliśmy jedynie przygotowane wcześniej czerwone przepaski, które zarzuciliśmy sobie ramiona, i pochwy z krótkimi mieczami, przytwierdzone do skórzanych pasów.

Czuliśmy chłód na nagich ciałach, choć na niektórych działał on podniecająco. Patrzyliśmy na swoje pośladki, ruszające się jednostajnie, obcierające o siebie. To wystarczało, abyśmy z każdym spojrzeniem na nie szli jeszcze szybciej. Widok ciał pobratymców nas ponaglał, mobilizował do dalszego marszu, choć przed nami było jeszcze wiele drogi, a u celu czekała nas walka – krwawa, wyczerpująca. Nigdy nie wiedzieliśmy, czy wszyscy powrócimy z wyprawy. Najczęściej wojna zbierała niewielkie żniwo – jednego, dwóch – lecz nigdy nie było wiadomo, jak będzie tym razem. Z roku na rok wyprawy były trudniejsze, przeciwnicy silniejsi; coraz lepiej nas znają.

Ale nie ma wyboru. Nie ma innej opcji. Trzeba iść i walczyć.

Szloch kobiet wzmógł się, gdy stanęliśmy w niewielkiej kotlinie. One siedziały na półce skalnej, niby na klifie, choć brakowało morza. W dłoniach ścisnęły wieńce laurowe, którymi potem ciskały w naszą stronę, gdy obróciliśmy się ku nim i zaczęliśmy wznosić okrzyki pożegnalne. Wieńce łapaliśmy w locie, lecz niektóre odlatywały na tyle daleko, że trzeba się było odłączyć od grupy na kilkadziesiąt metrów. Jeden porwał wiatr i poniosł w otchłań otaczającego nas świata. Jego adresat odpuścił. Jak wrócimy – może bez niego – będziemy znali to jako kolejny znak od losu. Znak zguby.

Wieńce zaraz przed wyruszeniem zostawialiśmy w wyznaczonych przez siebie miejscach. Musieliśmy je zapamiętać. Po powrocie zabieraliśmy je i oddawaliśmy kobietom, na znak naszego zwycięstwa, ale i wierności wobec nich. Ten, komu podróż się przedłużała, musiał zdążyć przed zgnilizną, która po pewnym czasie zaczyna toczyć każdy z wieńców. Im jest lepiej zachowany, tym mniejsza rozpacz kobiety. Bywa, że te niemal się rozpadają, wtedy powrót wygląda naprawdę źle.

Każda z kobiet każdego ranka idzie na Miejsce Pożegnania, sprawdzić, czy wieniec jej mężczyzny jeszcze na pewno tam jest. Niektórzy z nas w ogóle nie wyruszają – czekają do wieczora, potem zabierają wieniec – czym dają wyraźny znak kobiecie – i odchodzą. To jedyny moment, kiedy można odejść, zniknąć – niby belka drewna, zabrana przez morze wraz z przypiływem. W innym czasie byłoby to niby rzucanie kaczek po wodzie – kamień odbije się od powierzchni kilka razy, lecz ostatecznie i tak utonie.

Mężczyzna nie mógłby tak postąpić. Trzeba czekać na przypływ, na odpowiedni moment.

Robiło się coraz ciemniej, docieraliśmy na miejsce. Zwarliśmy szyki w momencie, gdy naszym oczom ukazał się zarys miasta. Mimo że działaliśmy wspólnie, każdy musiał radzić sobie sam – sam zmagać się z przeznaczeniem. Nasza wojna tak naprawdę była wojną indywidualną – między mężczyzną a jego pamięcią o przeszłości i świadomością przyszłości. Bez tego nie ma mowy o życiu. Nie ma świadomości o tym, co było i co będzie – nie ma egzystencji. Może być jedynie trwanie, lecz to zwykłe zawieszenie w nicości, które nie ma najmniejszego sensu. Mimo to wielu wybiera tę właśnie opcję.

My jesteśmy Prawdziwi. Jesteśmy Prawdziwymi ludźmi, mężczyznami, mężami i kochankami.

Dlatego teraz tu jesteśmy.

Na tereny wroga wchodzi się powoli, cicho, tak, aby nikt nas nie zauważył. Działamy skrycie, lecz niczego nam to nie ujmuje. A przynajmniej sami w to wierzymy. Mogliśmy wpaść wspólnie, z krzykiem, podrywając gardło każdej wieśniaczce, jaką tylko byśmy spotkali na drodze do miasta. Ale przecież nie o to chodziło. Nie to było naszym celem. Ba, wtedy tak naprawdę żadnego celu byśmy w ogóle nie mieli. Ten konkretny dostawaliśmy w momencie, gdy znajdowaliśmy się między budynkami. I właśnie dopiero wtedy podświadomie wiedzieliśmy, gdzie mamy iść. Inaczej może nigdy byśmy nie dotarli do naszego prawdziwego celu, jedyne wykrwawilibyśmy samych siebie i niczemu niewinnych ludzi, którzy tak naprawdę nas nie obchodzili.

Dlatego przez rolnicze – wstępne – zabudowania szliśmy niczym cienie. Przedzieraliśmy się wąskimi uliczkami, skradając pod oknami i zamierając przy najmniejszym szmerze. Chcieliśmy najpierw dotrzeć do centrum, skąd niczym promienie słoneczne mieliśmy rozejść się z pieśnią na ustach, aby pozbyć się zbędnych elementów, przelać krew, którą wchłonie ziemia, aby ta potem mogła wydać nowy, lepszy plon. Chociaż na chwilę.

Wioski były niewielkie, składające się z podłużnych drewnianych chat krytych strzechą. Każde domostwo posiadało rząd wąskich okien w każdym z dłuższych boków. Za nimi było ciemno i cicho. Nikt nie czuwał, nikt nie pilnował. Każda postronna osoba wiedziała, że nie

powinna mieszać się w sprawy wyższej wagi. Sprawy, których nie rozumie i które jej nie dotyczą bezpośrednio. Bo tak w rzeczywistości było – my byliśmy niby przechodzień mijający ludzi na ulicy, zmierzający ku czemuś, co nie dotyczyło nikogo poza nim samym i jego celem. Lepiej było nie prowokować.

Miasto otaczały mokradła, z których niczym połamane włócznie sterczały zbutwiałe szczątki drzew, obsiadłe przez kruki obserwujące nas w spokoju, jakby z zamyśleniem. Spojrzałem w niebo, wzrokiem szukając sępów. Nie było ich, choć nie wiedziałem, czy to dobry znak. Sępy zawsze tak naprawdę są tylko niewiadomą.

Droga od mojej strony była podmyta, błoto chlupało pod stopami. Czułem zimno, przeciskający się między palcami szlam, który drażnił i irytował, ale za to wydalał gryzący zapach, który zawsze lubiłem. Dobrze się kojarzy. Wiadomo już było, że za chwilę wszystko się zacznie.

Nie mieliśmy pancerzy, żadnych tarcz, tylko nasze ciała, prezentujące prawdziwość – pokazującą, kim tak naprawdę jesteśmy – pełną krasę, urozmaiconą jedynie czerwonym suknem zwiastującym krew. Nasze miecze trzymaliśmy w pogotowiu, przedzierając się przez złowieszczy teren, pod czujnym okiem księżyca wspierającego nas swym pełnym objawieniem. Zatrzymaliśmy się w momencie, gdy grunt stał się suchy, stabilny, a z pobliskiej wieży strażniczej rozległ się ostrzegawczy sygnał.

Tym razem wypatrzyły nas już z daleka.

Obejrzałem się. Wspierały nas jeszcze kruki, które nie poderwały się do lotu, gdy je mijaliśmy, lecz dopiero teraz, na dźwięk alarmu.

Dobre ptaki.

Zanim róg zadudnił po raz drugi, z okrzykiem ruszyliśmy na przód. Gdy dotarliśmy do pierwszych zwartych zabudowań, wyskoczyły na nas zbrojne – opancerzone i wyposażone w długie miecze wojowniczek z tarczami, które szykiem zastawiły szeroką ulicę wjazdową. Przebić się przez nie problemem jednak nie było – mimo dobrego uzbrojenia, tak naprawdę nie potrafiły walczyć – niezdarnie posługiwały się mieczem, a tarcze jedynie przeszkadzały, spowalniały ruchy i czyniły wojowniczeki niezdarnymi. Bez większych ran przedostaliśmy się na plac, odrabując niejedną kończynę i znacząc naszą drogę krwią i wnętrznościami z rozprutych brzuchów. Kolejny oddział wypadł na nas za placem, wtedy już dwóch naszych odłączyło się od grupy. W biegu spojrzałem w bok, dostrzegając skradającego się przy ścianie towarzysza, który uprzednio musiał dostrzec coś w jednym z okien, już po pierwszej walce.

Szczęściarz.

Kobiety, nawet w pancerzach, są na tyle lekkie, że można podnosić je jedną ręką, ciskać niby kamieniami. Mężczyźni dorównują nam samym, lecz ci mieszkający w mieście, do którego dotarliśmy, jedynie obserwują lub uciekają. Ale łatwo ich upolować, nawet jeśli za broń dalekosiężną ma się bezwładne, zalane krwią ciało, niekiedy rozczłonkowane, wybebeszone, zalewające wnętrznościami i fekaliami cel, który się obiera.

Nie miałem niestety pod ręką lepszej amunicji, a nie chciałem, aby mężczyzna mi uciekł.

Upadł przygnieciony ciałem. Gdyby tylko chciał odrzuciłby je w sekundę i podniósł się z ziemi, lecz jedynie legł jak kłoda i chyba wydawało mu się, że nikt go nie zauważy pod ciałem, które może jeszcze niedawno było jego żoną, kochanką, matką albo córką. Skulił się i czekał, dając mi czas na podejście i poderwanie go spod truchła, z którego nadal sączyła się ciepła jeszcze krew. Mężczyzna szczerze został nią oblany, przy okazji samemu krwawiąc – przy kontakcie z wydeptaną uliczką roztrzaskał sobie nos, przez co jego twarz dodatkowo znaczyły jasne strużki i kleksy.

Każdy lubi być choć trochę poniewierany, prawda?

Pchnąłem go na ścianę pobliskiego budynku. Odbił się dłońmi, potem spróbował odskoczyć w bok, schować się przed moimi silnymi ramionami, lecz nie udało mu się to. Trzymając za kark, zawlekłem go w stronę drzwi do chaty. Może to nawet był jego dom, w końcu kręcił się wokół niego. Zapewne nie chciał opuszczać swojej własności nawet w obliczu kolektywnego mordy.

Ciskając nim po raz kolejny, jakby był drewnianą rzeźbą, otworzyłem wejście. W środku panowała ciemność, nie paliła się żadna świeczka, ale może to i lepiej. Cuchnęło stęchlizną, uryną i dymem z niedawno zgaszonego płomienia. Od razu wchodziło się do pomieszczenia mieszkalnego, cokolwiek widać było tylko dzięki pełni księżyca, którego blask wpadał przez rząd okien.

Zamykając za sobą drzwi, spojrzałem jeszcze w stronę, skąd dochodziły odgłosy walki.

Niewielu już naszych zmagало się z przeciwnościami.

Wróciłem do swojej zdobyczy. Leżała na podłodze, czołgając się w stronę łóżka, stojącego po przeciwległej do okien stronie pokoju. Mamrotał coś, wypowiadał chyba imię, lecz nie potrafiłem go zrozumieć. Zanim do niego z powrotem dopadłem, doszedł mnie

dźwięk z pomieszczenia obok. Ktoś się tam krył, lecz najwyraźniej nie miał zamiaru wychodzić.

Wszystkie kobiety poszły walczyć. Mężczyzna mi nie zagrażał, mogłem go zostawić samemu sobie. Mógł sobie popatrzeć, jeśli w ogóle miał taką chęć. Dla pewności mogłem go wywlec na środek, ale już za bardzo się niecierpliwiłem.

Upolowana zwierzyna czekała na mnie.

Zakrwawiona, bezsilna, na pewno też mokra tam, gdzie powinna.

Nie lubiłem suchych odbytów, przez które miałem potem podrażnionego penisa. Mój język był wysuszony od szybkiego oddechu podczas walki, niewiele dawałoby splotanie. Krew szybko zasycha, to też by nie pomogło. Ale oni bardzo często robili się mokrzy od razu po tym, jak zrywało się z nich ubrania i samemu się rozbierało, masując pulsujący członek.

Najpierw w usta, aby potem wchodził jeszcze lepiej. Im śliny nie brakowało.

Zdarłem z niego ubranie i pchnąłem na łóżko. Klęcząc na podłodze, z głową wtuloną w wypchaną słomą pościel, zachęcał wypiętym, zarośniętym czarnymi włosami tyłkiem.

Byłem gotowy. I to jak!

Klepnąłem go w pośladek, a mężczyzna już zaczął jęczeć. Gdy w niego wszedłem, wrzeszczał, jakbym go zarzynał, choć rzeczywiście po kilku minutach było to istne rżnięcie.

Mdlał kilkakrotnie. Ja doszedłem za każdym razem, gdy tracił przytomność, a jego ciało robiło się bezwładne, w pełni mi oddane.

A potem wyszedł cichy obserwator.

Kobieta.

Zaskoczyła mnie.

4.

Codziennie, gdy się budziłem, widziałem zalane słońcem pomieszczenie, w którym spaliśmy. Ale tego dnia było nad wyraz jasno, promienie cieplejsze niż zwykle, jakby jesień wcale nie nadchodziła. Sypialnia zdawała się o wiele przyjemniejsza, ciała obok mnie bardziej kuszące i namiętne w swych sennych ruchach.

Jak zwykle obudziłem się pierwszy. Mimo przyjemności, która wypełniała moją wiosnę, sen miałem słaby, a ciała, do których jeszcze się nie przyzwyczailem – a może to i lepiej – były elementami na tyle obcymi, że jeden nieco gwałtowniejszy ruch któregoś wystarczył, aby mnie wyrwać ze snu i sprawić, że nie byłem w stanie z powrotem zasnąć.

Przyjemność i obcość. Mimo wszystko to bardzo dobre połączenie, dzięki temu nie jestem w stanie trwać zbyt długo w takiej sytuacji. Ale gdybym w jakiś sposób się przyzwyczaił... Wszystko by przepadło.

Delikatnie podniosłem się z łóżka, tak, aby ich nie obudzić. Założyłem wczorajsze bokserki i czarną koszulkę. Przeszedłem do kuchni, gdzie napiłem się soku stojącego obok wina, które wczoraj wypiliśmy. Był ciepły, nie smakował mi, ale czułem suchość w gardle. Potem otworzyłem okno i zapaliłem papierosa, przedostatniego z paczki, w którą wczoraj wieczorem się zaopatrzyliśmy.

W mieszkaniu wciąż unosił się zapach niewywietrzonego dymu.

Gdy powoli kończyłem, do kuchni wszedł Adam. Nie ubrał się, przez co prezentował swoje wdzięki, drgające na mój widok.

– Już czas – powiedziałem, a on podszedł, objął mnie ramieniem i pocałował w czoło. Potem przytulił mocno i długo nie puszczał.

Nie odezwał się.

Było nam razem bardzo dobrze.

Poznaliśmy się niedawno, lecz od razu wiedzieliśmy, że razem spędzonego czasu nigdy nie będziemy żałować. Przyjechałem tu, nie mając ze sobą niczego oprócz kilku podręcznych rzeczy i pieniędzy. Zamieszkałem u niego, po kilku dniach dowiedziałem się, że żyje z kobietą. Zaakceptowała mnie, a ja ją. Obeszło się bez żadnych komplikacji, żadnych waśni czy nawet najmniejszych nieporozumień. Ona rozumiała całą sytuację, знаła jej sens, wiedziała, co kieruje mną i Adamem.

Nigdy się jeszcze nie spotkałem z taką kobietą.

Nie walczyła. Nie sprzeciwiała się. Razem żyliśmy w naszym Sychem, domu ucieczki, gdzie odcięliśmy się od świata, od ludzi. Nie mógł nas osiągnąć nikt, jeśli sobie tego nie życzyliśmy.

Ona też była Prawdziwa.

Zazdrościłem Adamowi. Był szczęściarzem.

– Każdy musi mieć swoje miasto ucieczki, inaczej jego prawdziwy Raj – jedyny realny – stanie się Rajem utraconym. Na to nie chcę pozwolić, ty zapewne też byś nie chciała, aby tak się stało, czyż nie?

– Ale... Czemu akurat to miasto? Czemu nie poszukasz innego?

Patrzyłem na swojego laptopa i nie wiedziałem, co mam jej powiedzieć. Ucieczki się nie wybiera. To życie odnajduje ścieżkę, którą trzeba podążać. Losowi należy się podporządkować, człowiek sam niczego nie zdziała. Fatum, szczęśliwość. Wszystko jest ustalone, narzucone z góry. Człowiekiem kieruje przeznaczenie, głupcem jest ten, kto w to nie wierzy.

Kobieta zapłakała.

A ja dalej pisałem, bo wiosna w moim życiu trwała już od kilku lat. Nie chciałem, aby nadeszło lato, a po nim jesień. Ale to oznacza, że moim prawdziwym miastem ucieczki nie było TO życie. Było nim...

W salonie leżały kwiaty, które jej przyniosłem. Nie wstawiła ich do wody, nie było sensu. Wyszły zaraz po tym, jak je wręczyłem. Kobieta w pierwszej chwili ucieszyła się, lecz po chwili, gdy się im przyjrzała, zrozumiała, że jej długie wyczekiwania to niejedyny znak. Teraz dostała drugi.

Starłem się, lecz nie da się oszukać losu, który każdego człowieka prowadził inną drogą.

Od razu usiadłem do pisania.

Dualizm. Mieć dwie wiosny, które zastępują resztę pór roku, to luksus, na który niewielu może sobie pozwolić. Szkoda tylko, że nie trwają one w moim Raju. Teraz coraz bardziej utraconym.

5.

Kolejna wiosna nadeszła znacznie szybciej niż poprzednia. Uporządkowałem wiele spraw, które mnie wyczerpały, ale i skróciły czas oczekiwania. Znów spotkaliśmy się w Miejscu Pożegnań, moja żona płakała, lecz chyba wierzyła w zapewnienia, że tym razem jesień skróci czas oczekiwania na siebie.

Ale ja wiedziałem, że nie chce, aby nadeszła. Nie tym razem i już nigdy więcej.

Poza Prawdziwym Rajem powinna istnieć tylko nicość, a chwilowa ucieczka sprawiać, że Raj nie zostanie utracony.

Głupstwo. Po co nam jakikolwiek Raj, skoro są miejsca o wiele lepsze.

Marzec 2016



ZNAK PIĘCIU

Michał Lipka

W roku 1888 wydarzył się jeden z tych jakże nielicznych przypadków, których mój drogi przyjaciel, Sherlock Holmes, nie był w stanie rozwiązać. Cóż mogę w tej kwestii rzec. Jako człowiek, który podjął się spisania i przedstawienia wszystkich jego spraw, winny jestem pokazać nie tylko biegłość jego dedukcji, ale także wszelkie możliwe aspekty spraw, w których mu towarzyszyłem. Jakże więc mógłbym przemilczeć te, które swym skomplikowaniem przekroczyły nawet jego wielki przecież talent? Bo nijak nie umniejszają one przecież talentu Sherlocka, a pokazują, że wszyscy, nawet ci najwięksi, posiadają własne granice.

Wieczorną porą siedzieliśmy w mieszkaniu przy Baker Street, w blasku lamp, ale blasku przytłumionym, jakby światło przeszkadzało Sherlockowi w myśleniu. Ciemność za oknem wychodzącym na ulicę gęstniała, gazowe latarnie już płonęły, a dym mieszał się z mgłą. Powozów nie było już niemal widać, tylko uderzenia kopyt o bruk niosły się echem wokoło.

Sherlock tkwił w swoim fotelu, kiedy przyszedłem, i nie zmienił pozycji przez cały czas, jaki od tamtej chwili upłynął. Wstrzyknął sobie jedynie kolejną porcję narkotyków,

jakby na złość mi, wiedząc doskonale, jak tego nie pochwalam. Jako lekarz wojskowy doskonale znałem ich wpływ, widziałem, co potrafią zrobić z człowiekiem. Sherlock uważał jednak, że zbawiennie działają na jego myśli.

– Otrzymałeś list, w którym lady Cumberbatch prosi cię o wyjaśnienie sprawy dziwnej sytuacji, jaka...

– Tak, wiem, Watsonie. Wyszła nocą przed dom zaalarmowana rżeniem konia. W blasku latarni ujrzała jednak widok, który pozbawił ją przytomności. Podobno koń, śmiejąc się ludzkim śmiechem, zlizywał krew z szyi jej brata, którego pochowano jakiś czas temu. Kiedy się zbudziła, leżała już w domu, cała i zdrowa. Incydent się nie powtórzył, jednak zabobonna kobieta, niedająca przekonać się, że duchy i widma nie istnieją, boi się, że zmarły brat znów ją nawiedzi.

– Zajmiesz się tą sprawą?

– Watsonie... – Sherlock spojrzał na mnie i znów zmrużył oczy. – Tutaj nawet nie ma się czym zajmować. Rozwiązanie jest elementarne, mój drogi. Sama by je dostrzegła, gdyby miała choć trochę więcej rozsądku, jednak czasem zbytnia bliskość zaburza postrzeganie tak, iż nawet najbardziej oczywista rzecz nam umyka.

– Więc już wiesz, co się tam wydarzyło?

– Owszem. Spójrz, o czym jeszcze pisze w liście.

Spojrzałem na papier zapisany drobnym charakterem pisma. Na litery stawiane drżącą ze zdenerwowania ręką.

– Wzmianka o drzwiach do starej piwnicy, których dawno nikt nie otwierał – powiedział Sherlock.

– A cóż one oznaczają?

Sherlock westchnął, jakby miał do czynienia z dzieckiem.

– Jej brat zmarł pół roku temu, zabity najprawdopodobniej przez ludzi, których okradł, kiedy wracał od siostry, która odmówiła mu pomocy. Daleki był od świętości, przetracał każdy grosz, a siostra nie chciała go wspomagać. Teraz lady Cumberbatch sądzi, iż z tej przyczyny jej krewniak nawiedza ją po śmierci, a nie pomyślała nawet, że ten wciąż żyje. Zgon to najlepszy sposób na uniknięcie kłopotów, Watsonie, chyba nie muszę ci tego przypominać. Sprawa rozwiązana.

– Nie do końca. Jak się ma do tego to, co widziała? Według listu nic także nie zginęło.

– Ach Watsonie, Watsonie! To przecież oczywiste. Zemsta i, wbrew temu, co sądzisz, kradzież. Jak się zemścić, jeśli nie strachem? Obietnicą zagrożenia, przed którym nie ma ucieczki, bo nie jest z tego świata? Koń był tylko przypadkowym wykonawcą, całą otoczkę

dorobił nasz rzekomy zmarły, bowiem potrzebował pociągowego zwierzęcia, by wywieźć to, co w sekrecie ukrył w piwnicy podczas ostatniej wizyty u siostry. Było to coś ciężkiego, jak się można domyślić, mniemam, że cenny posąg, który zrabował na krótko przed „odejściem z tego świata”. Ukrył go zapewne przed owymi ostatnimi odwiedzinami, a sama wizyta była jedynie na wypadek, gdyby został przyłapany na terenie posesji lady Cumberbatch. Wystraszył siostrę, ale nie chciał jej śmierci, toteż zaniósł ją do domu i to by było na tyle. Nic, czym warto by się zajmować.

Nie skomentowałem sytuacji. Wziąłem po prostu kolejny list i zacząłem czytać.

– Tu sir John...

– Zabiła jego żona, nie musisz nawet czytać dalej.

– A tu masz prośbę...

– W tym przypadku doszło tylko do nieszczęśliwego zdarzenia. Nie został dźgnięty pod domem, a wypadł z okna z nożem w rękę. Nudna sprawa.

– Więc może to: niejaki profesor Moriarty chce cię wyzwać na pojedynek największych umysłów...

– Wariatów mam pod dostatkiem. Zostaw to, Watsonie, żadna z tych spraw nie jest godna naszej uwagi.

– Rozwiązałeś je przecież.

– Same znalazły rozwiązanie podczas czytania listów. Nawet nie było w nich żadnej zagadki.

– Czym więc zamierzasz się zająć? Bezczynność w twoim przypadku zawsze się źle kończy.

– Nie siedzę beczynn timer, Watsonie. Bynajmniej.

Dopiero teraz zwróciłem uwagę na to, co leżało obok niego. Zmięta, jakby od wielokrotnego czytania gazeta „Illustrated Police News” znajdowała się na samym szczycie sterty podobnych pism, wśród których wypatrzyłem chociażby „The Gurdian” czy „The Illustrated London News”, a także, najwyraźniej, same raporty ze Scotland Yardu. Żadnego z tych źródeł Holmes nie potraktował choćby z niewielką dozą szacunku. Plamy, popiół z fajki, narkotyk z położonej na stercie strzykawki wsiąkały leniwie w papier.

– Czyżby Rozpruwacz uderzył znowu? – zapytałem.

– Watsonie, Watsonie... Gdyby uderzył znowu, pisałaby o tym każda gazeta w Wielkiej Brytanii, nawet ty byś tego nie przeoczył. Od ostatniej zbrodni minęło już wiele czasu, ten tak zwany Rozpruwacz nie zaatakuje ponownie.

– A jeśli jednak?

Sherlock poprawił się w fotelu, wychylając w moją stronę. W półmroku jego wilgotne, przekrwione oczy płonęły gorączką.

– Czyżbyś wątpił w mój osąd, Watsonie? Nie zaatakuję, jestem tego pewien, a szkoda.

– Szkoda?

– Mielibyśmy okazję dowiedzieć się o nim więcej. Mógłby popełnić błąd.

– Zginęliby ludzie.

– Rozwiązałyby się zagadka. Nie unoś się tak, Watsonie, nie mamy takiego szczęścia, żeby podobna sytuacja się wydarzyła.

– Pamiętasz jednak...

– Chcesz mi przypomnieć o przypadku Billa B. Freemana?

– Dlaczego tak myślisz?

– Chciałeś mi przypomnieć sytuację, w której twoim zdaniem się myliłem, że morderca nie zaatakuję ponownie, a jednak tak się stało. W jednej ze spraw mieliśmy naśladowcę. Zostają dwie. Spojrzałeś na nożyczki leżące na stoliku, a czym posługiwał się Freeman? Poza tym w trzecim przypadku to nie morderca uderzył ponownie, a jedynie ciała wcześniejszych ofiar odnaleziono później.

– Tego nie udowodniono.

– Wierzysz jakiejś policyjnej pseudodedukcji, Watsonie? Litości, mój drogi. A wracając do Freemana, nie pomyliłem się. Poinformowałem Lestrade'a, że nie popełni zbrodni, bo wiedziałem, że jest to ktoś z jego otoczenia i że jednak znów spróbuje zabić. Potem wystarczyło go złapać. Tym razem tak nie jest.

– Nie ma sensu przekonywać cię, byś odpuścił?

Sherlock spojrzał na mnie i roześmiał się.

– Ach, drogi Watsonie. Jak można odpuścić taką sprawę? Przecież to wymarzona zagadka.

– Niemożliwa do rozwiązania.

– Nie ma zagadek nie do rozwiązania, trzeba jedynie spojrzeć z odpowiedniej perspektywy.

– Perspektywa niewiele pomoże, kiedy nie ma się wszystkich elementów.

– A cóż by to była za zagadka, gdybyśmy mieli wszystkie elementy? Cóż to za przyjemność, gdy nie trzeba dostrzec rzeczy, których nie posiadamy?

Mrok za oknem zgęstniał już zupełnie, mgła także. Nasze sylwetki odbijały się w szybie niczym w lustrze, widmowe jednak, upiorne niemal, bo blade i pełne cieni.

– Gdzieś tam – Sherlock wpatrzył się w okno – jest nasz Rozpruwacz. Ma twarz, ma imię, nazwisko także. Gdzieś mieszka. Elegancki, spokojny człowiek, nie do odróżnienia od innych. Nie zmienia się w potwora. Zabijał, bo chciał zobaczyć, jak to jest – nie dla zysku żadnego. Na początku niepewnie, potem coraz odważniej, coraz mocniejsze robiąc rzeczy. Dwie ofiary jednej nocy, ostatnia z prostytutek...

– Mary Jane... – urwałem, gdyż Sherlock spojrzał na mnie tym wzrokiem, mówiącym, że liczy się jedynie tożsamość mordercy. Ofiary odegrały już swoją rolę. Przestały być ciekawe, kiedy nauczył się na pamięć ich obrażeń i otoczenia, w jakim się znalazły. Pewnie teraz wyglądając za okno w myślach odtwarzał scenerie, wygląd ciał i wszystkie detale, które chyba tylko on potrafił dostrzec. Był tam duchem i umysłem, choć ciałem pozostawał tutaj.

– Ostatnia z prostytutek została zaszlachtowana tak, jakby wreszcie dał upust wszystkiemu temu, co w sobie nosił. Zabita z elegancją, precyzją i dzikim szałem. Z radością. Osiągnął, czego pragnął, dlatego więcej już nie zabił. Nie musiał. Wiedział doskonale, że nie doświadczy już czegoś takiego, że to uczucie można poczuć tylko raz. To mądry człowiek, Watsonie. Inteligentny dżentelmen, który nie chce zostać złapany.

– Ale ty go złapiesz?

– Dowiem się, kim jest.

Zamilkł na chwilę, zamilkłem także ja. Cisza jednak była niezręczna, niemal słyszałem w niej, jak cykają jakieś mechanizmy w głowie mojego drogiego przyjaciela. Niby wielki zegarek, który poruszał się powoli, by wskazówki w końcu dotarły do wybranej godziny, która objawi mu wszystko.

– Znak pięciu... – wymamrotał pod nosem, jak gdyby odpływał w narkotyczną wizję.

– Co mówisz?

– Znak pięciu. Mamy wszystko, czego nam potrzeba, by rozwiązać zagadkę, tylko z jakiegoś powodu nie potrafimy tego dostrzec. Coś nam przysłania cały obraz. Mamy pięć ofiar, każda to znak. Nie ma ich więcej, więc wszystkie muszą zawierać elementy układanki. Początek i koniec.

– Lestrade mówił o kredowym napisie na ścianie budynku przedostatniej z ofiar. Coś o Żydach.

– Lestrade to idiota, a napis nie ma najmniejszego znaczenia. Ten, kto go wykonał, chciał upozorować swoje braki w wykształceniu i skierować trop w inną stronę, co ci głupcy ze Scotland Yardu ochoczo podchwycili. Słowa miałyby więc znaczenie, gdybyśmy już wcześniej nie wiedzieli, że jest wykształcony i inteligentny. Istotne jest, że zabijał prostytutki. Szwaczki, jak wolą być nazywane. Wybrał je, bo jest ostrożny. Wiedział, że nie mają takiego

znaczenia, jak obywatelki z wyższych nieco sfer. Poza tym w dzielnicach takich jak Whitechapel okrzyk „Mordują!” czy wrzaski ludzi są na porządku dziennym. Tak samo jak wszelkiej maści goście – dobrze znani, jak i zupełnie obcy, pragnący korzystać z uciech ciała. Rozpruwacz chciał zabijać, ale nie chciał być złapanym.

– Raczej nie zawęży nam to w znacznym stopniu kręgu podejrzanych.

– Krąg podejrzanych nie jest wcale taki duży, jak mniemasz, Watsonie.

– Co masz na myśli? Policja podejrzewa, że mógł to być nawet ktoś, kto był tu przypadkiem przez pewien czas. Ktoś z Ameryki albo...

– To był londyńczyk, ktoś mieszkający niedaleko, pewnie nie więcej niż godzinę drogi od Whitechapel. Taki dystans jest bezpieczny – morderca nie znika na długo, więc nie zwraca zbytnej uwagi, ani nie jest nazbyt blisko miejsca zabójstwa. Równie dobrze mógłby mieszkać na Baker Street nawet, Whitechapel leży w końcu pięć mil drogi stąd. Gdyby mieszkał gdzieś indziej, nie obawiałby się tak schwytania. Czułby się bezpieczniejszy, byłby mniej uważny. I musiał także znać okolice, żeby wiedzieć, jak umknąć.

– Informowałeś o tym Lestrade’a?

Sherlock roześmiał się z nieskrywaną wesołością.

– O tym, że mordercą z Whitechapel jest ktoś publicznie znany także mu nie mówiłem.

– Publicznie znany?

– Powiedz mi Watsonie, czy my znamy się od wczoraj? Nie. Czy od wczoraj uczestniczysz w moich śledztwach? Także nie. Powinieneś więc chyba wiedzieć, że morderca nieszczególnie musi starać się ukrywać swoją tożsamość. Że też muszę to mówić właśnie tobie. Świadkom nie można wierzyć, emocje zaburzają postrzeganie, w pamięć zapadają szczegóły, które łatwo można dodać już samemu. Zabójca tak inteligentny jak ten, z którym mamy tu do czynienia, z pewnością wie o tym doskonale. Łatwiej by mu więc było się nie kryć. Człowiek starający się nie zostać zauważonym bardziej zwraca uwagę. Ktoś, kto podejmuje się tego, robi to z jednej przyczyny – wie, że jego twarz jest rozpoznawalna.

– Zatem może to być ktoś mieszkający w samym Whitechapel.

– Typ człowieka, który dopuścił się tych morderstw – co zresztą już wspominałem – jest zbyt ostrożny, by zabijać na własnym podwórku. Czy ty mnie w ogóle słuchasz, Watsonie?

Zamilkł. Po chwili ciszy wyjął fajkę, nabił ją (miałem nadzieję, że tytoniem i to tytoniem bez domieszek tak ukochanych przez niego substancji), zapalił i zaciągnął się z lubością. Przytrzymał dym w płucach, wypuścił, zaciągnął znowu.

– Tylko dlaczego coś mi ucieka? – Pokręcił głową. – Jakbym patrzył za daleko, albo za blisko...

Znów zapadała cisza, którą tym razem przerwałem ja:

– Ciągłe wiesz za mało.

– Wcale nie, Watsonie. Tu chodzi o coś innego.

– Myślę, że nie chcesz przyznać, że nie dowiedziałeś się dość. Nie masz na przykład pojęcia, jaki morderca...

– ... wykonuje zawód? Litości, proszę cię. To oczywiste, że jest lekarzem. Scotland Yard może głupio sądzić, że to rzeźnik bądź też ktoś, kto przypadkowo wyciął konkretne narządy, niemniej nie zrównuj mnie poziomem z funkcjonariuszami, dobrze? Spójrz na przypadek ostatniej z ofiar. Morderca spędził z nią wiele godzin w środku nocy. Nie spieszył się, oprawiając ją. Wiedział, że to ostatni raz i wiedział także, że nawet jeśli go tam znajdą, nie uznają go za mordercę. Może nawet wręcz przeciwnie...

Zamilkł po raz kolejny, jakby tak działały na niego wstrzyknięte narkotyki. Znów więc to ja się odezwałem:

– Powiedz mi, tylko szczerze, martwi cię, czy to nie ty sam w narkotycznym widzie zabiłeś te kobiety? Może przekroczyłeś już swoją granicę obcowania ze zbrodnią, może druga strona zaczęła cię kusić zbyt mocno, byś mógł się jej oprzeć, a może po prostu opium, kokaina czy to, co akurat zażyłeś, pchnęły cię do sprawdzenia na żywych jednej ze swoich chorych teorii, które próbowałeś niejednokrotnie potwierdzić na trupach w kostnicy? Ścigając samego siebie, nie byłbyś w stanie rozwikłać zagadki. Wszystko się zgadza – mieszkasz w odpowiedniej odległości, miałeś ochotę spróbować zbrodni, potrafiłbyś zaplanować wszystko ze szczegółami, poza tym znasz Whitechapel, nieraz rozwiązywałeś zagadki zbrodni, które miały tam miejsce. Twoja twarz jest rozpoznawalna. I nikt by cię nie podejrzewał, gdyby spotkano cię na miejscu zbrodni.

Sherlock spojrzał na mnie z błyskiem w oku i zaśmiał się wesoło.

– Brawo, drogi Watsonie! Brawo! Nareszcie zacząłeś myśleć! Niestety, muszę cię rozczarować, to nie ja, choć twoja dedukcja mi się podoba! I to jak! Ach, gdybyś był tak kreatywny w innych sprawach. I, oczywiście, gdybyś się nie mylił.

– Cóż więc zostaje? – Spojrzałem mu w oczy. – Chyba tylko odpocząć i dopiero ze świeżym umysłem wrócić do sprawy. Sam przecież powiedziałeś, iż morderca nie uderzy ponownie. Czy to nie dobry powód, by odpuścić choć na trochę?

Sherlock zwrócił na mnie wzrok, ale nic nie powiedział.

Mój drogi przyjaciel zdecydowanie był największym detektywem na świecie, miał więc zupełną rację, twierdząc, iż czasem zbyt bliskość zaburza postrzeganie. Przez chwilę nawet

spoglądał na mnie, jakby wiedział jednak, ale to nie było możliwe. Ta sprawa przerosła także wielkiego Sherlocka Holmesa, chociaż nie pomylił się w żadnym jej szczególe.

Morderca rzeczywiście uprawiał zawód lekarza. I prawdą było również, iż nie zamieszkiwał w Whitechapel, tylko na Baker Street. Zgadzało się wszystko, jednakże brakowało najważniejszego – nazwiska. Jakże mógłby jednak choć podejrzewać swojego drogiego przyjaciela, doktora Watsona? Wiernego pomocnika i kronikarza jego poczynań, który pomagał mu w śledztwach? Tego samego, który towarzyszył mu nawet w Whitechapel przy badaniu miejsc wcześniejszych zbrodni? Lekarza z wojenną traumą i chirurgicznym talentem?

Siedząc na wprost mnie, Sherlock odwrócił wzrok z powrotem do mrocznego okna, pograżając się w rozmyślaniach. Mógł tak siedzieć godzinami, przecież zdarzało się i tak, że niemal dzień cały spędził w świecie własnego umysłu, jednak istnieją przecież sprawy, których nawet najgenialniejszy człowiek nie potrafi bądź też nie chce rozwiązać. Mój drogi przyjaciel Sherlock miał rację. Kuba Rozpruwacz chciał poznać smak zbrodni. Obcował z nią już wcześniej, teraz natomiast zapragnął przekonać się, jak rzecz ta ma się od drugiej strony. Zdobył śmiałość, osiągnął swój cel i już więcej nie zabije, bo w jego sercu przestała płonąć taka potrzeba. Czasem tak się zdarza, wielu zbrodniarzy nie powraca już nigdy na ścieżkę zła. Prawdą było także, iż krył swoją tożsamość, albowiem znał go każdy, a w ostatnim przypadku, przypadku Mary Jane Kelly postanowił pójść na całość i zaryzykować, bo wiedział, że robi to po raz ostatni. I wiedział także, że gdyby nawet spotkano go na miejscu, nikt nie uwierzyłby w jego winę. Ktoś taki jak spokojny, elegancki towarzysz samego Sherlocka Holmesa badał tylko trop i trafił na miejsce zbrodni, a widząc ciało, nie chciał marnować okazji do zbadania go, póki było świeże.

Sherlock jak zawsze miał we wszystkim rację. We wszystkim oprócz jednego: zbrodnie idealne czasem się zdarzają. Tak to już na tym świecie bywa, nie zawsze istnieją wszystkie niezbędne znaki, a szczegóły rozmywają się we mgle i dymie, jak kropla atramentu wlana do wody.

Nagle siedzący w fotelu na wprost mnie Sherlock uśmiechnął się do swojego oblicza majaczącego w szybie i wstał.

– Wiesz co, drogi Watsonie? Chyba muszę przyznać ci rację. Nadszedł czas, by zająć się ciekawszymi zbrodniami, które czekają na rozwiązanie.

– Skąd ta nagła zmiana, czyżbyś jednak odgadł tożsamość mordercy z Whitechapel?

– Cóż to za pośpiech, drogi Watsonie, wiemy już, że morderca nie uderzy ponownie, a gdzieś pośród tych listów widziałem ciekawy, w którym niejaka pani Una Stubbs prosi nas

o rozwiązanie sprawy dwóch dziwnych lokatorów jej mieszkania. Wydali się starszej kobiecie bardzo podejrzani.

- Myślałem, że rozwiązałeś już wszystkie sprawy z listów, zanim skończyłeś je czytać?
- Czasem każdy z nas może się mylić, prawda?



www.toon-art.pl



<https://www.facebook.com/Kozierkiewicz>



YES

NO

SHRED PERSPECTIVES WORKS
DESIGN

**DARK ART
AND DESIGN**

GOOD BYE

SZKIEŁKIEM I OKIEM...

*Szkic o Sherlocku Holmesie w rocznicę
urodzin jego twórcy*

dr Eliza Krzyńska-Nawrocka

Jest rok 1887 – świat ujrzał opublikowane *Studium w szkarłacie* – i świat kryminału literackiego nie był już taki sam – wkroczenie na scenę Sherlocka Holmesa odmieniło go definitywnie. Dokonał tego Artur Conan Doyle, spod którego pióra wyszły cztery powieści i pięćdziesiąt sześć opowiadań poświęconych detektywowi wszech czasów.

Sir Doyle, urodzony w 1859 roku, to jednak nie tylko i wyłącznie twórca opowieści kryminalnych o dokonaniach Holmesa. Jest autorem powieści przygodowej z elementami fantastyki naukowej i fantasy zatytułowanej *Zaginiony świat* (1912) czy *Trującego pasma* (1913), w pierwszej wersji znanego czytelnikom polskim pod tytułem *Świat w letargu*, w których pojawia się profesor Challenger. Na jego koncie, mówiąc kolokwialnie, znajdują się także powieści historyczne (np. *Biała kampania* (White Company, 1890) czy *Przygody brygadiera Gerarda* (*The Exploits of Brigadier Gerard*, 1896), teksty mające znamiona romansu, na przykład utwór o ciekawym tytule *Duet z przygodnie stosowanym chórem* z 1914. W jego twórczości można odnaleźć również próbki utworów poetyckich, a także opowieści grozy inspirowane gotyckimi romansami.

Co interesujące i godne odnotowania, lekarz z wykształcenia i praktyki, a potem pisarz kreujący tak twardo stąpającego po ziemi bohatera (jakim widzi się Holmesa), okazał się żywo zainteresowany spirytyzmem. Był autorem cenionych publikacji na ten temat, w tym dwutomowego dzieła *The History od Spiritualism* – 1926 i *Na skraju nieznanego* – 1931, oraz tłumaczem na język angielski francuskiego *Le mystère de Jeanne d'Arc* autorstwa Léona Denis (angielski tytuł *The Mystery of Joan d'Arc*). Nawiasem mówiąc, poszukując dowodów na istnienie życia pozagrobowego oraz istot z innych światów, a także śladów telepatii, wydał kilkaset milionów funtów. Słynna jest historia jego zainteresowania zdjęciem „skrzydlatych elfów” – Doyle napisał zresztą artykuł na temat tych malutkich istot w 1920 r. na łamach „The Strand Magazine”, w 1925 sprawę tę opisał szczegółowo w książce *The coming od the fairies*. Wspomniana fotografia „Wrózek z Cottinglay” z 1917 roku okazała się mistyfikacją dokonaną przez autorki mające

widzieć elfy w domowym ogrodzie. Elfów nie było, oszustwo pozostało, a Doyle wierzył nieustannie w możliwość istnienia innych wymiarów.

Ta fascynacja tym, co poza granicą życia, swoje korzenie miała w osobistych przeżyciach pisarza, który po śmierci ojca w 1893 roku (zastanawiająco zbiega się z uśmierceniem Holmesa) postanowił wstąpić do Towarzystwa Badań Psychiczych, inne źródła wskazują, że przystąpił do niego dwa lata wcześniej. Niezależnie od konkretnej daty (ta późniejsza byłaby o tyle wygodniejsza, że zakładałaby wpływ śmierci ojca na światopogląd Doyle'a) pisarz uzyskał możliwość studiowania bogatej literatury przedmiotu.

Zresztą nadmienić należy, że wiara w inne istnienia i sposoby kontaktowania się z nimi znalazły podatny grunt metafizycznych niepokojów, nieobcych Doyle'owi – swoje zainteresowanie zjawiskami mediumicznymi pod koniec lat osiemdziesiątych XIX wieku opisywał następująco w pamiętniku:

(...) odczuwałem często niepokój duszy. Czulem, że jest jakiś cel, dla którego przyszedłem na świat, lecz nie mogłem odkryć, co mogło być tym celem. Umysł mój zwracał się ustawicznie ku rozmaitym religiom świata. Lecz każda z tych dawnych religii była dla mnie jak strój z czasów chłopięcych. Rozumowałem jeszcze ciągle w myśl zasad materialistycznych. Zapisalem się na członka Stowarzyszenia Racjonalistów, studiowałem sumiennie ich literaturę, lecz była ona zupełnie destruktywną, a człowiek nie może żyć samą destrukcją. Poza tym miałem w każdym razie dość wiary w zjawiska psychiczne, by mieć świadomość, że istnieje skala doświadczeń wykraczających poza granice racjonalnych wyjaśnień, że zatem system ignorujący całą masę faktów, system wykluczający ich istnienie, składał się tym samym dowód swej niedoskonałości. Z drugiej strony, mając to przekonanie o istnieniu tych nienormalnych zjawisk, mając świadomość, że jakaś inteligencja – wysoka czy niska – kryła się poza nimi, nie mogłem jednak zrozumieć ich celu i znaczenia. (...) Podczas tych ciągłych wędrówek po obczyźnie zajmowałem się poważnie kwestiami psychicznymi, czytając wszystko, co mogłem otrzymać, i organizując od czasu do czasu seanse, które dawały wyniki niezupełnie wprawdzie negatywne, lecz obojętne, zwłaszcza żeśmy nie mieli do pomocy medium. Filozofia przedmiotu poczęła się jednak z wolna odsłaniać, stawała się stopniowo przekonaniem, że życie nie tylko trwa po śmierci, w jakiejś bardzo wiotkiej powłoce, lecz że warunki, z jakimi się ono spotyka w zaświecie, są podobne doznanych nam na ziemi. Choć jednak doszedłem do tych przekonań, daleko mi jeszcze było do zdania sobie sprawy z ich żywotności i wagi. (A. C. Doyle, Wspomnienia i przygody, t. 2, tłum. F. S., Warszawa 1925, s. 47-48).

Niewątpliwie osobistym przeżyciem wpływającym na zapatrywania pisarza i ich rozwinięcie była utrata syna Kingsley'a, który zmarł na froncie wojennym na zapalenie płuc w 1917 roku. Doświadczenie śmierci własnego dziecka (a także innych bliskich podczas wojny) skłoniło go do

zglębiania technik okultystycznych i brania udziału w seansach spirytystycznych (zakończonych ponoć sukcesem – rozmową z duchem syna, a nawet utrwaleniem podobizny jego głowy wyłaniającej się z mediumicznych smug). Swoimi zainteresowaniami dzielił się nie tylko na kartach pisanych rozpraw, ale również w podróżach po świecie, podczas których mocno propagował istnienie duchów i idee spirytyzmu. Jego zainteresowanie tymi kwestiami było powszechnie znane i towarzysko legendarne.

Odbiciem ezoterycznej pasji Doyle'a poza wspomnianymi pisarskimi dokonaniem była powieść *Kraina mgieł* – dzieło przedstawiające dalsze losy ekscentrycznego profesora Challengera, o którym wspomniałam już na początku niniejszego szkicu. Nie on jednak, lecz inny, osobliwy bohater stworzony przez Doyle'a znajduje się w centrum dalszych rozważań. Wróćmy więc do interesującego nas początku – jest 1887 rok i szkocki pisarz wydał właśnie *Studium w szkarłacie*. Przyjrzyjmy się głównemu bohaterowi.

Doyle wykreował wyjątkową postać detektywa i choć można by wskazywać na źródła inspiracji, które pomogły ukształtować Holmesa (postać detektywa miał wzorować na swoim byłym wykładowcy – profesorze Josephie Belu, a literacko na Augustie C. Dupin z Poego), to jest to postać ze wszech miar wyjątkowa i kultowa:

*Sam jego wygląd przykułby uwagę nawet najbardziej nieuważnego obserwatora. Miał ponad sześć stóp wzrostu, a ponieważ był przy tym strasznie chudy, wydawał się jeszcze wyższym. Oczy miał bystre i przenikliwe – z wyjątkiem tych sytuacji, gdy popadał w odrętwienie, o którym już wspominałem – a cienki jastrzębi nos nadawał jego twarzy wyraz czujności i zdecydowania. To wrażenie potęgował również wydatny kwadratowy podbródek. Jego ręce były zawsze poplamione atramentem i chemikaliami. Posiadał on zdolność niezwykle delikatnego obchodzenia się z przedmiotami – często miałem okazję obserwować, jak podczas przeprowadzania eksperymentu posługiwał się kruchymi przyrządami naukowymi. (A. C. Doyle, *Księga wszystkich dokonań Sherlocka Holmesa*, przeł. A. Krochmal, R. Kędzierski, M. Domagalska, Z. Wawrzyniak, wyd. III, Warszawa 2011, s. 17)*

Tak opisuje go Watson, bez którego mówić o Sherlocku nie sposób, bowiem czytelnik poznaje go głównie właśnie poprzez spostrzeżenia doktora towarzyszącego detektywowi w rozwiązywaniu kryminalnych zagadek. Jego oczami widzimy Sherlocka, poznajemy nie tylko wygląd zewnętrzny (w którym można dostrzec znamiona samego Doyle'a: jak na przykład postawność, siła i sprawność fizyczna), ale także (a raczej przede wszystkim) jego zachowania, przyzwyczajenia, tryb życia, sposób widzenia i rozumienia świata. I tu także można dostrzec cechy, którymi charakteryzował się pisarz, jak chociażby pracowitość, wiedza ogólna czy lekarskie

wykształcenie, znajomość realiów. Niemniej jednak warto pamiętać, że Sherlock to nie Doyle, nawet jeśli obaj na dodatek znali boks. I chadzanie tylko biograficznymi ścieżkami autora może sprowadzić na bezdroża interpretacyjne odczytanie postaci detektywa. Holmes jest postacią fikcyjną i jako twór literacki stał się rozpoznawalnym znakiem kultury – znakiem detektywa (nie bez znaczenia miały na jego wyobrażenie ilustracje ojca Doyle'a, ale przede wszystkim najbardziej znanego ilustratora książek autora – Sidneya Pageta). Holmes jest, można śmiało powiedzieć, archetypem detektywa, posługując się jego własną terminologią „detektywa-konsultanta”:

Mam bardzo rzadką profesję. Przypuszczam, że jestem jedynym w swoim rodzaju detektywem-konsultantem (...). Tutaj, w Londynie, jest mnóstwo detektywów policyjnych i prywatnych. Kiedy już nie wiedzą, co począć, przychodzą do mnie, a ja naprowadzam ich na właściwy trop. Przedstawiają mi wszystkie dowody, i jestem zazwyczaj w stanie ustalić, z pomocą mojej wiedzy o historii zbrodni, o co w tym wszystkim chodzi. Zbrodnie wykazują silne powinowactwo, i jeśli masz w jednym palcu szczegóły tysiąca z nich, istnieje spora szansa, że będziesz w stanie rozwiązać zagadkę tysięcy pierwszej. (A. C. Doyle, Księga wszystkich dokonań Sherlocka Holmesa, dz. cyt., s. 21)

Holmes bacznie przygląda się światu, umie łączyć szczegóły, wysnuwać wnioski, posiadana intuicja, zmysł obserwacji i dedukcji pozwala mu rozwiązywać przeróżne sprawy – od tych błahych, ale przyciągających detektywa jakimś interesującym szczegółem, po zagadnienia trudniejsze. Jak wyznaje Watsonowi na początku ich znajomości i wspólnego mieszkania:

Od czasu do czasu pojawia się nieco bardziej złożona sprawa. Wtedy muszę wokół niej pochodzić, rozejrzeć się i zobaczyć wszystko na własne oczy. Jak wiesz, posiadam specjalistyczną wiedzę w różnych dziedzinach, które wykorzystuję w rozwiązywaniu problemów, i to mi bardzo ułatwia proces dochodzenia do prawdy. Te zasady dedukcji (...) są dla mnie bezcenne w działaniach praktycznych. Obserwowanie jest moją drugą naturą. (A. C. Doyle, Księga wszystkich dokonań Sherlocka Holmesa, dz. cyt., s. 21)

W innym fragmencie mówi:

Jeśli chodzi o mnie, kładę bardzo silny nacisk na to, by nigdy nie uwzględniać żadnych sugestii i zawsze starannie badać wszystkie fakty, które mogą mnie gdzieś zaprowadzić. (Tamże, s. 394)

Holmes nie wyklucza żadnych faktów, które bierze pod uwagę. Bada każdy trop, który może być pomocny w rozwiązaniu zagadki i temu ostatniemu podporządkowuje swoje poczynania.

Określany przez Watsona jako maszyna:(...) pewnego dnia odkryłem, że zacząłem go postrzegać jak jakieś odosobnione zjawisko, mózg bez serca, obdarzony wybitną inteligencją,

natomiast niemal pozbawiony ludzkich uczuć, Tamże, s. 421), precyzyjny i powściągliwy – charakteryzujący się wyzbyciem emocji, żyje w pełni wtedy, gdy może rozwiązywać zagadki, gdy jest na ich tropie. Zmienia się wtedy – ową prawie niedostrzegalną zmianę w spojrzeniu, w mimice idealnie potrafi wychwycić wspomniany towarzysz. Brak pracy intelektualnej jest dla Holmesa zabójczy – przy okazji rozwiązywania jednej z zagadek wyznaje on:

Mam specyficznie funkcjonujący organizm. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek zmęczyła mnie praca, za to bezczynność całkowicie mnie wyczerpuje. (Tamże, s. 129)

Monotonia bezruchu pozbawia go sił, wprowadza w depresję, z której próbuje się wydostać, narkotyzując się. Jednak ten sposób działa chwilowo i nie daje satysfakcji, w odróżnieniu od rozwikływania kryminalnych niewiadomych. Wtedy angażuje wszystkie swe siły i środki, by doprowadzić do rozwiązania. I zazwyczaj mu się to udaje z wielkim sukcesem, czym się szczeni i lubi się szczeni. Jak tłumaczy Watsonowi, komentując niekoniecznie w pełni aprobatywnie sposób spisywanych przez doktora historii, w których sam uczestniczył, nie jest to kwestia pychy czy samolubstwa:

Jeśli domagam się uznania dla swych działań, czynię to dlatego, że są one przejawem sztuki, bezosobowej i uniwersalnej. Zbrodnia jest powszechna, logika rzadka, dlatego powinienś koncentrować się na logice, nie na zbrodniach. Sprowadziłeś to, co powinno stanowić cykl wykładów, do zbioru opowiadań. (Tamże, s. 306)

Holmes zarzuca swojemu prywatnemu kronikarzowi zbyt zbeletryzowanie opisywanych śledztw, dzięki owym opowiastkom czytelnik poznaje dokonania detektywistyczne Sherlocka, którego jego przyjaciel zdaje się coraz lepiej poznawać, ale nigdy nie poznaje go do końca – Holmes pozostaje dla niego zagadką i fenomenem. Holmes Watsona fascynuje, a także jego podejście świetnie rzutuje na czytelników, którzy zaczytywali się i zaczytują w historiach kryminalnych rozwiązywanych przez mieszkańca Baker Street 211B.

Uśmiercony w *Ostatniej zagadce* (po raz pierwszej opublikowanej jako część zbioru *Wspomnienia Sherlocka Holmesa* w grudniu 1893 roku w „The Strand Magazine”), Holmes pojawił się cudem ocalony w *Pustym domu* (1903). Po drodze Doyle popełnił najśłynniejszą powieść *Pies Baskerville’ów* (zasługującą na osobne omówienie, zatem żeby nie zdradzić się z niczym w materii tego arcydzieła, zachęcam do przeczytania), która choć ukazała się po literackim unicestwieniu detektywa, rozgrywała się przed walką z Moriartym i wydarzeniami nad śmiercionośnym wodospadem Reichenbach. Doyle mając już dość Holmesa, chcąc wyzwolić się od niego i zająć się poważniejszymi zagadnieniami, pozbawił go życia, jednak zmuszony opinią publiczną doprowadził do zmartwychwstania bohatera.

Doyle, choć jest autorem wielotematycznym, różnorodnie opisującym świat (od racjonalnego jego postrzegania po bezwarunkową wiarę w istnienie innej rzeczywistości), identyfikowany jest przede wszystkim jako twórca opowieści o Holmesie. To właśnie postać lekko zmanierowanego detektywa posługującego się zmysłem oglądu najdrobniejszego szczegółu i analityczną siłą dedukcji zapewniła szkockiemu pisarzowi, który zmarł w 1930 roku, nieśmiertelną sławę.

Wiecznie żyje też i sam Holmes, nie tylko w miejscach mu poświęconych (jak na przykład londyńskie Muzeum opatrzone nieistniejącym numerem, pod którym mieszkali detektyw i jego towarzysz przygód, czy Muzeum w Meiringen w Szwajcarii, miejscowości rozślawionej przez historię *Ostatniej zagadki*), nie tylko w filmowych, serialowych realizacjach, ale przede wszystkim w świadomości czytelników, którzy mimo że od urodzin jego twórcy mija właśnie sto pięćdziesiąt siedem lat (niemalże okrągła rocznica), pamiętają o ekscentrycznym detektywie, którego życie bez zagadek nuży, a szkiełkiem i okiem wykryje każdą drobnostkę, która połączona w całość z innymi, doprowadzi do rozwikłania wszelkiej tajemnicy... I choć nie są to tajemnice, jakie interesowały Doyle'a jako spirytystę, to w tej mierze, poszukiwania i rozwikływania zagadek, racjonalista zbliża się ze znawcą ezoteryki – łączy ich głód badacza, poszukiwacza, a że drogi do poznania mogą być różne – od ścieżki dedukcji po drózkę wiary, to inna sprawa – ale głód pozostaje – głód patrzącego na świat, na jego tajemnicę...

W jednej z opowieści zatytułowanej *Sprawa tożsamości* Holmes mówi do Watsona:

Prawdziwe życie jest nieskończenie bardziej niezwykle od wszystkiego, co zdołałby wymyślić człowiek. Nawet byśmy się nie ośmielili wyobrazić sobie wszystkiego tego, co składa się na codzienną egzystencję. Gdybyśmy mogli teraz wyfrunąć przez okno, unieść się nad tym wielkim miastem, delikatnie zdjąć z domów dachy i przyjrzeć się dziwnym sprawom, które dzieją się w środku! Tym wszystkim niezwykłym zbiegom okoliczności, misternym planom, sprzecznym dążeniom i cudownym ciągom wydarzeń, obejmującym całe pokolenia i przynoszącym niespodziewane skutki! w porównaniu z nimi wszystkie konwencjonalne i przewidywalne opowieści stworzone przez człowieka okazałyby się z pewnością nudne i niewiele warte. (Tamże, s. 192)

Holmes mówi o nierozwiązanych zagadkach, o potencjalnych sprawach, które kryją się w zwykłej codzienności, która ma w sobie więcej niezwykłości niż literackie zmyślenia. Tajemnice są wszędzie – wystarczy tylko dobrze popatrzeć – można by dodać: szkiełkiem i okiem, albo wewnętrznym wzrokiem, drogi spojrzeń są różne, ale istotne jest, by patrzeć, by na niewyjaśnione pozostać otwartym... bo tajemnica czai się wszędzie...

rys. Izabela Wojciechowska



NIEZWYKŁA KOBIETA

Dagmara Adwentowska

Każdy ma swoją cenę

Prawa noga pierwszego pijaczka tkwi w pętli zadziergniętej z zardzewiałego drutu. Denat wisi głową w dół na gałęzi zdziczałej, obsypanej wiosennym kwieciami jabłunki... a raczej wisiałby. Głowy bowiem brakuje i nigdzie jej nie widać, niestety. Z szyi powinna zatem łać się krew, ale nie leci. Inspektor Marek Wekiera uznaje to za okoliczność w sumie pozytywną, w odróżnieniu od brakującej makówki. Jeśli bowiem postanowi uratować dupę

swego durnego szwagra razem z dobrym imieniem całej rodziny i wybieli sprawę na czysto – to łatwiej będzie doprowadzić miejsce zbrodni do stanu pierwotnego. Decyzja, czy uratować Błażejka, czy też zostawić go na pastwę losu, jest jednakże w chłodnym osądzie Marka sprawą wtórną wobec kosztów sumiennego zatarcia śladów. Jako taka, musi poczekać, aż Marek rozejrzy się po okolicy. Inspektor rozgląda się zatem, strzelając po zarosłych trawą ruinach światłem latarki. Świt nadejdzie za niecałą godzinę, skrada się już pomału po okolicznych szczytach. Czasu nie zostało za wiele.

Drugiego pijaczka, a raczej znaczną jego część, bo brakuje mu ewidentnie wnętrzości, Marek znajduje w zasypanej do połowy starej piwnicy. Uznaje, że wystarczyłoby obalić słup i zawalić piwnicę całkowicie. Szanse szwagra Błażejka na zratowanie i zamieszczenie sprawy pod dywan rosną!

Inspektor szuka jeszcze brakującej głowy pierwszego denata. Taka samotna łepetyna, myśli sobie, może wzbudzić niepotrzebne podejrzenia, nawet jeśli leży w zapomnianej przez Boga i ludzi dolinie w Bieszczadach. Bo jak ją ktoś przypadkowo znajdzie, może zacząć zadawać naturalne w takiej sytuacji pytania. Na przykład: gdzie jest reszta ciała i jak to się stało, że straciła połączenie z głową?

Szczęśliwie, zguba się odnajduje. Tkwi na czubku sporego kopca usypanego z ziemi i kamieni, obserwując lekko zdziwionymi, ściętymi jak jajka na patelni oczami terenówkę Błażeja zaparkowaną pod rozsypującym się murem. W dolinie nie widać ani nie słychać żywego ducha i wszystko wskazuje na to, że Błażewi i tym razem się upiecze.

Ale tylko dlatego, że Malwina tak bardzo go kocha, myśli inspektor z niechęcią. I doprawdy, ostatni raz. Podwójne morderstwo to nie przelewki, nawet jeśli zatłukł jakichś żulików.

– Błażej! Gdzie jesteś!

– Marek?! Tutaj! Na dole! Przez wykop pod fundamentem! – dobiega go odpowiedź, z dziwnym pogłosem, jakby dźwięk odbijał się po wielokroć o sklepienie.

Inspektor znajduje wejście i świeci w rozszeptaną echami ciemność. Coś tam się porusza, coś szeleści. Coś śmierdzi, niewątpliwie trupem. I coś błyszczy...

– Jesteś sam? – pyta inspektor na wszelki wypadek.

– Olga jest tu ze mną – odpowiada Błażej głosem drgającym na granicy ekstatycznego jęku. – Zgaś latarkę, światło chyba jej szkodzi.

– Nie zamierzam skręcić karku – mruczy inspektor i bierze latarkę w zęby, by móc oburącz przytrzymywać się szczebli drabiny podczas schodzenia. Smród przybiera na sile, trupi zaduch wwierca się w nozdrza.

Inspektor Marek Wekiera odwraca się od drabiny i omiata kryptę światłem latarki. Z mroku wyłania się szczupła sylwetka jego szwagra. Brat Malwiny mruży oczy i uśmiecha się w swój zwykły sposób, czyli jak wariat. Zaczyna coś mówić o kocach i o tym, że Olę trzeba otulić dokładnie na czas podróży i jechać bardzo ostrożnie. Marek nie słucha. Szeroko otwartymi oczami patrzy na to, co błyszczy i lśni za plecami jego szwagra.

– Złoto... – szepce na drżącym z wrażenia wydechu.

– A tak – trąkocze Błażej. – Cerkiew ukryła skarby razem z Olgą. Ikony, okucia, tu chyba fragmenty relikwiarza. Historycznie są bezcenne, ale Olga jest najważniejsza. Wrócimy po nie potem...

Marek już podjął decyzję. W dolinie nie ma żywego ducha. Błażej całą wyprawę trzymał w tajemnicy. Malwina wie, że wpadł w nieliczne kłopoty. Ukryć dwa ciała czy trzy to właściwie żadna różnica. Nie będzie żadnego „potem”. Nie podzieli się z Błażem. Dzięki tym skarbowi nie będzie musiał już nigdy harować. I wreszcie będzie miał z głowy tego wariata. Wypala prosto w jego rozgadana gębę.

Ciało Błażeja osuwa się bezwładnie pomiędzy płaczące błyskami klejnoty.

Kiedy huk wystrzału odbija się po tysiącokroć od sklepienia i milknie wreszcie, w odległym kącie pod sufitem porusza się mrok ciemniejszy od otaczających go ciemności.

Olga uśmiecha się ustami wypełnionymi ostrymi jak igły, nieludzkimi zębami. Ten pierwszy przybysz przypadkiem czy też rozmyślnie przyprowadził jej ofiary i wyraźnie ją czcił, ale był słaby i dlatego pozwoliła go zabić. Potrzebuje siły i wpływów, a nie powierzchownych czy nawet głębokich dowodów uwielbienia. Ten drugi mężczyzna podoba jej się znacznie bardziej. Silny, bezwzględny i chciwy – trochę przypomina Swenelda. Klęczy wśród skarbów, które złożono tu wraz z Olgą, gdy nie wiedzieć czemu zabrano ją ze świątyni, w której otoczona czcią przesypiała dnie – by w nocy zrywać się i na sowich skrzydłach sunąć bezszelestnie w ciemnościach. Ona też lubi te klejnoty. Pozwala inspektorowi się nimi nacieszyć, zanim bezgłośnie spada mu na kark i wbija pazury w jego ciało.

– Ile? – pyta Olga, starając się mówić uprzejmie, wolno i wyraźnie, podczas gdy Marek Wekiera przerażony krzyczy i wije się w jej uścisku. – Ile jest dla ciebie warte twoje życie?

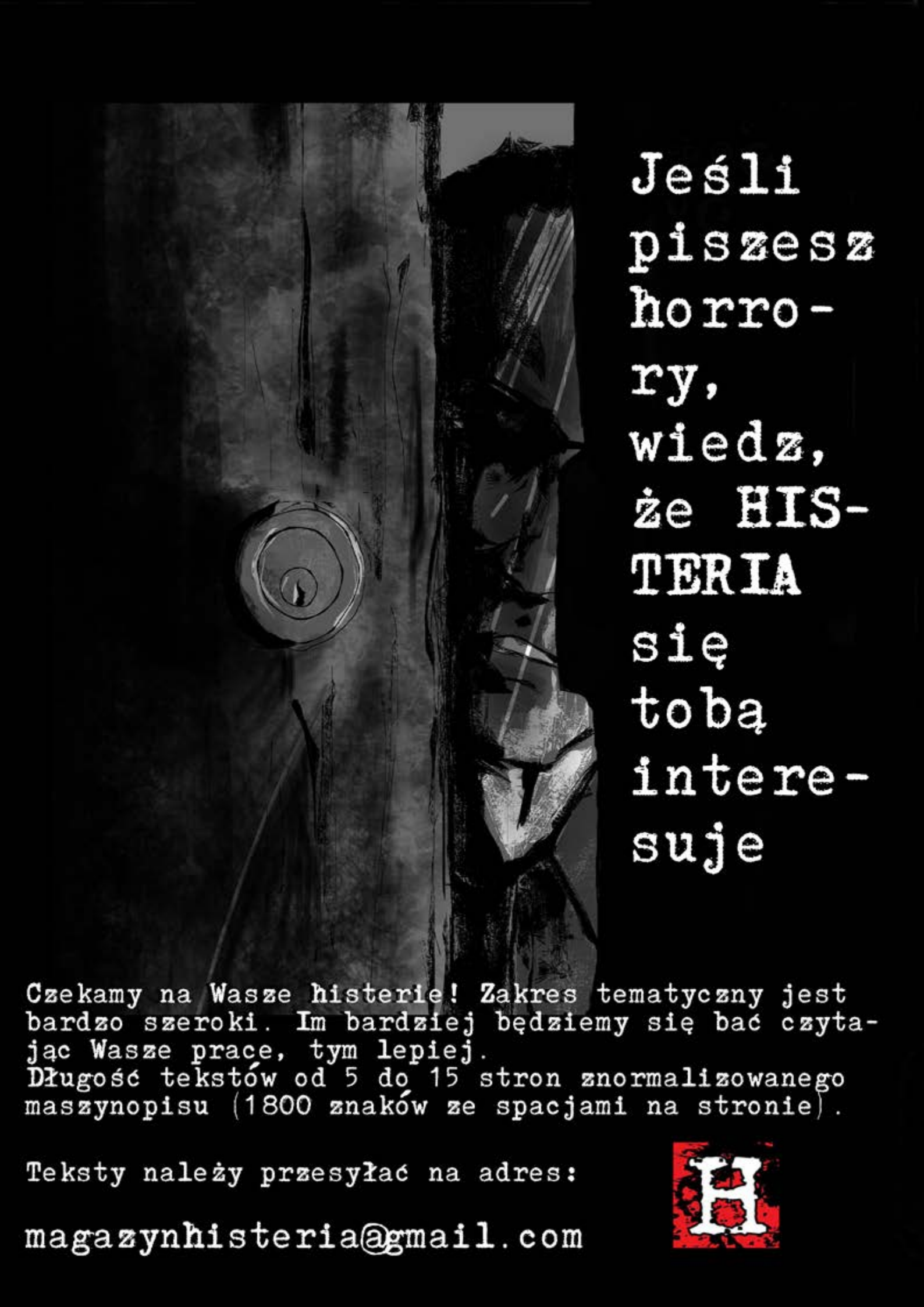
Fragment opowiadania pochodzi z antologii „Krew Zapomnianych Bogów”.

PARTNERZY



STRASZNE-HISTORIE.PL
ODWAŻYSZ SIĘ?!





Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.

Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

